

Ptak, Cyna i pies sąsiadów

Mariusz Niemycki

Ptak, Cyna i pies sąsiadów

Wydawnictwo Skrzat Kraków 2004

Prolog

Trombollstadt, wtorek, 18 października 1820 roku, godzina 10.09

Deszcz nie ustawał, zupełnie jakby niebo płakało, towarzysząc nielicznym żałobnikom.

— Szkoda, młoda była — pomocnik grabarza pociągnął nosem, patrząc na znikające we mgle czarne powozy.

— Popraw lepiej wieniec — pouczył go grabarz Schnurrbart. — Ty, Peter, z tym twoim nazwiskiem doprawdy tu nie pasujesz. Tak uważam.

— No, nie wiem, panie majster, Lebendig* to całkiem przyzwoite mieszczańskie nazwisko... A poza tym mam w planie coś lepszego niż kopanie dołów dla arystokratycznych umarłaków - Nie mędrkuj, Peter, tylko zabieraj łopaty, bo nam zardzewieją- Leje jak z cebra, jeszcze powódź z tego będzie - gderał Schnurrbart, okrywając głowę peleryną.

— Już, już! — Chłopak kucnął za nagrobkiem i obejrzał łup. — Nie będziesz mi, stary pryku, rozkazywał, co mam robić — wyszeptał, chowając do kieszeni zdjęty z palca zmarłej pierścionek.

-^en<%(nlem)__ż

żywy

Rozdział 1.

Zwyczajna recydywa

Wychowawczyni omiotła mnie pełnym wyrzutem spojrzeniem.

— Co tym razem cię zatrzymało, Racyniak? — W jej głosie niespodziewanie zabrzmiała nuta cierpienia.

— Tym razem? Przecież to pierwszy raz! — udałem święte oburzenie (a muszę się nieskromnie przyznać, że jestem w tym mistrzem).

— Nie tym tonem, dzieciątko, nie tym tonem. — Palce nauczycielki zatańczyły nerwowo na blacie biurka.

Długie paznokcie polonistki skojarzyły mi się ze szponami Frediego Krugera z Koszmaru z ulicy Wiązów. Przełknąłem ślinę.

— Przecież to pierwszy raz, proszę pani — powtórzyłem, uśmiechając się przyjaźnie.

Zajazgotał dzwonek. Odetchnąłem.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do klasy wtargnęła rozwrzeszczana hałastrza ze znieawidzonej przeze mnie drugiej „e”.

Pani Palikowa pobladła.

— Zaczekajcie chwilę! — krzyknęła, chcąc dokończyć temat.

9

Rumor odsuwanych krzesel i gruchot wrzucanych pod ławki plecaków świadczył albo o przedwczesnej głuchocie czternastolatków, albo — co bardziej prawdopodobne — o zbiorowym beczelnym ignorowaniu nawoływań polonistki.

— Wkrótce wrócimy do sprawy twoich spóźnień, Racyniak, bo to jest zwyczajna recydywa! — wysyczała mi prosto w twarz.

Przyłożyłem dłonie do uszu, sugerując, że jednak nie dosłyszałem.

— Wynocha na lekcję! — Drżący palec nauczycielki wskazał na drzwi.

Tego gestu nie wypadało nie zrozumieć.

— Aaa, mam iść na geografę — pokiwałem głową i dałem drapak, lawirując zręcznie pomiędzy przemiłymi rówieśnikami, usiłującymi podstawić mi nogę.

I gdyby nie znany wszystkim Jacek Plomba, przewodniczący samorządu uczniowskiego, uszedłbym cało na korytarz, ale ten wredny typ pod pretekstem przywitania się szarpnął mnie za rękaw i przyciągnął do siebie z całą siłą, jaką dysponowało jego tłuste, sześćdziesięciosiedmiokilogramowe cielsko.

- Się masz, Racuch! — sapnął Plomba. — Pamiętasz o zebraniu?

W ciemnych szklach jego okularów ujrzałem własną, karykaturalnie wykrzywioną twarz. Sporo wysiłku włożyłem w ułnienie rękawa z pulchnych łap przewodniczącego.

10

— Pamiętam, Klocku, że umawialiśmy się nie używać ksywek z podstawówki — warknąłem. Spojrzenie Plomby powędrowało gdzieś za moje plecy Krzywy uśmiešek ozdobił rumiane oblicze.

— No już dobrze, Cyna, nie obrażaj się. Faktycznie, „Racuch” brzmi dziecinnie. Skoro chcesz robić tu za Cynę, twoja sprawa.

— Jeszcze nie wyszedłeś? — w głosie pani Palikowej słychać było nutkę hysterii.

Zerknąłem na wychowawczynię i zrobiłem krok do tyłu. Nie udało mi się dowiedzieć, w jaki sposób te łobuzy zdołały wstawić krzesło w wąskie przejście pomiędzy ławkami. Pewny mogę być jedynie tego, co nastąpiło tuż po moim spotkaniu z tym nieszczęsnym meblem. ^__^ Gdy rozpaczliwie machając

rękami, usiłowałem nie runąć na podłogę, jakaś zdradziecka pięść wymierzyła mi solidnego kuksańca pod żebra. Świat wokół mnie zawirował, a w chwilę potem oglądałem zakurzony sufit, na tle którego rysowały się wyszczerzone gęby pochylających się nade mną szyderców.

11

- Proszę pani, Racyniak się wywrócił! — zameldował usłużnie dyżurny, niejaki Bekała.

— O Matko Boska! — jęknęła moja wychowawczyni. — Nic ci się nie stało, Jasiu? — zapytała z niemal matczyną troską.

Teraz to Jasiu. Nawet imię sobie przypomniała...

— Podstawili... mi... krzesło — wystękałem.

— Jakie krzesło, dzieciątko moje? — Nauczycielka podeszła do mnie. Na jej twarzy malowała się zawodowa troska doświadczonego pedagoga.

— To krzesło! — rzuciłem oskarżycielsko.

Wskazałem palcem miejsce zasadzki i... zamarłem. Przejście było wolne, a uczniowie drugiej „e” siedzieli grzecznie w ławkach, uśmiechając się z politowaniem.

— Czy zdajesz sobie sprawę, Racyniak, że zmarnowałam przez ciebie pół lekcji?

Matczyna troska gdzieś się zawieruszyła — dla pani Palikowej znowu byłem tylko Racyniakiem.

— A... ale minęło dopiero pięć minut — zaprotestowałem, patrząc na zegarek.

— Że też mnie pokarało tak aroganckim uczniem! — nauczycielka załamała ręce.

— On zawsze jest taki — pisnęła zajmująca miejsce pod oknem Natałka Omiłko, niebieskooka blondyneczka, dla której mdlało niejedno męskie serce. W tym moje własne. — Kiedyś zjadł mi śniadanie...

- Nieprawda, sama mi je oddałaś mówiąc, że się odchudzasz!

12

W głębi duszy byłem gotów wybaczyć jej tę publiczną zniewagę, ale nie potrafiłem powstrzymać się przed drobną złośliwością, w zamian za którą Natałka obdarzyła mnie uśmiechem bazyliuszka. Uradowana klasa zawyła, co przywróciło polonistce pedagogiczną czujność.

— Dosyć tego! — wrzasnęła. — Wyciągnąć kartki i pochować całą resztę!

W obliczu kartkówki umilkły radosne pohukiwania i zapadła ponura cisza.

Pocierając stłuczony łokieć, wyszedłem z sali, odprowadzany pałającymi zemstą spojrzeniami.

Zrozumiałem, że muszę na siebie uważać.

Mimo że lekcja trwała już od jakichś piętnastu minut, na korytarzu panowało niezwykle ożywienie. Rozemocjonowany nauczyciel chemii, pan Krzywka, bezskutecznie usiłował zapanować nad kpiącymi z niego w żywe oczy pierwszakami.

— Ustawcie się w dwuszeregu! Przecież tyle razy wam mówiłem, jak wygląda dwuszereg — powtarzał, wycierając spoconą łysinę wielką chustą.

Tum uczniów zakotłował się i utworzył coś na kształt przejeżdżonej ośmiornicy. Widząc to, zachichotałem, bo przypomniały mi się próby naszego ślubowania sprzed roku. Wtedy odpowiedzialny za przygotowanie musztry klas pierwszych był pan Ciopek, zwany Ciapkiem. Już po wszystkim chyba przez trzy tygodnie leczył skolatane nerwy. Ale ci tutaj bili nas na głowę!

13

— Co to ma być?! — nauczycielowi zaczynały szwankować zawory bezpieczeństwa.

— Stuszereg, przecież chciał pan stuszereg — wytłumaczył ukryty w tłumie dowcipniś. Po głosie rozpoznałem kolesia z mojego dawnego podwórka — niejakiego Marcina Winiucha.

— Ja chciałem stuszereg? — zdziwił się Krzywka.

Z kotłowaniny uczniów dobiegły twierdzące pomruki. Krzywka pomyślał przez chwilę, po czym odetchnął z ulgą.

— Ach, przepraszam, musiałem się przejęzyczyć... Miałem na myśli ustawienie parami, to znaczy jeden za drugim... No, ustawcie się jakoś.

Ośmiornica przekształciła się w całkiem przywoicie wyglądającą kolumnę czwórkową. Chemik rozejrzał się bezradnie, ale kiedy mnie spostrzegł, zaraz się rozpromienił.

— Janek Racyniak! Mój najlepszy uczeń — poinformował robiących szopkę pierwszaków. Poczulem dreszcz niepokoju.

— Eee tam, zaraz najlepszy... — wymamrotałem skromnie, przeszywany ciekawskimi spojrzzeniami młodych neandertalczyków.

— A olimpiada?

— Tylko trzecie miejsce... — próbowałem zrehabilitować się w oczach motłochu. Do szczęścia brakuje mi tylko opinii kujona.

- Ale w województwie! — zakończył triumfalnie peda-4° &

u

No, to teraz dostanę za swoje. Co mnie podkusiło, żeby przyglądać się temu przedstawieniu?

— Przepraszam... — bąknąłem. — Muszę iść na geografię. Zdaje się, że mam sprawdzian. — Ukłoniłem się niezgrabnie.

— Naprawdę? — Krzywka nie krył rozczarowania. — Miałem nadzieję, że mi trochę pomożesz z tą pierwszą „d”, ale w tej sytuacji, hmm...

Zrobiło mi się go żal. Uwielbiam chemię, w ubiegłym roku założyłem nawet „Kółko Eksperymentatorów”, ale po tym, jak na Gosi Rosomak zapaliło się ubranie, wszystko się skończyło, a panu Krzywce groziło zwolnienie dyscyplinarne. Wzięliśmy wtedy całą winę na siebie, więc skończyło się na wezwaniu rodziców i obniżeniu sprawowania.

— Niech pan każe Winiuchowi poprowadzić musztrę — poradziłem teatralnym szeptem. — On kocha wojsko, w domu nawet bawi się żołnierzami.

Poczerwieniały ze wstydu były sąsiad pogroził mi pięścią.

— Pan go nie słucha! — pisnął przy tym histerycznie. — Z tymi żołnierzami ja tylko tak na niby... One należą do mojego młodszego brata i w ogóle...

Uradowany z podpowiedzi chemik zatarł ręce i nie zważając na protesty Winiucha, wyciągnął go za kołnierz z mającej nadzieję na dobrą zabawę gromady.

— Teraz Winiuch was ustawi jak należy! — obwieścił nauczyciel, lekko dysząc po szamotaninie z opornym uczniem, po czym odwrócił się w moją stronę, więc dałem nogę. Tak na wszelki wypadek.

15

Zbiegłem po schodach piętro niżej, ukłoniłem się zajętemu rozmową z woźnym dyrektorowi i dziękując opatrności, że mnie nie zauważyli, rzuciłem się ku znajdującym się tuż za rogiem drzwiom pracowni geograficznej.

— Cyna...

Moja dłoń sięgająca klamki zdrząła. Zawsze bałem się takich dobiegających znikąd szeptów, ale wyjrzałem zza węgła, wiedziony niejasnym przecuciem.

Oprócz szerokich pleców dostojnie oddalającego się dyra zauważyłem jedynie pana Wąsika,

naszego woźnego, który próbował otworzyć szczyrykiem drzwi do nauczycielskiej toalety Nie podejrzewałem go jednak o chęć wezwania mnie na pomoc.

— Cyy...naa...

Ktoś przemawiał do mnie ponurym—żeby nie powiedzieć: grobowym — głosem. Oglądałem kiedyś taki film, w którym pewnego gościa podobnie brzmiącym szeptem wzywał upiór narzeczonej, żeby go wciągnąć do grobu i pożreć. Ale skąd upiór w biały dzień, w szkole pełnej twardo stąpających po ziemi nastolatków? Coś mi się tu nie zgadzało.

Stojący nieopodal mojej kryjówki duży drewniany kubel na śmieci zakołysał się nagle, jakby coś usiłowało wydostać się z jego wnętrza.

— Kim jesteś... duchu? — spytałem, oblizując spierzchnięte wargi.

Kosz znów się poruszył. Czując spływającą po plecach strużkę potu, podszedłem bliżej.

Zbrązowiały, lekko nadpsu-ty ogryzek jabłka wyskoczył z kubła i pięknym łukiem poszybował wprost ku mojej głowie.

16

Uchyliłem się rozczarowany. Jakość dowcipu wykluczała udział sił nadprzyrodzonych, więc w śmietniku musiał się chować ktoś o intelekcie Misia Yogi.

— Wyskakuj! — warknąłem.

— Ci.. .cho, Cyna, bo mnie zdradzisz! — szepnęła ukrywający się w śmietniku osobnik i chrząknął. Ten odgłos rozpoznam pewnie nawet wtedy, kiedy ogłuchnę już ze starości. Tak chrząkają tylko szukające trufli dzikie świny i mój przyjaciel Kostek Ptak.

— Wyskakuj, Ptaku, bo mnie Palikowa pożre na drugie śniadanie, kiedy się dowie, że nie byłem na geografii. Mamy sprawdzian.

Wypełniająca kryjówkę Ptaka sterta pomiętych papierów, lepkich kubków po jogurtach i przeżutych gum uniosła się nieznacznie. Spomiędzy śmieci, niczym peryskop łodzi podwodnej, wynurzyła się chuda łapa otulona postrzępionym mankietem flanelowej koszuli. Cienkie blade palce ścisnęły złożoną we czworo kartkę papieru.

— Weź to! — w głosie Ptaka czaiła się przebiegłość.

— Co to niby ma być? — zapytałem nieufnie.

Dłoń zakołysała się, ilustrując narastające zniecierpliwienie.

— Bierzesz czy nie?

Chwyciłem kartkę, rozprostowałem ją i... szczeka mi opadła.

— Przecież to jest... dzisiejszy sprawdzian z gegry! — krzyknąłem.

Monotonny szmer rozmów, dobiegający zza ściany pracowni pana Maruszak^{^jgQ|^s^ę} nagle i zapadła pełna napięcia cisza.

17

— Mato! — skwitował szeptem kosz.

Za drzwiami klasy coś zaskrzypiało i usłyszałem odgłos skradających się kroków. Ostrożnie wycofałem się więc z zagrożonego rejonu, rozglądając się za jakąś kryjówką, w której mógłbym się zaszyć i przeczekać.

Na moje szczęście pan Wąsik uporał się już z zapałką tkwiącą w zamku drzwi do toalety belfrów, zapomniał ją jednak zamknąć i jedyne bezpieczne dla mnie w tej chwili szkolne pomieszczenie stało otworem. Wskoczyłem do pierwszej z brzegu kabiny, przez nieuwagę potrąciłem jednak stojącą tuż przy muszli klozetowej butlę z lizolem, która zakręciła się jak bąk i upadła, a jej zawartość wylała się na podłogę. Ciężki gryzący zapach w mig wypełnił ciasne pomieszczenie. Wiedziałem już, że moje złowrogie fatum obudziło się z kilkuletniego uśpienia. A było już tak dobrze. Zwyczajna recydywa, niestety...

19

Rozdział 2.

Śmierząca sprawa

Stukot pośpiesznych kroków przełożył się na przyspieszone bicie mojego serca. Ktoś przystanął przed drzwiami toalety, manipulując przy zamku.

— Otwarte? — usłyszałem pełne zdziwienia mruknięcie. Instynktownie zamknąłem drzwi na

zasuwkę. Nie dam się
tak łatwo stąd wyciągnąć.

— Ależ tutaj śmierdzi! Co to jest, lizol? — Intruz chyba lubił rozmawiać sam ze sobą. Sądząc po głosie, nie był to geograf, przed którym umykałem. Najwyraźniej pan Maru-szak nie ruszył moim tropem. Dobra nasza!

Niezidentyfikowany belfer pociągnął nosem.

— To już przesada, przecież można się udusić! — oburzył się.

Pokiwałem smętnie głową, ocierając wierzchem dłoni zażawione oczy

— Ten... ten Wąsik oszalał na punkcie dezynfekcji — ciągnął nauczyciel i nagle zanucił: — Ten wąsik, ach ten wąsik, ten wąsik i ten płasik...

Tylko strach powstrzymał mnie przed parsknięciem śmiechem, choć coś we mnie aż zabalgotało. Przytknąłem ucho do cienkich drzwi kabiny, próbując rozpoznać intruza po głosie.

20

Nagle klamka mojej bezpiecznej — zdawałoby się — kryjówki gwałtownie opadła, a niespodziewane szarpnięcie lekko wygięło pomalowane na beżowo drzwi.

— Och, jest tam kto? — zmieszał się nauczyciel. No, to już po mnie!

— Zajęte! — burknąłem basem, dla lepszego efektu zakrywając usta dłonią. Moje serce, trzepoczące się do tej pory gdzieś w gardle, przemieściło się w okolice uszu i teraz już zupełnie wyraźnie słyszałem jego niespokojny łomot.

— To ty, Heniu? — zapytał nauczyciel.

Wreszcie mnie oświeciło: to musiał być pan Miłosz Bęb-niawa, czyli Bęben — nauczyciel sztuki i skończony artysta w jednej osobie — znany szkolnej gawiedzi jako prawa ręka dyrektora Balezego, zwanego Walezym. Gorzej być nie mogło!

— N00... — odpowiedziałem głucho, oczyma wyobraźni widząc, jak woźny Wąsik w asyście uradowanych pierwszaków uroczyście wykopuje mnie za szkolną bramę.

— Aha — uspokoił się nieco Bęben. — Bo widzisz, Heniu — sapnął — ja tylko tak... umyć ręce...

Nie żebym zaraz wychodził, ot tak sobie, z klasy albo zaniedbywał obowiązki, ale właśnie przesadzałem fikusa...

— He? — Postarałem się, żeby zabrzmiało to groźnie. I tak po tym wszystkim będę chyba musiał pójść na zwolnienie lekarskie.

— Przesadzałem... bo, boo... uczeń Racyniak stłukł doniczkę w czasie lekcji! — wymyślił na poczekaniu.

Gniew przyćmił mój zdrowy rozsądek.

21

— Niech pan nie kłamie, Racyniak ma teraz geografię! — krzyknąłem oburzony. Na szczęście opary lizolu zrobiły swoje i gardło miałem mocno podrażnione, dzięki czemu w moim głosie zabrzmiała całkiem męska chryпка.

— No tak... — wybąkał Bęben. — Znaczy że... ekhm, oficjalnie... To ja już raczej pójdę, panie dyrektorze... Do widzenia i przepraszam... Auuc! — jęknął jeszcze nieoczekiwanie, nim trzasnęły zamykane drzwi.

Co ja bym dał, żeby zobaczyć jak ten długowłosy facet z wiecznie obwiązany kolorową apaszką gardłem umyka tyłem, kłaniając się w pas ukrywającemu się w ubikacji uczniowi. I do tego na bank musiał w coś przygrzać! A zresztą... i tak nikt by mi nie uwierzył.

Wreszcie zebrałem się na odwagę i ostrożnie wyjrzałem na zewnątrz. Byłem sam. Przemknąłem więc po korytarzu cicho niczym japoński wojownik nin-ja (brakowało mi tylko ściągniętych w kostkach szarawarów i czarnego worka na głowie).

Zanim __ wbrew zdrowemu rozsądkowi — wszedłem do Oasy,

22

by oddać się pod pedagogiczną opiekę, spenetrowałem naprędce kosz na śmieci, zajmowany ostatnio przez Konstantego Ptaka. Mój ekscentryczny przyjaciel przepadł jednak, co właściwie było do przewidzenia.

Czułem, że popełniam życiowy błąd, idąc na geografię piętnaście minut przed końcem lekcji, ale

nacisnąłem klamkę. Moje wejście najwyraźniej uradowało wszystkich obecnych, z panem Maruszką włącznie.

— Ha, jest nasz Racyniak! — rzekł nauczyciel radośnie, jakbym swoim wejściem spełnił jego najskrytsze marzenia.

Ręce piszących sprawdzian uczniów natychmiast sięgnęły pod ławki w poszukiwaniu ściąg. Kilka par oczu mrugnęło do mnie w podzięcie. Lepszego prezentu nie mogłem im sprawić, a trzeba przyznać że umieją wykorzystać każdą nadarzącą się okazję.

— Bardzo przepraszam — ukloniłem się pokornie i szurnąłem stopą jak baletnica. — Zatrzymała mnie Tyczka... to jest, chciałem powiedzieć, pani Palikowa.

— Doprawdy? — W tym pytaniu kryła się jakaś niewypowiedziana kpina. — W sprawie...?

— Eee, w jakiej sprawie? — Postanowiłem zagrać na czas, udając głupka. Geograf skierował spojrzenie ku sufitowi, jakby tam chciał znaleźć jakąś odpowiedź.

23

— No dobrze — machnął w końcu ręką. — Zostało dziesięć... dwanaście minut. Siadaj i pisz sprawdzian. Pytania są na tablicy.

— Ale... — zatkało mnie. Tego nie przewidziałem. — Jakim cudem mam zdążyć?

— Guzik mnie to obchodzi. Zresztą... — nauczyciel otworzył dziennik na stronie z ocenami — ...mogę od razu postawić ci niedostateczny Paskudnie pachniesz, wiesz o tym? — dodał od niechcenia.

Jego obojętny ton zupełnie zbił mnie z tropu. Usiadłem w ławce, wygrzebując z zostawionego pod nią na przerwie plecaka długopis i jakiś zeszyt. Wyrwałem kartkę i sprawdziłem czas: zostało równo osiem minut. Nie zdążę nawet przepisać poleceń z tablicy Ręce opadają! Chyba że...

Przeszył mnie dreszcz, a mój żołądek skurczył się do rozmiarów włoskiego orzecha.

Rozejrzałem się po klasie. Nie jest źle, towarzystwo ściąga, aż furczy; Maruszek ziewając, przegląda „National Geographic”, muchy brzęczą, a za pięć minut koniec lekcji.

Bacznie obserwując poczynania nieprzyjaciela, wyciągnąłem z kieszeni kartkę od Ptaka i ostrożnie ją rozprostowałem. Spojrzałem na tablicę, na której niedbałymi literami wypisane były zadania. Przeczytałem pierwsze z brzegu: .Wykonaj obliczenia i sporządź wykresy kołowe przedstawiające procentowy udział Polski.

Porównałem je z tymi na kartce. Były identyczne, a w dodatku rozwiązane. Nawet data się zgadzała, pozostało jedynie dopisać swoje nazwisko. Podjąłem decyzję równo z dzwonkiem.

24

— Koniec czasu! — obwieścił ze scenicznym smutkiem geograf. — Racyniak, co ty tam jeszcze smarujesz?

— Podpisuję się tylko, proszę pana!

— Jakby było pod czym — odpowiedział, wyciągając mi kartkę ze sprawdzianem spod długopisu, toteż moje wypracowane po latach zamaszyste „k” na końcu nazwiska wyglądało teraz jak krzywy badylek z długim pokręconym korzeniem.

— Pies ci tę kartkę poszarpał? Nie dość, że cuchniesz lizolem, to jeszcze oddajesz mi sprawdzian w niechlujnym stanie. Obrzydliwe...

— Racyniak, proszę pana, w ogóle jest obrzydliwy — oświadczyła przysłuchująca się rozmowie Ania Piętak, rozczesując szczotką jasne włosy spięte w koński ogon (czesanie to taki jej odruch; chodziłem z nią dwadzieścia siedem dni, więc wiem). — Ja go znam, proszę pana, to łobuz!

— Co ty mi tu, Piętak, za bzdury wygadujesz? — zdenerwował się nauczyciel, widząc fruujące po klasie długie włosy. Jeden z nich opadł na klapę jego ciemnej marynarki, więc zdjął go pośpiesznie. — Dlaczego czeszesz się w mojej pracowni? Jazda na przerwę!

— Wy, mężczyźni, wszyscy jesteście tacy sami. Kropka w kropkę. Tak mówi moja mama! — Ania wygięła usta w podkówkę, chwyciła płócienną torbę (którą przez prawie miesiąc za nią targałem) i wyszła, obrzucając nas pełnym cierpienia spojrzeniem.

Maruszek odwrócił się do niej, wyraźnie zaskoczony.

— Nie porównuj mnie, dziecko, z Racyniakiem! I... i nie słuchaj mamy! — rzucił z nadzieją, że go jeszcze usłyszysz

25

— Nie może pan tak mówić do uczniów, to niewycho-wawczo — ośmieliłem się zaprotestować. Popatrzył na mnie niczym znudzony laborant przed sekcją żaby. Gdyby nie zagradzał mi wyjścia, już dawno bym czmychnął. Właśnie traciłem długą przerwę.

— Co my tu mamy, taak... — przyglądał się uważnie moje mu sprawdzianowi. — Praca klasowa pana Racyniaka, hmm...

Bąłem się tych na pozór niewinnych pomruków. Zdażyłem już gorzko pożałować, że mu wcisnąłem gotowca.

— N00, brawo, masz odpowiedzi na wszystkie pytania. Nawet diagram zdażyłeś narysować jak należy — pochwalił mnie nauczyciel, ale w jego oczach błysnęła iskierka podejrzenia.

— Jakoś zdażyłem... — wyszeptalem na wydechu, bo akurat usiłowalem wraz z plecakiem przecisnąć się obok niego. Tak się również złożyło, że sumienie w tej właśnie chwili ścisnęło moją pierś żelaznym imadłem.

Geograf położył mi na ramieniu szeroką, ciężką dłoń, niweczając skomplikowaną operację wydostawania się z klasy

— Chcesz mi wmówić, że w ciągu dziesięciu minut zrobiłeś więcej, niż niektórzy twoi koledzy przez całą lekcję? Przecież nawet byś nie zdażył wszystkiego dokładnie przepisać z tablicy! Byłem coraz bardziej przekonany, że za kilka chwil ziści się moja wizja sprzed trzydziestu minut, czyli Wąsik na polecenie dyra rzeczywiście wykopie mnie z tej budy.

— Nie wiem, jak tego dokonałeś — ciągnął nauczyciel — ale się dowiem. Dowiem się i zrobię z tym porządek. Bo cudów nie ma, tego mi nie wmówisz, kochaniutki!

27

Maruszak coraz bardziej się rozkręcał. Jeśli natychmiast mu nie ucieknę, gotów jeszcze jakimis torturami wydobyć ze mnie prawdę. I wtedy nie tylko ja polegnę, ale także Kostek dostanie rykoszetem. A właściwie jakim sposobem ten ko-szołaz zdobył pytania?

Nagle mnie olśniło.

— Muszę do toalety — pisnąłem słabym głosem, przebierając nogami i skręcając się pokazowo.

— Do toalety? — stropił się Maruszak, przerywając potok słów. — Ach tak... No cóż, jeszcze wrócimy do tej sprawy... — odsunął się i pozwolił mi wyjść.

Poczułem niewysłowioną ulgę, ale już na korytarzu uświadomiłem sobie, że drugi raz dzisiaj z ust nauczycieli padły złowrogie słowa: „Wrócimy do tej sprawy”. A biorąc pod uwagę przygodę z lizolem, sprawa rzeczywiście była śmierzcząca.

Miałem wielką ochotę odnaleźć Ptaka i dowiedzieć się, co jest grane. Przeciskając się przez tłum snujących się smętnie uczniów, niezwracających najmniejszej uwagi na dobiegające z głośników radiowęzła hip-hopowe rytmy, poszukiwałem wzrokiem jakiegoś w miarę spokojnego miejsca. Wreszcie przykucnąłem w kącie, tuż obok wiszącej na haku czerwonej gaśnicy, wygrzebując z plecaka telefon. Odnalazłem numer komórki Kostka i zacząłem na połączenie.

— Tak? — zaskrzyphiał w słuchawce niewyraźny, obco brzmiący głos. Czyżby zasięg był za słaby? - Cześć, Ptaku! — krzyknąłem, przysłaniając mikrofon dłonią. — Mam parę pytań.

— Kto mówi?

28

— Nie wygłupiaj się, kumpli nie poznajesz? Tu Cyna!

— Aha, Cyna... A jaki Cyna?

To nie problemy z zasięgiem — ten głos faktycznie należał do obcej osoby. Czyżby ten pacan Ptak pożyczył komuś tele fon? To do niego niepodobne...

— Mogę prosić Kostka? — kombinowałem, bo pewnie odebrał jego ojciec. Ale co Ptak robi w domu? Przecież dzisiaj ma więcej lekcji niż ja.

— Jakiego Kostka? — Gość, z którym rozmawiałem, sprawiał wrażenie idioty.

— Jak to jakiego? — znudziła mnie ta zabawa w ciuciubabkę. — Normalnego!

— Pomyłka — oznajmił głos, przerywając rozmowę.

Skonsternowany popatrzyłem na wyświetlacz, by sprawdzić numer połączenia. Był taki, jak zwykle, a nad nim jak wół widniało hasło: Ptak.

Co jest grane? Korciło mnie, żeby prysnąć ze szkoły, tylko że w mojej nieciekawej sytuacji wagary, i to z ostatniej lekcji, nie wchodziły w grę. Obiecałem co prawda grubemu Plombie, że o siedemnastej pojawię się na zebraniu samorządu — więc znowu pojawiłbym się w szkole — ale to się jeszcze zobaczy. Zresztą nie wiadomo, czego ta banda nierobów może ode mnie chcieć...?

Jazgotliwy dzwonek wyrwał mnie z myślowej pułapki. Próbowałem sobie przypomnieć, jaką mam teraz lekcję.

— Cyna, chodź na chemię! — usłyszałem.

Nade mną stała Ania Piętak, szarpiąc nieźle już naelektryzowane włosy zieloną szczotką. Oczy dziewczyny były

29

również zielone, a w dodatku piękne, ale teraz bardziej podobały mi się oczy niedostępnej Natalki.

— Chemię? — spytałem nieco zdezorientowany, usiłując złapać równowagę na zdrewniałych od kucania nogach.

— Chodź, bo znowu się spóźnisz — powiedziała Ania i podała mi rękę.

Rozdział 3.

Co wstąpiło w pana Krzywkę?

Chyba zaczynałem tracić zapał do chemii. Pan Krzywka — do niedawna życzliwie do mnie nastawiony — teraz udawał, że nie istnieje. Zachodziłem w głowę, skąd ta nagła zmiana? W końcu doszedłem do wniosku, że ma o coś do mnie pretensje.

— Kto jest dzisiaj dyżurnym? — zapytał chemik, nie podnosząc głowy znad dziennika.

Podniosłem rękę.

— Ogluchliście? — To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Szmer zdziwienia przetoczył się po klasie. Pan Krzywka znany był ze swojej poczciwości, dlatego takie zachowanie budziło zrozumiały niepokój.

— Janek ma dyżur, proszę pana profesora — poinformował grzecznie gospodarz klasy, Karol Podleski, bardziej znany jako Podlec Maszkaron.

— Wobec tego Racyniak powyciera tablicę — odezwał się jakoś smętnie, i na dodatek w próżnię, jakby mnie tu nie było.

Gabrys Gnitecki, mój „przydziałowy” sąsiad na chemii, szturchnął mnie, wymownie wskazując brudnym od korektora palcem na podwójną taflę przesuwanej tablicy. Była czysta, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że coś tu nie gra.

31

— Tablica jest, eee... powycierana — powiedziałem głośno.

— Już? — Nauczyciel otarł wierzchem dłoni spoconą łysinę; wzrok nadal miał wbity w dziennik.

— Jesteś nadzwyczaj szybki, Racyniak... Wobec tego napisz coś na tablicy i powycieraj ją ponownie.

Zrozumiałem, że to nie przelewki. Czyżby moje fatum wiązało mi właśnie kamień u szyi?

Podszedłem do tablicy, rozejrzałem się po klasie i ścisnąłem w palcach kawałek kredy.

— Co mam napisać?

— Co chcesz... Może być takie zdanie: „Uważam się za bardzo dowcipnego i lubię narażać nauczycieli na śmieszność”. Może być?

— Aleja przecież...

— Wracaj na miejsce, nie mam ochoty na rozmowy z tobą! — wybuchnął niespodziewanie pan Krzywka.

Nie znoszę takich sytuacji. Mówi się, że na złodzieju czapka gore, ale sumienie gryzło mnie raczej za sprawę z Maru-szakiem — więc o co chodzi chemikowi? Do końca lekcji siedziałbym przybity, walcząc z kłębiącymi się myślami, gdyby nie wir kolejnych wydarzeń.

Z ponurego nastroju wyrwał mnie najpierw głos asystującej Krzywce Gosi Rosomak, która miała dzisiaj pomagać w demonstrowaniu doświadczeń.

Miałem już wyrobioną opinię na temat chemicznego talentu Gosi i po wypadkach z ubiegłego roku

prędzej dałbym się namówić na wyskubywanie brwi niż na jej pomoc przy

32

przeprowadzaniu jakiegokolwiek eksperymentu — ale nasz chemik najwyraźniej lubił życie na granicy ryzyka.

— Dzisiaj dowiecie się, jak w prosty sposób można wytworzyć tlen w warunkach... Jakich? — zarzucił przynętę na wrywających się do odpowiedzi aktywistów.

— Rabo.. .ratoljnych! — krzyknęła stojąca tuż obok nauczyciela rudowłosa asystentka.

Poczerwieniałem ze wstydu.

— Właśnie — pochwalił uczennicę pan Krzywka, lecz na wszelki wypadek zapisał na tablicy słowo: LABORATORIUM. — Obserwujcie uważnie przebieg doświadczenia i róbcie notatki — nakazał, zaglądając do szafy. — Gdzie jest mój fartuch? — zapytał.

Gosia niewinnie zatrzepotała rzesami.

— Nie ma? No trudno... — westchnął ciężko chemik i zaczął zdejmować z półek szklane naczynia.

— Wiesz, gdzie jest jego fartuch? — szepnął mi na ucho Gnitecki.

— Niby skąd mam wiedzieć? — warknąłem.

— Wisi na Chuderlaku. Pożyczyliśmy go Plombie przed lekcją.

— Zwariowałeś? Przecież z tego znowu może być jakaś chryja.

— Porządny się znalazł! Pilnuj lepiej własnego nosa — naburmuszył się Gabryś, zamazując korektorem nieudany rysunek próbówki z korkiem.

Zrozumiałem, że strasząc konsekwencjami, niczego więcej się nie dowiem. Klepnałem więc Gabrysia po ramieniu.

33

— Żartowałem — zaśmiałem się. — Po co Klocek przebierał Chuderlaka?

— Bo... chcą wyczuć nową biologię — powiedział Gnida i zachichotał swym głupawym śmieszkiem wyliniałej hieny

Co prawda nie rozumiałem, jaki związek ma ubieranie plastikowego szkieletu w fartuch pana Krzywki z wyczuwaniem nowej nauczycielki, lecz Plomba miał pewnie jakieś własne plany. Tymczasem zarumienionej po uszy Gosi udało się jakoś skończyć przygotowywanie stołu, nie tłukąc probówek.

— Bardzo ładnie — pochwalił ją chemik. — Wlej jeszcze wodę do krystalizatora, a potem podaj mi manganian potasu

— dodał, pochylając się nad szufladą w poszukiwaniu gumowych rękawiczek.

Asystentka wyjęła z szafy pękatą butlę z ciemnego szkła i odkorkowała ją, krzywiąc się z niesmakiem, po czym wlała trochę bezbarwnej cieczy do płaskiego naczynia.

— Gotowe? — upewnił się nauczyciel, walcząc nieporadnie z niedającymi się naciągnąć na palce rękawiczkami.

— A manganian?

— Oj jku! — pisnęła Gosia. — Całkiem zapomniałam, już podaję! — Wydłubała ze stojaka fiolkę z ciemnofioletowym płynem i podała ją w pośpiechu chemikowi.

Na razie nic nie zwiastowało nieszczęścia. Postanowiłem jednak mieć się na baczności, bowiem zbyt dobrze znałem umiejętności mojej koleżanki.

— Teraz podgrzeję probówkę z manganianem potasu, a ulatniający się gaz popłynie tą rurką do krystalizatora

34

x wodą — objaśniał pan Krzywka. — Już przefiltrowany zbierze się nam w drugiej próbówce w postaci czystego tlenu. Zapisaliście?

— Nieee! — jęknęła klasa.

Pan Krzywka nie zwrócił jednak uwagi na ślimacze tempo pracy drugoklasistów. Wyciągnął zapałkę, podpalił kostkę suchego spirytusu i powiedział:

— Dla bezpieczeństwa mogącą się jeszcze żarzyć zapałkę zawsze należy zamoczyć w wodzie.

Dmuchnął w tłący się zapalczany łebek i z kamienną twarzą zanurzył go w krystalizatorze.

W tej samej chwili niespodziewanie świsnęło, aż serca w nas zamarły. Z naczynia buchnął słup

niebieskawego płomienia, osmalając oblicze zaskoczzonego pedagoga. Po jego czarnych brwiach pozostały jedynie białe podłużne ślady.

— Rosomak... to przecież... — ale nie dokończył, bo upadł zemdłony na podłogę.

Tuż obok niego osunęła się nieszczęsna asystentka. Zareagowałem jako pierwszy

— Co was tak замуrowało?! — wrzasnąłem. — Trzeba ich cucić!

Na te słowa z ławek wyskoczyło kilkunastu osobników, zawsze chętnych do siania zamętu.

— Na korytarz z nimi! — krzyczeli jeden przez drugiego.

— Okno! Otworzyć okno!

- Zamknijcie się — syknąłem. — Chcecie tu kogoś ściągnąć?

35

Wrzaski umilkły, a wokół nieprzytomnych ofiar eksperymentu z pozyskiwaniem tlenu zebrał się wianuszek ciekawskich.

— Może ich spoliczkować? — zaproponowała Ania. — Moja mama twierdzi, że to skutkuje nawet na nieboszczyków.

Pokręciłem przecząco głową.

— Nie będę bił belfra po twa rzy A dobre rady twojej mamy zachowaj dla siebie — powiedziałem szorstko.

Wiedziałem, że Ania znów się będzie na mnie boczyć, ale jako adorator Natalki Omiłko byłem ponad to.

36

— Mam wodę — Podlec podsunął mi pod nos butlę zabraną ze stołu. Ze środka ulatniał się zapach czystego spirytusu. Zawartość naczynia doskonale tłumaczyła ten niespodziewany wybuch.

— Przecież to etanol, ćwoku. Odstaw go lepiej do szafy i pomóż mi posadzić Krzywkę na krześle — zakomenderowałem.

W oczach ostrzyżonego na jeża Maszkarona błysnęły iskierki złości. Nim zdążyłem zareagować, przechylił butlę i przytykając kciukiem jej szyjkę, pokropił alkoholem twarz zemdłonego chemika.

Ten tylko na moment otworzył oczy, wymamrotał: „O... nese ..oda” — i ponownie zapadł w letarg. Podekscytowane towarzystwo zawyło ze śmiechu. Zaczynałem mieć ich dosyć.

Chwyciłem nieprzytomnego nauczyciela pod pachy i zacząłem go wlec w stronę biurka.

— Co ty wyprawiasz, Cyna, odbiło ci? — Zwalisty osobnik nazwiskiem Slipek, reprezentant szkoły w zapasach, zatarasował mi drogę i patrzył na mnie spode łba.

— Ratuje nas, Byku — wy sapiałem i wyprostowałem się dla złapania oddechu.

Pogodne na ogół czoło aktualnego mistrza powiatu w przygniataniu do maty delikatniejszych chłopaków zachmurzyło się na znak próby zrozumienia moich poczynań.

— Chcesz odstawić jakąś szopkę? — upewnił się stojący za zapaśnikiem Gnitecki. Ten przynajmniej jest bystry...

— Dokładnie tak — potwierdziłem. — Jak tam Gośka?

37

— zerknąłem na oprzytomniałą koleżankę, chlapiącą w objęciach zdeglustowanej Ani.

— Żyje — burknęła, ciągle jeszcze obrażona na mnie za skomentowanie rad jej mamy.

— Jeśli się wyda, że ten wypadek zdarzył się z jej winy, mogą obniżyć jej sprawowanie, a wiecie przecież, w jakiej dyscyplinie jest wychowywana. O mało nie została wysłana do szkoły z internatem gdzieś pod Suwałki. Chcecie tego?

— Jej sprawa — skrzywił się Podlec, ale dziewczyny zaraz go ofuknęły.

— Po drugie — kontynuowałem, ocierając pot z czoła — wywalą Krzywkę z pracy za nieudolność...

— No i...? — W pytaniu gospodarza klasy nie wyczułem nawet cienia współczucia. Postanowiłem więc odwołać się do ich instynktu samozachowawczego.

— No i dadzą nam innego nauczyciela — odburknąłem złowrogo. — Słyszeliście może o magistrze Erneście Kubiaku? Uczy w ogólniaku. Mówię wam, facet jest strasznie cięty Zaliczyć chemię u magistra Kubiaka to jak... czy ja wiem... to jak przejść przez jezioro pełne krokodyli.

— Ale co ma piernik...

— Ano ma — przerwałem, po czym skończyłem tę wyssaną z palca opowieść drżącym z emocji szeptem: — Podobno tydzień temu magister Ernest Kubiak złożył podanie o pracę w naszej szkole. Pełną napięcia ciszę przerywały jedynie przyspieszone oddechy, zwiastujące narastającą panikę. Wyglądało na to, że kupili moją historię.

38

— Posadźmy gościa na krzesła i udawajmy, że nic się nie stało. Możemy mu wmówić, że spał! — podsunął Gnida, uśmiechając się szelmowsko.

Teraz mogłem usunąć się w cień.

Przeszkadzająca sobie nawzajem horda ochotników posadziła chemika przy biurku, a jedna z dziewcząt podbiegła do niego z tuszem do rzes w rękę.

— Namaluję mu brwi — zaproponowała ku uciesze reszty klasy

— Beata, daj spokój! — próbowałem ją odwieść od tego zamiaru, ale banda dowcipnisiów tym razem skutecznie uniemożliwiła mi dostęp do biurka.

— Namaluj mu wąsy i baczki! — podjudzali ku mojemu przerażeniu. Wiedziałem, że sytuacja zaczyna się wymykać spod kontroli.

Zdesperowany, zacząłem się przepychać przez podekscytowany tłumek, ale Ślipek bez trudu wyciągnął mnie stamtąd i wcisnął w ławkę.

— Zrobiłeś swoje — szepnął słodko i pogłaskał mnie kanciastą łapą po głowie. — A teraz bądź grzeczny.

— Puść go! — wstawiła się za mną Ania, lecz zapaśnik odsunął ją ode mnie delikatnie i powiedział:

— Uważaj, mała, bo coś ci się przypadkiem może stać...

Nie dokończył, bo nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich zwabiony hałasem dyrektor Balezy. Pchnięte siłą przeciągu skrzydło okienne straciło na podłogę glinianą doniczkę z sadzonką rzadkiego gatunku

39

kaktusa, *Espositoa lanata*, którą pan Krzywka podobno dostał na urodziny od swojej córki mieszkającej w Ekwadorze. Cenna roślina pękła na pół, a wieńczący ją do niedawna piękny kłęb białych włosków odpadł i leżał oblepiony grudkami szarej ziemi.

— No ładnie! — huknął Walezy, jednym spojrzeniem oceniając zastaną sytuację. — Gdzie jest nauczyciel?

Pobladła z wrażenia gromadka rozpierzchła się po klasie. Na placu boju pozostał jedynie budzący się właśnie pan Krzywka.

— A cóż to, panie kolego, za awantura, he? Koleżanki zza ściany nie mogą prowadzić lekcji, bo u pana ciągną bieżanina i wrzaski!

— O soo choosi? — wybełkotał półprzytomny chemik. Dyrektor zmarszczył brwi.

— Pan, zdaje się, ma kłopoty z wysławianiem się? Proszę do mnie podejść!

Na tak stanowcze polecenie Krzywka wstał, ale zatoczył się jak pijany. Zebrał się jednak w sobie i powiedział znacznie wyraźniej niż przed chwilą:

— Je... estem, panie dyrektorze... Walezy pociągnął nosem i uniósł brwi.

— Czuję alkohol! Pan jest nietrzeźwy, panie kolego! To skandal! Rozumie pan? To grozi dyscyplinarnym zwolnieniem! I co pan ma na twarzy?

— Ja... nietrzeźwy? Ależ skąd! — zaprotestował słabym głosem nauczyciel, bezwiednie rozmazując palcami tusz po policzkach. — Ja nie wiem...

40

Dyrektor ujął go za ramię i wyprowadził na korytarz, pokrzykując po drodze:

— Nie dość, że podczas musztry pozwala pan, by będący w nieodpowiedniej dyspozycji psychicznej uczeń Winiuch wyprowadził na wagary dwie klasy pierwszaków, to w dodatku beztrąsko folguje pan swojemu antyspołecznemu nałogowi na terenie placówki!

— Ale młodzież...

Przestałem ich słuchać, czując narastającą złość. Czułem, że muszę stąd wyjść, w przeciwnym razie wybuchnę i rzucę się z pięściami na tę udającą uczniów hołotę.
W samą porę zadzwieczał dzwonek.

41

Rozdział 4.

Dziwni goście z „Kefirka”

W trudnych sytuacjach mogłem liczyć jedynie na Ptaka, ale akurat dzisiaj, kiedy go potrzebowałem, musiał się gdzieś zawieruszyć.

Kostek był dwa lata starszym ode mnie, obdarzonym niezwykle fantazją gościem o skłonnościach do łobuzerstwa. Większość chłopaków w moim wieku mogło o takim kumplu jedynie pomarzyć. Mizerny wygląd Kostka już niejednego chojraka wprowadził w błąd. W tym niewysokim chudzielcu z wielkimi niebieskimi oczami cherubinka, z obciętą na pazia blond czup-rynką kryła się prawdziwa podwórkowa bestia. Widziałem, jak kiedyś położył na rękę samego Ślipka. Zapaśnik tłumaczył później, że bolał go żołądek i nie mógł się odpowiednio skoncentrować, ale ja wiem swoje.

Poza tym Kostek był znany z twardej pięści i z refleksu godnego rewolwerowca oraz z niezwykle talentu do komputerów. Ja — jako nałogowy gracz — niespecjalnie lubiłem zagłębiać się w zawilosci informatyki. Interesowała mnie raczej rozrywkowa otoczka wirtualnego świata, to znaczy niesamowite przygody, sceny walki i różne takie.

Od dwóch tygodni, czyli od czasu pierwszej w tym roku

42

wywiadówki, miałem szlaban na gry aż do końca semestru. Po dzisiejszych zajęciach mogłem się spodziewać, że starzy przedłużą mi szlaban pewnie do czterdziestki. Albo i do końca życia.

Pochłonięty czarnymi myślami nawet nie spostrzegłem, kiedy opuściłem ceglany budynek gimnazjum im. Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i znalazłem się na ulicy. Początkowo, rozdygotany z emocji, planowałem wrócić jak najszybciej do domu, lecz kiedy tak szedłem, czując na rozpalonej twarzy ciepły powiew październikowego wiatru, mój gniew uleciał gdzieś w zakamarki podświadomości, ustępując miejsca... ruskim pierogom.

Zapach świeżo ugotowanych ruskich pierogów, okraszonych dobrze przysmażoną na maśle cebulką, zawsze działał na mnie kojąco.

Wkrótce stanąłem przed rozległą witryną baru mlecznego „Kefirek” przy ulicy Mętnej, przetkając ślinę przy lekturze przyklejonego do szyby menu: „Leniwe — 1,80/Ruskie - 2,20/Kopytka - 1,65 za 100 g”.

Klepnąłem się po kieszeni kurtki raz i drugi, ale niestety nie usłyszałem zbawiennego brzęku drobniaków. Pożegnałem się więc z wizją pierogów i już miałem odejść, rzucając jeszcze tęskne spojrzenie na kuszące hasło: „Najlepsza maślanka — wejdź i skosztuj!”, kiedy dotarło do mnie, że być może nie wszystko jeszcze stracone.

Przykucnąłem, zrzuciłem nowiutki plecak z brązowej skóry na pochlapany błotem chodnik i wyjąłem gruby zeszyt w czerwonej okładce. Moje podręczne archiwum.

43

Przekartkowałem sfatygowany po kilku latach użytkowania notatnik, po czym z westchnieniem ulgi wyciągnąłem przeznaczone na ubezpieczenie dwadzieścia złotych. Ułamek sekundy zajęła mi walka z sumieniem, w końcu jednak zwyciężyło stwierdzenie, że młody organizm powinien się regularnie odżywiać.

W barze przywitały mnie: charakterystyczny zapach obiadowej mieszanki, szcęknięcie sztućców oraz dobiegająca z ukrytego głośniczka, lekko przesterowana na basach piosenka, w prostych słowach opisująca straszliwy zawód miłosny jakiegoś sympatycznego obywatela.

— „Ja cię ko-ko, ko-ko, kocham, a ty mnie nie, nie, nie, o je!” — zanuciłem bezwiednie, próbując precyzyjnie się obok ubranego w brązowy kraciasty płaszcz siwiutkiego staruszka, który — stojąc niezdecydowanie przed tablicą z opisem potraw — blokował wąskie przejście do kasy.

— Przepraszam pana — powiedziałem grzecznie, choć stanowczo.

Staruszek najwidoczniej ignorował uwagi młodszych od siebie, bo nie zaszczycił mnie nawet

odrobiną uwagi.

— Ależ proszę się przesuwac, proszę się przesuwac — wychrypiała kasjerka, zerkając wymownie w moją stronę.

— Przepraszam pana — powtórzyłem głośniejsze. Dziadunio z rozczochraną kocią brodką odsunął się nieco,

tworząc szczelinę między metalową barierką a swoją steraną życiem osobą. Kiedy jednak wcisnąłem się za jego plecy, cofnął się niespodziewanie, z zaskakującą siłą przygniatając mnie do zimnej aluminiowej poręczy

44

Poczułem bijący od jego płaszcza wstrętny zapach nafta liny.

— Następny klient! — zniecierpliwiała się kasjerka i dorzuciła z pretensją: — Głuche to dziecko czy jak?

— O, wypraszam sobie — stęknąłem, uważając by nie wyłamać sobie przednich zębów o metal. Jednocześnie spróbowałem wbić prześladowcy łokieć w plecy.

— Co?! — huknął skrzeczącym głosem wprost do mojego ucha staruszek, który, zaniepokojony szamotaniną, nagle się odwrócił.

Skorzystałem z okazji.

— Podwójne ruskie i maślanka — zadysponowałem, dobiegając do kasy.

— Ruskie wyszły — ziewnęła rudowłosa kasjerka o nastroszonej czuprynie, z lubością oglądając swe długie, pomalowane we wzorki paznokcie.

Ta odpowiedź zbiła mnie z tropu, ale postanowiłem podjąć rękawicę:

— To kopytka. Podwójne — rzuciłem, wyjmując z kieszeni banknot dla zachęty. — I maślanka.

Kasjerka nawet nie mrugnęła.

— Kopytka wyszły — odpowiedziała. Spochmurniałem.

— A co nie wyszło? — zapytałem, siląc się na spokój.

— Placki są. Z ziemniaków. Kasować? Za plackami nie przepadałem, ale cóż...

— Kasować... — pokiwałem smętnie głową.

— Pyyylacki raz! — wrzasnęła kasjerka, nie odwracając

45

się nawet w stronę okienka kuchennego. Jej palce z wprawą przebiegły po klawiaturze kasy.

— Dwa dwadzieścia — oznajmiła, kładąc przede mną wąski paragon.

Moje dwie dychy wylądowały w kasetce.

— Aha, poproszę jeszcze śmietanę — przypomniałem sobie, kiedy zbierałem ze szklanej podstawki resztę, wydaną mi złośliwie w postaci sterty pięćdziesięciogroszówek.

— Dla pana? — uśmiechnęła się kasjerka do staruszka, który wreszcie zdecydował się, na co ma ochotę.

— A moja śmietana? — zaprotestowałem nieśmiało.

— Śmietana nie była zamówiona — odpowiedziała kasjerka, zwracając się dziadka, z zapalem kiwającego siwą głową.

Czułem się zlekceważony. Poczłapałem do okienka pełen podejrzeń o spisek przeciwko mnie.

— Z cukrem bez śmietany! — wrzasnęła odziana w biały fartuch potężnej postury kucharka, kładąc przede mną talerz z trzema zbrą-zowiałymi wskutek częstego podgrzewania plackami.

— Nie chcę z cukrem — jęknąłem i pośpiesznie chwyciłem brzeg talerza, ale kobieta była ode mnie silniejsza. Wyszarpnęła talerz i wprawnym ruchem sypnęła na placki łyżkę zaczerpniętego ze słoika cukru.

46

— Smacznego — powiedziała z uśmiechem, ale z jej świdrującego spojrzenia wyczytałem następujące życzenie: „Obyś się udławił!”. Choć nie mogę wykluczyć, że z głodu miałem halucynacje.

— Ryyyuskie raz! Śmietana raz! — dobiegło mnie od kasy.

Jak to: „Ruskie raz”?! Wniebowzięty staruszek kuśtykał do okienka, zwycięsko machając paragonem na pierogi. Nie ma na tym świecie żadnej sprawiedliwości...

Zająłem miejsce przy stoliku, sadowiąc się tyłem do sali, żeby nie patrzeć, jak dziadyga będzie się obzerał moimi ruskimi. Spróbowałem zeskrobać widelcem lepkie grudy cukru, ale placki zdążyły już wchłonąć niepasującą mi do nich słodycz. Bez entuzjazmu zabrałem się za jedzenie, żałując, że nie poszedłem na obiad do domu. No i planowałem przecież po drodze wstąpić do Ptaka, żeby wyjaśnić parę spraw...

— Co jest, Kalafior? Coś ci nie pasi? — zabrzmiał z tyłu chropawy głos.

Zerknąłem zaciekawiony

Przy stoliku parę kroków ode mnie sadowiło się właśnie dwóch ogolonych na łyso i odzianych w czarne skórzane kurtki młodzieńców. Coś mi mówiło, że nie są studentami.

— Wszystko mi nie pasi, Duda, wszystko. Ta zupa mi na przykład nie pasi — narzekał krępy przyszczaty osobnik o smutnym obliczu.

— Czego chcesz od zupy? Ma co trzeba. O, makaron ma — przekonywał wysoki chudzielec, dmuchając w talerz.

47

Krępy puknął palcem w solniczkę raz i drugi, po czym zauważył:

— No, ale co to jest za zupa? Powiedz mi, Duda. Makaronowa? Nie ma takiej zupy.

— Jak nie ma? Co ty, Kalafior, bredzisz? Przecież skoro ją jesz, to chyba jest, no nie?

— Niby jem nią, tyle że...

— Ją jesz. Mówi się: ją jesz, analfabeto. Tą zupę — sprostował Duda między kolejnymi siorbnięciami.

— Ja bym powiedział, że tę zupę.

— To brzmi za bardzo z francuska, Kalafior. Nie bądź taki mądry i wcinaj, co dali. Nie mamy czasu na dyrdymały. Dzwonił Bolek, żebyśmy wpadli. — Duda zamoczył w zupie kawałek bułki.

— Żebyś, Duda, nie zapeszył z tym wpadaniem. Czego się gapisz, młody? — Ostatnie słowa skierowane były do mnie.

Kęs placka na moment utkwiał mi w gardle, bo w spojrzeniu osobnika zwanego Kalafiorem było coś zimnego. Coś, od czego ciarki przechodzą po plecach. Skurczyłem się w sobie, niemal wciskając nos w talerz. Na szczęście typek o wyglądzie bandziora wrócił do wyskrobywania łyżką resztek krytykowanej przez siebie zupy

— Idź, Kalafior, zamów fasolkę po bretońsku, o ile tu mają. Po tej wodziance zgłodniałem jeszcze bardziej — zadysponował Duda, najwyraźniej ważniejszy z podejrzanej dwójki.

— Dlaczego ja? — Kalafior zacisnął pięści.

48

— A widzisz tu innego Kalafiora? Nie, i dlatego właśnie, że jesteś jedynym Kalafiorem, to pójdziesz i zamówisz — oznajmił Duda, po czym oblizał łyżkę i pacnął nią swego smutnego kompana w czoło.

Wbrew podpowiedziom zdrowego rozsądku ponownie odwróciłem się w ich kierunku. Obyło się jednak bez sensacji. Pryszczaty koleś z ciężkim złotym łańcuchem na szyi niechętnie wstał i z jeszcze smutniejszą miną niż przed chwilą poszedł do kasy.

Wtedy przypomniałem sobie o Kostku. Sięgnąłem więc do kieszeni po komórkę, drżącymi palcami wystukując jego numer. Może wreszcie uda mi się z nim połączyć?

Ni z tego, ni z owego rozległa się nieco fałszywa melodyjka z Gwiezdných wojen. Drgnąłem zaskoczony. To przecież...

Duda wyciągnął telefon i burknął:

— No, co tam?

W mojej słuchawce owo „No, co tam?” zabrzmiało bardziej opryskliwie niż w rzeczywistości. Jakim prawem ten twarzowiec używa komórki Ptaka? Przecież jej chyba od niego nie odkupił? Oblizałem wargi i szepnąłem, wsuwając głowę pod stolik:

— Kto mówi?

— Ty niby jesteś Cyna? — ten sam głos rozlegał się zarówno tuż przy moim uchu, jak i pięć

metrów ode mnie. Aha, czyli już zdążył odcyfrować moją ksywkę z wyświetlacza. A nie wyglądał na tak biegłego w czytaniu.

— A ty niby jesteś złodziejem telefonów? — zapytałem, zapominając, na co się narażam.

— O zesz ty w mordę, koziołku! Poczekaj no... — zagroził Duda i skinął dłonią do nadchodzącego z tacą Kalafiora. — Na ten trefny aparacik właśnie dzwoni jakiś śmierzdel. Niech no tylko go dopadnę... — nie dokończył i wyłączył telefon, kładąc go obok talerza. W tej samej chwili spojrzął na mnie.

Z obojętnością muła wylizywałem właśnie resztki zeszlonego cukru, choć muszę przyznać, że robiło mi się niedobrze. Szczęściem brzęk tłuczonego talerza postawił na baczność

50

wszystkich klientów „Kefirka”, z głodnymi przestępcami włącznie. No, prawie wszystkich. Mizerny staruszek, będący sprawcą niespodziewanego hałasu, zanurkował rozpaczliwie ku stolikowi bandytów i porwał leżący tam telefon, zrzucając przy okazji talerz dymiącej jeszcze fasolki na kolana zaskoczonych Kalafiora. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, sprawca zamieszania wybiegł z baru na ulicę i zniknął za rogiem.

— Ty wi... widziałeś, D... Duda? — wyjąkał Kalafior. Ujął w palce kawałek ociekającej sosem kielbaski i popatrzył na nią, unosząc brwi.

— Dorwiemy dziada! — warknął wściekle chudzielec. — Zapłaci nam za ten telefon.

51

— I za... i za... i za dzinsy! — dodał jego pryszczaty kompan, połykając kielbasę. — Bo my tu rządzymy, co nie, Duda?

Duda z niechęcią zmierzył go wzrokiem.

— Powycieraj się, łajzo. Jak ty wyglądasz? I zapamiętaj sobie raz na zawsze: w tym mieście nie rządzymy my, tylko Bolek! Jasne?

— P... pan Bolek — Kalafior skwapliwie pokiwał głową, a potem rzucił we mnie fasolką. — Młody, wynocha stąd, ale już!

Westchnąłem ciężko i wystękałem:

— Dziękuję...

Wychodząc z baru miałem już pewność, że w ciągu najbliższych dni nie będę się nudził.

52

Rozdzi

Trudna droga do domu

Omijając kałuże, szedłem ulicą nazwaną dumnie Aleją Konstytucji, mimo że przypominała raczej jakiś zaniedbany zaułek. Targały mną złe przecucia, a na dodatek po przygodzie w „Kefirku” przeszła mi ochota na obiad, chociaż nie mogę powiedzieć, że byłem najedzony

Lubię Trombolin — w końcu w tej przemysłowej mieścinie średniej wielkości mieszkam od urodzenia — lecz coraz częściej myślałem, jak by to było pięknie, gdybym pewnego dnia po prostu stąd zwiął. Takie myśli nachodziły mnie zwykle w sobotnie poranki, kiedy to miałem okazję słyszeć, jak przez bramę sąsiadujących z moim osiedlem Zakładów Drzewnych „Wyrwidąb” wyjeżdżają w opętanczej gonitwie wielkie ciężarówki wyładowane deskami, tarcicą i Bóg wie czym jeszcze.

Co prawda ojciec tłumaczył mi, że tak już musi być — cały tydzień pracują, a w soboty wywożą wszystko do kontrahentów (cokolwiek to znaczy) — ale ja wiem jedno: cały tydzień się ucę, by w soboty zrywać się bladym świtem, budzony łoskotem silników, skrzypieniem blach na przyczepach i ujadaniem Dyzia.

Dyzio to pies sąsiadów. Byłby z niego całkiem miły łapser-dak, gdyby nie mania obszczekiwania każdego przejeżdżają-

53

— I za... i za... i za dzinsy! — dodał jego pryszczaty kompan, połykając kielbasę. — Bo my tu rządzymy, co nie, Duda?

Duda z niechęcią zmierzył go wzrokiem.

— Powycieraj się, łajzo. Jak ty wyglądasz? I zapamiętaj sobie raz na zawsze: w tym mieście nie rządząmy my, tylko Bolek! Jasne?

— P... pan Bolek — Kalafior skwapliwie pokiwał głową, a potem rzucił we mnie fasolką. — Młody, wynocha stąd, ale już!

Westchnąłem ciężko i wystękałem:

— Dziękuję...

Wychodząc z baru miałem już pewność, że w ciągu najbliższych dni nie będę się nudził.

52

Rozdział 5.

Trudna droga do domu

Omijając kałuże, szedłem ulicą nazwaną dumnie Aleją Konstytucji, mimo że przypominała raczej jakiś zaniedbany zaułek. Targały mną złe przecucia, a na dodatek po przygodzie w „Kefirku” przeszła mi ochota na obiad, chociaż nie mogę powiedzieć, że byłem najedzony.

Lubię Trombolin — w końcu w tej przemysłowej mieścinie średniej wielkości mieszkam od urodzenia — lecz coraz częściej myślałem, jak by to było pięknie, gdybym pewnego dnia po prostu stąd zwiął. Takie myśli nachodziły mnie zwykle w sobotnie poranki, kiedy to miałem okazję słyszeć, jak przez bramę sąsiadujących z moim osiedlem Zakładów Drzewnych „Wyrwidąb” wyjeżdżają w opętanczej gonitwie wielkie ciężarówki wyładowane deskami, tarcicą i Bóg wie czym jeszcze.

Co prawda ojciec tłumaczył mi, że tak już musi być — cały tydzień pracują, a w soboty wywożą wszystko do kontrahentów (cokolwiek to znaczy) — ale ja wiem jedno: cały tydzień się uczę, by w soboty zrywać się bladym świtem, budzony łoskotem silników, skrzypieniem blach na przyczepach i ujadaniem Dyzia.

Dyzio to pies sąsiadów. Byłby z niego całkiem miły łapser-dak, gdyby nie mania obszczekiwania każdego przejeżdżają-

53

cego samochodu. A już w tym tygodniu ten kundel przeszedł samego siebie i ujada również w nocy, nie zwracając uwagi nawet na ciężkie buciory, którymi desperacko ciskam w niego 1 przez okno. Mijając kino „Wenecja”, sprawdziłem czas. Było dwadzieścia pięć po trzeciej, co oznaczało, że mama jest już w domu. Za pół godziny pojawi się i ojciec z odebranych z przedszkola Glutem. .. to znaczy z Krzysiem, moim pięcioletnim braciszkiem, a zarazem wiecznym utrapieniem. Pół godziny to akurat tyle, żeby spokojnie wstąpić do Kostka, pogadać z nim i wrócić do domu jeszcze przed starym, unikając w ten sposób moralizatorskich rozważań na temat przestrzegania „pewnych reguł”. „Pewne reguły” wisiały na drzwiach mojej szafy od jakichś trzech lat. Szanowny ojczulek wysmażył ich aż dwanaście, wydrukował na czerwonym papierze i oprawił w anty ramę. Spis rozpoczynało pobożne życzenie, że: „Będę systematycznie odrabiał lekcje”, a kończyły nieludzkie: „Punktualne powroty do domu”. Gdyby tak tato jeszcze dopisał, w jaki sposób mam owych reguł przestrzegać, a równocześnie pozostać normalnym nastolatkiem, byłbym mu niezmiernie wdzięczny

Drzwi kamienicy, w której mieszkał Kostek, nie były zamknięte, toteż wlażłem bez bawienia się domofonem i pogałem na drugie piętro, po czym zacząłem się dobijać do drzwi oznaczonych tabliczką: W. P Anatol i Zofia Ptakowie.

W końcu drzwi otworzyły się. Na moje nieszczęście pojawiła się w nich prababcia Kostka, pani Antonina — osoba, która z racji swojego podeszłego wieku... hmm... niezbyt

54

dobrze kojarzyła fakty, a na dodatek zdawała się tego wcale nie dostrzegać.

— Dzień dobry! — krzyknąłem, kłaniając się nisko, żeby zrozumiała, że się z nią witam.

Uśmiechnęła się, wyjęła z torebki sztuczną szczękę typu „szuflada”, założyła ją i powiedziała:

— Ależ nie musisz krzyczeć, Jureczku, bo ja, kochanie, wcale nie jestem głucha.

— Przepraszam... — speszyłem się.

Ciągle zapominam, że pani Antonina mimo swoich osiemdziesięciu siedmiu lat ma doskonały

słuch. Może więc to ten jej dziwny sposób ubierania się powodował, że miałem wobec niej jakieś takie nieufne nastawienie?

Dzisiaj akurat babcia Kostka wyglądała mniej ekscentrycznie niż zazwyczaj. Kwiecisty szlafrok, do tego futrzane bambosze, koronkowa chusta i biała torebka. No i nieodłączna drewniana laska ze stalowymi okuciami.

— Mam na imię Janek, pamięta pani?

— Janek? Ach, jaka szkoda, że nie Józef. To by tak cudownie brzmiało: Józef, Józeczek albo...

— Ziuuś? — podsunąłem uprzejmie, próbując jednocześnie spojrzeć ponad jej głową, by sprawdzić, czy w mieszkaniu jest ktoś, z kim mógłbym się w miarę szybko dogadać.

Popatrzyła na mnie rozczarowana.

— Jak możesz, Jureczku, prawić takie herezje? Mój zaginiony przed laty małżonek Konstanty Leopold Ptak służył pod marszałkiem Józefem. Och, kiedyż on wreszcie do mnie powróci?

55

- Marszałek?

— Konstanty Leopold, kochanie. To taki piękny mężczyzna; cóż tam, że niewysoki...

— Sądzi pani, że on jeszcze żyje? Musiałby mieć około setki... — obliczyłem szybko.

— Młodość nie wieczność, Jureczku — zauważyła i dodała. — Napijesz się nalewki z czarnego bzu?

— Jestem za młody, proszę pani — stwierdziłem ze smutkiem. — Zastałem Kostka?

— Kostek, kochanie, zaginął w trzydziestym dziewiątym, jeszcze we wrześniu. Ale może wróci?

— Przecież go dzisiaj widziałem! — zachnąłem się. — Co pani opowiada?

— Widziałeś go, Jureczku? Naprawdę? Ojej, to muszę do niego napisać! — ucieszyła się starsza pani. Gdyby nie konieczność podpierania się, zapewne podskoczyłaby z radości.

Zdażyłem już zwątpić, że dowiem się, czy jest mój kumpel, gdy pani Antonina dźgnęła mnie boleśnie laską w brzuch i zaszczębiotała rozemocjonowana:

— Zaczekaj tu, kochanie, a ja, kiedy tylko znajdę okulary, zaraz napiszę liścik! Bo ja bez okularów nie poradzę!

— Ale — zamrugąłem oszołomiony — długo to potrwa? Bo ja muszę...

Przerwałem, gdyż pani Antonina zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

— Nie przejmuj się, za pięć minut zapomni, że z tobą rozmawiała.

56

Na dźwięk tego głosu odwróciłem się gwałtownie. Tuż za mną stał Kostek, przyglądając mi się badawczo.

— Ptak, ja właśnie... — krzyknąłem, ale przyjaciel przyłożył palec do ust i syknął:

— Ciszej, nie musisz się tak wydzierać. Nie rozmawiasz z babcią Tosią.

— Co się dzieje, Kostucha, gdzieś ty się podziewał? Kosmici cię porwali czy jak? — Zdjąłem z ramion uwierający mnie plecak i odetchnąłem z ulgą.

Ptak rozejrzał się dookoła, jakby sprawdzał, czy nikt nie podsłuchuje.

— Nikt mnie nie porywał, osłe. Zniknąłem sam z siebie — powiedział na pozór obojętnym tonem, ale nie dałem się nabrać. Zbyt dobrze go znałem.

— Nie bujaj, skoro i tak coś wiem. I nie nazywaj mnie osłem, bo ja, w odróżnieniu od niektórych, nie przekiblowałem dwóch lat w pierwszej gimnazjum.

Kostek zmarszczył czoło.

— Byłem wtedy, ekhm, chory. Zresztą teraz to nieważne. Posłuchaj...

— O nie, to ty mnie, Ptaszynko, posłuchaj. Podłożyłem Maruszakowi gotowca z geografii i męczy mnie to. Skąd go wzięłeś?

— Zaczekaj, Jasiu, musisz...

Nie dałem mu jednak dokończyć.

— A komórka? Ty wiesz, kto ma twoją komórkę? — zapytałem, podchodząc tak blisko, że zobaczyłem nawet ciemne ślady na jego niewinnej twarzączce.

57

— Dobra — machnął ręką. — I tak ci miałem wszystko opowiedzieć. Ale nie teraz. Przyjdź do

mnie o... powiedzmy o siódmej. Dasz radę?

Pokombinowałem chwilę i pokręciłem głową.

— Nic z tego. Muszę się na jutro nauczyć inwokacji z Pana Tadeusza.

— Jak to, tak z dnia na dzień? — zdumiał się Ptak.

— Nie, Tyczka zadała już tydzień temu, ale wiesz, jak jest...

— No właśnie nie wiem, jak jest. Ostatnio zamiast do mnie, biegasz na jakieś chore kółko plastyczne. Odbiło ci?

— Kostek ujął się pod boki, zupełnie jak mój rodzony braciszek, kiedy ma pretensje.

Prawda była taka, że zapisałem się na kółko plastyczne do TDK-u, by być jak najbliższej Natalki Omiłko. Ale tego nie mogłem wyjawić nawet najlepszemu przyjacielowi.

— Odkryłem w sobie zdolności plastyczne. Uwierz mi, Kostek, to było jak objawienie — zełgałem. Staralem się mówić swobodnie, by nie wyczuł, że ściemniam. — Tak czy siak, muszę wykuć inwokację na tip-top. Inaczej Palikowa pojeździ sobie na mnie do końca szkoły Rano wypożyczyłem nawet książkę z biblioteki.

— Inwokację? — mruknął Ptak. — Hmm, jaka ocena ci wystarczy?

Pytanie należało do prowokujących, ale przestawanie z Ptakiem zawsze zapewniało moc wrażeń.

— Mam czwórkę i dwie tróje — kalkulowałem głośno.

— Wystarczy mi nawet mała, okrągła, tłusciutka dwójeczka.

58

_ Daj książkę.

— Książkę?

— Zakochałeś się czy powoli durniejesz? Daj mi Pana Ta deusza — Kostek niecierpliwie poruszył palcami.

Przeszukałem plecak.

— Jest — sapnąłem, z niepokojem przyglądając się poplamionej masłem z dzisiejszej kanapki okładce. Bibliotekarka pozamiata mną całą czytelnię, gdy zobaczy, jak się obszedłem z dziełem wieszca. Na razie jednak skupię się na ważniejszych sprawach.

Ptak tymczasem przestał niezrozumiale mamrotać i oddał mi książkę.

— Tak, damy radę. Nauczysz się od „Litwo” do „powiekę”. Albo, dla pewności, do „mogłem pieszo”. Wystarczy pół godziny na wbicie sobie tego do głowy — powiedział, zaznaczając brudnym paznokciem miejsce na stronie. — Na dobrą sprawę łykniesz to przy śniadaniu.

Nie powiem, że bym załapał, o co mu chodzi. Chwyciłem Pana Tadeusza i przyjrzałem się zaznaczonemu fragmentowi.

— Do „mogłem pieszo”? Przecież to w połowie zdania. I dlaczego tylko taki mały kawałek?

— Nieznajomość prawa szkodzi, mój synu. A ty najwyraźniej nie znasz wymogów procentowych — stwierdził tajemniczo. — Wyjaśnię ci wszystko o siódmej — dodał, widząc moją rozdziawioną gębę.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz? — zapytałem, rzucając okiem na zegarek. Za siedem czwarta, muszę zmiatać.

59

— Chcesz zdążyć przed starym — uśmiechnął się Kostek. — No to startuj. I nie zapomnij: o siódmej w Jamie.

Ucisnąłem mu dłoń i zbiegłem kilka schodków w dół, zatrzymując się nagle.

— Klocek chce, że bym przyszedł dzisiaj o piątej na zebranie samorządu. Co o tym myślisz?

Twarz Ptaka pobladła nieco. Tak mi się przynajmniej w tym korytarzowym półcieniu przywidziało.

Chrząknął po swoim i powiedział:

— Wygląda na to, że nadszedł już czas. Może to i lepiej...

— Lepiej? O czym ty mówisz?

— Idź już! — te słowa, jak na wypowiedź najlepszego przyjaciela, zabrzmiały nader oschle.

— Tylko że...

— Spadaj, chłopcze, bo się nie wyrobisz — nie dał mi dokończyć. — Tylko nie dzwoń już tymi drobniakami w kieszeniach. To takie dziecinne — mrugnął do mnie łobuzersko i odwrócił się w

stronę drzwi swojego mieszkania, odpinając z breloczka długi płaski klucz.

Nie pozostało mi nic innego, jak pędzić do domu, a miałem na to najwyżej cztery minuty. Na styk, ale zdążę.

Wybiegłem z kamienicy i wpadłem na ćwiczącego nieudolną „stójkę” umorusanego skatera. Na pierwszy rzut oka wyglądał na sześciolatka.

— Uważaj, smarkacu! — wyseplenił amator deskorolki, demonstrując przy okazji spore ubytki w uzębieniu.

— Nic ci się nie stało? — zatroskałem się. Podałem mu rękę, ale mnie zignorował.

60

— Maaamooo! — ryknął w stronę otwartego okna na parterze.

— No coś ty... — przełknąłem ślinę, wietrząc kolejne kłopoty. — Masz, trzymaj — podałem mu dwie wyłuskane naprędcy pięćdziesięciogroszówki.

Maluch chwycił je skwapliwie, ale znów ryknął płaczliwym głosem:

— Maaa... mooo!

Zasłona w oknie odsunęła się, odciągnięta zdecydowanym ruchem. Spanikowałem.

— A niech cię, wyzyskiwaczu — wycedziłem przez zęby, wciskając brudasowi całą garść monet, a było tego ze cztery złote.

— Co się stało, Misiu?! — Z okna wychyliła się piersiasta kobieta z wałkami we włosach i z wielkimi plastrami ogórka przyklepionymi do czoła i policzków, co nadawało jej wygląd starożytnego potwora o imieniu Meduza. Widziałem kiedyś taką postać w książce z mitami greckimi.

— A nic, tak tylko sobie ksyć! — uspokoił matkę młody krwiopijca. — Mam nowego koleżkę. To prawdziwy bogac!

Ledwie się powstrzymałem przed wymierzeniem mu solidnego kopniaka. Klepnałem go tylko przyjacielsko po plecach, aż się, łobuz, skrzywił.

— Dzięki, Misiu, za deficyt budżetowy — powiedziałem i pochyliłem się nad nim tak, by jego mama nie zobaczyła złego błysku w moich oczach. — Kiedyś się policzymy, krętaczu, tylko trochę podrośnij — szepnąłem, pokazując mu zaciśniętą pięść. — Do widzenia — pomachałem jeszcze

61

jego rodzicielce i odszedłem czym prędzej, poczerwieniały z wściekłości.

Kiedy wbiegałem na naszą zabudowaną parterowymi domami uliczkę, zegar na wieży kościoła Świętego Dominika wybijał szesnastą. No to po mnie...

62

Rozdział 6.

Najserdeczniejsze życzenia

Zdarzył się cud. Domyśliłem się tego już w chwili, kiedy przechodząc przez podwórko zobaczyłem pusty podjazd. Najwyraźniej ojciec z Glutem jeszcze nie przyjechali! Z radości wywaliłem język do ujadającego za siatką Dyzia i ukloniłem się panu Karolowi, naszemu sąsiadowi, który akurat stojąc na drabinie, przycinał gałęzie rosochatego modrzewia.

— Kiedy się weźmiesz za malowanie ogrodzenia? — zapytał sąsiad bezceremonialnie. — Ja od swojej strony już pomalowałem. A zima za pasem.

— Może w sobotę, panie Karolu. — Spychanie zobowiązań na „kiedyś tam” było całkiem wygodnym sposobem na życie, ale nie na... naszego sąsiada.

Pan Karol zszedł z drabiny i przetaił chustką zaparowane okulary.

— Zaczekaj! — zawołał, widząc, że naciskam klamkę. Poczłapał w obszytych filcem ogrodniczych kaloszach do leżącej koło psiej budy skrzynki z narzędziami.

Korciło mnie, żeby czmychnąć do domu, ale sąsiad gotów był poskarżyć się rodzicom. Już kiedyś zaczął mamę twierdząc, że mu się nie kłaniają jak należy. A ja po prostu czasami wolę udawać ślepego, niż wysłuchiwać jego teorii na

63

temat wychowywania dzieci. Nieraz widziałem, jak wnuczka wchodzi mu na głowę, więc do kogo

ta mowa?

— Jesteś jeszcze? Twoje szczęście. Widzisz to? — W wyciągniętej ręce pan Karol trzymał pochłapaną zieloną farbą puszkę.

— Pewnie, że widzę — potwierdziłem. — Całkiem fajna puszka. To do zobaczenia, panie Karolu! — ukloniłem się ponownie i uchyliłem drzwi. Natychmiast poczułem zapach pieczonego kurczaka i babki z bakaliami.

— Zaraz, cwaniaku! Nie próbuj mi się wymknąć! — pan Karol postawił puszkę na słupku i wskazał na nią palcem. — Ja malowałem tą farbą i wy też taką kupcie, żeby to po ludzku wyglądało. O, nadjeżdża twój tato, porozmawiam z nim.

Zza zakrętu, jakieś sto metrów od domu, wyjechał nasz bordowy opel. Natychmiast wyzwoliłem się spod władzy otumaniających mnie woni niezwykłego jak na czwartek obiadu z deserem.

— Nie trzeba, panie Karolu! — zawołałem, zdejmując plecak, przeskoczyłem przez rabatę z jesiennymi kwiatami i chwyciłem puszkę. Farba już zaschła, więc szczęśliwym trafem uniknąłem wybrudzenia się. — Sam jutro kupię farbę, wymaluję ogrodzenie i... iw ogóle!

Sąsiad z satysfakcją poprawił dżinsowy wędkarski kapelusik z szerokim rondem i uniósł palec, przybierając pozę mędrca z pomnika.

— Tylko się nie pomył. To ma być ciemna zieleń firmy „Pędzel Color”. Zapamiętasz?

— Jasne, „Pędzerollo”! — odpowiedziałem, przekraczając

64

próg. Chrzęst żwiru pod kołami samochodu upewnił mnie, że zdążyłem w ostatniej chwili.

Od razu pognałem do swojego pokoju. W ekspresowym tempie przebrałem się po domowemu, a potem zajrzałem do kuchni.

— To jak z tym obiadem, mamó? — zapytałem, przeciągając się leniwie.

— Jesteś nareszcie! — Zajęta porcjowaniem kurczaka mama popatrzyła na mnie z wyrzutem i oblizała palce. — Gdzie byłeś tak długo? Już się zaczęłam niepokoić...

Otworzyłem szeroko oczy, przybierając niewinną minę.

— No też coś! — prychnąłem oburzony — Od pół godziny siedzę w pokoju. Jak mogłaś mnie nie zauważyć? Przecież się z tobą witałem.

Mama odgarnęła wierzchem dłoni włosy z czoła i westchnęła:

— Całkiem możliwe. Zwolniłam się dzisiaj wcześniej z pracy, żeby ze wszystkim zdążyć, i tak się tu kręcę... Od-cedzaj ziemniaki! — ostatnie słowa zabrzmiały jak rozkaz, więc automatycznie zerwałem się z krzesła (podejrzewam, że zostałem zaprogramowany na pewien zestaw słów.

Czyżby starszycy używali wobec mnie hipnozy? Na przykład nocą, kiedy śpię).

— Są już chłopcy! — ucieszyła się mama, słysząc skrzypnięcie bramy do garażu. Gdyby ktoś nie wiedział: „chłopcy” to mój czterdziestoletni tato i pięcioletni brat. — Potłuczone?

Nie bardzo zrozumiałem, co mama miała na myśli.

— Eee, co potłuczone? — zapytałem.

65

— Ziemniaki, safanduło! — syknęła zniecierpliwiona. Będę musiał sprawdzić w słowniku, czy mnie przypadkiem nie obraziła.

— Przecież miałem odcedzić. Nie mówiłaś, żeby tłuc.

— A sam nie możesz pomyśleć? Rozkładaj talerze — nakazała i wyszła przywitać się z mężem. Trochę się pogubiłem. Dochodzi dwadzieścia po czwartej a tu jakieś dziwne ceregiele z obiadem. Jak mam zdążyć z zebraniem, skoro ciągle jestem zawałany robotą?

Odkryłem pokrywkę garnka z ziemniakami i natychmiast przypomniałem sobie, dlaczego mama używa do tego grubej rękawicy.

— Auuc! — jęknąłem, kierując na poparzone palce strumień lodowatej wody. Nieco mi ulżyło.

— Ale z ciebie osioł dardanelski — skomentował Glut, który właśnie pojawił się w kuchni. — Wiesz, co dzisiaj za święto? — Jego mina świadczyła, że wie o wiele więcej niż ja.

— Powiedz — zachęciłem go, jedną ręką wciskając w garnek tłuczek do ziemniaków, a drugą usiłując chwycić brata za odstające ucho. Skubaniec, umiał jednak trzymać się na dystans.

— Aha, ty nic nie wiesz! — ucieszył się. Jego ledwie widoczne spod przydługiej grzywki brązowe oczy wyrażały głęboką pogardę. Gdyby miał ciemniejszą skórę, mógłby uchodzić za małego Araba. W ogóle nie jesteśmy podobni; pewnie to jakiś podrzutek. Odstawiłem ziemniaki i pacnąłem go w łapsko, którym łapczywie wydłubywał rodzyнки z ciasta (a podejrzanym byłbym ja).

66

— Zostaw to i wysmarkaj te ohydne gluty. Powiesz mi czy nie?

Krzyś cofnął się na bezpieczną odległość i ujął się pod boki.

— A co mi dasz?

To młode pokolenie jest jakieś... nienormalne. Albo niemoralne nawet. Niemal od urodzenia dzieciaki trenują się w sztuce wyzyskiwania innych osobników swojego gatunku. Świat schodzi na psy!

— Mogę ci co najwyżej dać w łeb. Gadaj albo... — celowo nie dokończyłem groźby, żeby wybujała wyobraźnia smarkacza miała pole do popisu.

— Tato, Janek mnie bije! — zawołał Glut z teatralną rozpaczą w głosie i umknął z kuchni. Ręce mi opadły. Wypisz, wymaluj cwaniaczek od deskorolki.

Gwóźdź do trumny mojej rozchwianej psychiki wbiła mama, która w odświętnej sukience i z powszednią troską w oczach weszła do kuchni, ciągnąc za rękę opierającego się Krzysia.

— Idźcie wreszcie złożyć ojcu życzenia — szepnęła. — Ale razem, jak na braci przystało. A potem szybciutko umyć ręce przed obiadem.

W akcie rozpachy ścisnąłem drobne paluszki brata z zamiarem ich rozgniecenia. Zwyrrodniałe zrewanżował mi się natychmiast i wbił w moją dłoń brudne paznokcie. Na pewno nabawię się zakażenia.

Trzymając się za ręce, weszliśmy do salonu, gdzie w swym wygodnym głębokim fotelu nasz spracowany tatko

67

relaksował się przed obiadem. Mama dyskretnie stanęła przy drzwiach.

— No, jak tam, moje zuchy? — zapytał ojciec z troską, nie odrywając jednak wzroku od gazety „Wieści Tormbolina”. Jak on w ogóle zarejestrował nasze pojawienie się?

Glut rzucił się tacie na szyję, jakby zobaczył go po co najmniej miesięcznej nieobecności, i zaszczebiotał:

— Tatusiu! Chociaż jestem jeszcze mały, wierszyk ułożyłem cały... — zaczął deklamować, lecz senior rodu Racyniaków uciszył lizusa i powiedział:

— Najpierw Janek, Krzysieńku. Przecież jest od ciebie starszy — i popatrzył na mnie zachęcająco. Obliziałem wargi, modląc się o trzęsienie ziemi lub o coś równie widowiskowego. Ileż bym dał, żeby się dowiedzieć, o co tu chodzi... „Ojciec ma imieniny!” — przemknęło mi nagle przez myśl. Nabrałem powietrza w płuca.

— W dniu... — Przecież Tomasza było we wrzeźniu, niecały miesiąc temu. Sam wybierałem krawat na prezent. Postawiłem więc na urodziny. — .. yhm, w dniu... eee... — z nerwów tak powykrecałem palce, że aż mi kostki zbiełają Matko jedyna, przecież tato w marcu skończył czterdziestkę. Brnąłem więc w ślepa uliczkę. Glut to wiedział i drżał w oczekiwaniu rodzinnej sensacji.

Mój błądzący po salonie wzrok zatrzymał się nagle na stoliku, a właściwie na butelce zawiniętego w papier szampana. Obok butelki leżał dyplom, na którym ozdobną, pełną zawijasów czcionką napisano: Dyplom nadania awansu. Mam was, chytrusy!

68

— ...no i, że tak powiem, z okazji awansu, hmm, najserdeczniejsze i... samych sukcesów, tato! — dokończyłem w miarę gładko i ukloniłem się niczym żołnierz generałowi przed wyruszeniem w bój.

Ściągnięta z żalu twarz ojca nagle się rozjaśniła. Pojawiający się uśmiech był tak szeroki, że

wreszcie pojąłem sens powiedzonka o uśmiechaniu się od ucha do ucha. Zadowolony rodzic wyciągnął rękę.

69

Krzyś był trochę rozczarowany tym, że mi się upiekło, ale wbił wzrok w sufit i posłusznie wyrecytował:

— Chociaż jestem jeszcze mały, wierszyk ułożyłem cały. Że zostałeś kierownikiem, bardzo ważnym uczniem...

— Urzędnikiem, głuptasku! — poprawił go tato. A ja miałem okazję dowiedzieć się, co to za awans.

Policzki Gluta okryły się przepięknym rumieńcem.

— ..uczednikiem. Będiesz miał piątek więcej, więc całuję cię w podzięcie... — w tym miejscu przewidujący Krzysio cmoknął ojca w rękę. Nie wierzyłem własnym oczom... Temu szczeniakowi potrzeba egzorcysty! — Żyj nam, tato, hura, hura...

— Chodźmy, bo wystygnie kura — dokończyłem, psując mu puentę. Rzucił za to we mnie gazetę. Rodzice roześmiali się serdecznie, co rozładowało napiętą do tej pory atmosferę.

— Do łazienki! — mruknęła mama. — Macie dziesięć sekund!

Wystartowałem, chcąc być pierwszy, ale wcale nie musiałem się spieszyć, bo naburmuszony Glut — zamiast pójść się umyć — usiadł przed telewizorem i włączył kanał telewizji regionalnej. No tak, zawsze o tej porze ogląda Przygody Bolka i Lolka.

Namydlając dłonie, krytycznie przyjrzałem się swojemu odbiciu w lustrze. Przystojny to ja nie jestem, choć ciocia Basia twierdzi, że wykapany ze mnie tato. Tylko że tato jest wysoki, dobrze zbudowany i ma wąsy, a ja mam za duże uszy, sterczące włosy, na czole pryszczka, a pod oczami porobiły mi

70

się jakieś worki. „Oczy piwne, życie dziwne” — jak mawia pan Karol.

Mimo świętowania awansu obiad jedliśmy w kuchni. Mi to wcale nie przeszkadza — i tak zmiotłem wszystko z talerza, nim reszta rodziny się połapała, że w ogóle jestem przy stole.

Zegar wskazywał już szesnastą pięćdziesiąt, więc należało się spieszyć.

— Muszę wyjść — oznajmiłem, korzystając z chwili przerwy w rozmowie rodziców.

— Nie teraz — uciszył mnie tato.

— Ale...

— Daj posłuchać — poparła go mama.

Z włączonego w salonie telewizora dobiegały przytłumione słowa spikera:

..jubilera w Trombolinie. Łupem nieznanymi sprawców padły kosztowności o wartości około stu osiemdziesięciu tysięcy złotych, między innymi przygotowywane na ekspozycję podczas ogólnopolskich Targów Precjozów w Zielonej Górze stugramowy naszyjnik z dwudziestoczerokaratowego złota oraz słynna brosza hrabiny Teresy Trombollini, którą pan Zagórny miał odnowić dla Muzeum Miejskiego. Z zeznań jedyne go świadka wynika, że sprawcami kradzieży byli dwaj młodzi mężczyźni, ubrani w czarne dresy i kominiarki uniemożliwiające ich identyfikację. Komenda Powiatowa Policji wyznacza nagrodę...

Przestałem słuchać, bo co mnie obchodzi jakiś jubiler Zagórny i jego naszyjnik? Gdyby na rynku wylądowali Marsjanie, byłaby to rzeczywiście sensacja.

71

— Tato, ja mam zebranie o piątej — marudziłem, postanawiając wykorzystać okazję.

— Jakie zebranie? — spytał ojciec, choć wcale mnie nie słuchał.

— Samorządu... Wybór nowego przewodniczącego — wymyśliłem naprędce.

— Idź, tylko wróć o przyzwoitej porze — zgodziła się mama i popatrzyła na męża. — Widzisz, Tomku, jakie złodziejstwo się szerzy? Kto by pomyślał, że w naszym mieście...

Byłem wolny i pierwszy raz w życiu rodzice nie określili dokładnej godziny powrotu. Krzysio chyba się zorientował, że coś tu nie gra, bo zerkając na mnie, szarpał ojca za rękaw. Ubrałem się więc błyskawicznie, wykrzywiłem twarz, zwracając się do mojego rozkosznego braciszka, i

wymownie przesunąłem palcem po grdyce. Chyba pojął znaczenie tego gestu, ponieważ natychmiast zainteresował się zawartością talerza.

Na dworze było chłodno i lekko mżyło. Postawiłem kołnierz, przyspieszając kroku.

72

Rozdział 7.

Klan Zaufanych

Było piętnaście po piątej, kiedy pociągając nosem, stanąłem przed szkolną furtką. Z włosów ściekały mi za kołnierz zimne krople, gwarantując w najbliższej przyszłości solidny katar. Mimo że było jeszcze dosyć jasno, w oknie na drugim piętrze świeciły się lampy. Zebranie trwało. Przebiegłem przez plac, szuraniem próbując pozbyć się przyklejonych do podeszew mokrych, rozczapierzonych liści klonu, porywanych przez wiatr z usypanych przez woźnego żółtobrazowych stert.

Szarpnąłem za klamkę. Członkowie samorządu zamknęli się jednak w budynku, jakby prowadzili nie wiadomo jakie tajne narady. Zadzwoiłem kilka razy — bez skutku; wpadłem nawet na pomysł, by wetknąć w przycisk dzwonka zapalnik i zaraz potem rzucić w okno jakimś kasztanem, ale po pierwsze nie miałem zapalników, a po drugie — przy moim szczęściu pewnie stłukłbym szybę. Nie było innej rady — musiałem udać się po pomoc do pana Wąsika.

Woźny mieszkał na tyłach szkoły, w pobliżu sąsiadującego z gimnazjum zaniedbanego parku, w niedużym, przerobionym na służbowe mieszkanie domku, w którym przed drugą wojną światową podobno mieściła się szpitalna kostnica.

73

Rzeczywiście, gdy się dobrze przypatrzyć, nad drzwiami wejściowymi do szkoły można dostrzec ślady wyblakłych liter: ST T OS TA. Nasza germanistka, pani Zuzanna Dederko, wyjaśniła, że kiedyś widniał tam niemiecki napis: Stadthospital, czyli Szpital Miejski, ale mi te pozostałe litery układały się raczej w słowa: Ostatni Kosmita. To brzmiało o wiele ciekawiej.

Doszedłem wąską, wysypaną żużlem alejką do niskiego płotka, odgradzającego podwórko państwa Wąsików od reszty szkolnego terenu. Nigdy do tej pory nie zdarzyło mi się mieć do woźnego żadnego interesu, więc — jak się wkrótce okazało — popełniłem typowy dla nowicjusza błąd i otworzyłem furtkę.

— Halo! — zawołałem, dostrzegając przez zaciągnięte zasłony migoczący blask włączonego telewizora.

Nie było odpowiedzi, więc podszedłem bliżej i zastukałem w drzwi metalową kołatką.

Nowoczesność w postaci dzwonka tutaj najwidoczniej jeszcze nie dotarła.

— Dobry wieczór! — krzyknąłem jeszcze głośniejszym głosem. Gdzieś z boku rozległo się stłumione warczenie i nagle

wokół mnie zatańczył wielki cień. Sonia...

Na śmierć zapomniałem o psie woźnego Wąsika! Ogromny owczarek niemiecki skoczył mi na piersi, obnażając groźnie kły

— Psinka... — wyszeptałem przez ściśnięte ze strachu gardło.

Oczy Soni błysnęły gniewem.

— Aghrr... — zbulgotała. Poczulem na twarzy powiew cuchnącego oddechu. Staliśmy tak niczym zastygli w tańcu

74

dłuższą chwilę. Mógłbym przysiąc, że zza firanki ktoś się temu spokojnie przyglądał.

Nagle Sonia przysiadła, jakby na moment straciła zainteresowanie moją osobą, więc cofnąłem się dwa kroki. Wtedy

¶

wilczur skoczył ku mnie, niemal przewracając mnie swoim ciężarem. Białe zębiska kłapnęły mi tuż przed nosem.

— Panie woźny! — pisnąłem cienko. — Ratunku...

Skrzypnęły drzwi.

— Won do budy! — Na dźwięk tego szorstkiego głosu pies zaskomlał i z podkulonym ogonem umknął za kubeł na śmieci.

— A ty co, zgubiłeś coś w szkole? — zapytał woźny, patrząc na mnie z niechęcią.

— Ze... ze... — bełkotałem, bo brakowało mi tchu.

— Zegarek? Nie widziałem żadnego zegarka — burknął woźny i przeczesał palcami rzadkie czarne włosy. Spod rękawa jego roboczej kurtki błysnęła złota bransoleta. — Przyjdź jutro, może się znajdzie.

W drzwiach stróżówki stanęła żona woźnego — chuda jak szczapa piegowata blondynka z nieodłącznym papierosem w kąciku wąskich ust. Znałem ją, bo od trzech tygodni sprzątała w szkole.

— Stało się coś, Stefan? Ten tu czego? — zaskrzeczała, zaciągając się dymem.

— Szczył zgubił zegarek i się awanturuje. Psa zdenerwował — poinformował ją Wąsik.

Zacząłem podejrzewać, że mi się to wszystko śni. Żona woźnego wyjęła z ust papierosa i splunęła z obrzydzeniem.

— Tfu, łażą i łażą. Nie mają nic do roboty? A uczyć się, lekcje odrabiać albo co innego...?!

— Kiedy ja właśnie... — zabrakło mi tchu. — Kiedy ja właśnie na zebranie, do szkoły...

Wąsik wzruszył ramionami, wyraźnie się rozluźniając.

— Ty od nich? Trzeba było tak od razu mówić, a nie bawić się z psem. Daj, co masz, i zmykaj.

76

Sens tej rozmowy pozostawał dla mnie niejasny. Na doda tek zaswędziało mnie nos — nie wiem, czy z powodu rodzącego się przeziębienia, czy ze stresu. Nerwowo przestąpiłem z nogi na nogę.

— Ja jestem pierwszy raz. Spóźniłem się i nie mogę wejść.

Woźny znów się najeżył. Z chmurną miną podrapał się po głowie i zwrócił się do żony:

— Ścichapek, nieprawdaż? Przynieś, Jola, klucze — zoba czymy, co nam tu Jacuś podsunął.

Pani Jola zniknęła, ale mniej więcej po dwóch sekundach pojawiła się z pękiem kluczy na dużym metalowym kółku. Wąsik szepnął jej coś do ucha, a potem zakomenderował:

— Idziemy!

Ruszył przodem, nie oglądając się na mnie. Przyspieszyłem kroku, odprowadzany spojrzeniem zapalającej kolejnego papierosa kobiety. Zauważyłem, że Sonia wylazła zza śmietnika i oparła się na bramce. Zaczęła za mną szczekać, ale teraz mogła sobie nawet zaśpiewać...

— Pierwszy raz, tak? — zagaił woźny po drodze. — Coś ci mówili?

— To znaczy? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie. Dochodziliśmy właśnie do głównego wejścia.

— Aaa... nic — Wąsik z namaszczaniem włożył klucz do zamka i przekręcił. — Są w magazynku obok tej, jak jej tam... pracowni biologicznej. Naprawdę jesteś zaproszony? — upewnił się jeszcze. Właśnie wchodziłem na schody, ale zatrzymałem się.

77

— Czy coś nie gra, proszę pana?

— Dlaczego? — spłoszył się, o czym świadczyło rozbiegane spojrzenie.

— Bo tak się pan dopytuje, a ja nie bardzo pojmuję, w czym rzecz. Chce mi pan o czymś powiedzieć?

— Jaa? — woźny udał zdziwienie. — Gdzieżby tam, dzieciaku. Zasuway na zebranie, bo pewnie zaraz skończą.

Zamknął drzwi, ale zaraz znów je uchylił i wsunął głowę w szczelinę.

— E, mały! — zawołał za mną głośnym szeptem. — Jakby pytali, cośmy sobie gadali, to powiedz, że nic, dobra?

Uśmiechnąłem się nieszczercze.

— Pewnie, że nic. Przecież tak było — odwróciłem się i przyspieszyłem kroku, zastanawiając się, czego Wąsik tak się boi. Albo kogo...

Schody pogrążone były w półmroku — w końcu dochodziła osiemnasta. Dopiero na drugim piętrze zrobiło się nieco przyjemniej, ponieważ ciemności rozpraszone były przez światło małych

neonówek umieszczonych nad kilkoma gablotami. W jednej z nich, będącej pod opieką pana Krzywki, wisiał nawet wycinek z gazety, a w nim moje zdjęcie z uroczystości rozdania nagród laureatom olimpiady chemicznej. Gdyby nie zamykane na patentowe zamki szklane drzwiczki, kumple już dawno dorysowaliby mi brodę, wąsy, ubytki w zębach i grube okulary. Spod drzwi zaplecza biologicznego rozlewał się żółty blask. Przystanąłem, żeby najpierw posłuchać, o czym tam rozmawiają.

."9

— ...na niego liczyć. Uważam, że to był błąd, Klocku! — Ten głos należał do Gniteckiego. O ile się nie mylę, Gabryś od września pełnił funkcję redaktora naczelnego tego szkolnego szmatławca „Vox populi”.

— Błędy możesz wytykać swojej Paulince, a nie mnie, dziennikarzyno od siedmiu boleści — odparował poirytowany Plomba. — Zresztą może jeszcze przyjdzie — dodał łagodniej. Czyżby mówili o mnie?

Wiem, że to nieładnie podsłuchiwać bliźnich, ale w przypadku takich bliźnich nie odczuwałem skrpułów, więc słuchałem dalej.

— Według mnie to nawet lepiej — powiedział ktoś, kogo nie rozpoznałem po głosie, po czym kaszlnął. Ciekawe, ilu ich tam siedzi? — Dajmy mu ze trzy minuty i zamykamy zebranie.

Kilka głosów wyraziło poparcie.

Już miałem wejść, kiedy po chwili milczenia znów odezwał się Gnida, który stwierdził bezceremonialnie:

— Ja bym mu najchętniej po prostu przylał zamiast próbować wciągnąć go w struktury. Należy mu się już za samo kumanie się z Ptakiem.

— Mądry to ty nie jesteś — stwierdził Plomba, wzdychając ciężko. — Jeżeli mamy załatwić Kostka, musimy najpierw zdobyć zaufanie jego kumpla. Uśpić czujność, rozumiesz, głąbie? A o tamto się nie martw, moja klasa ma już co do Cyny solidne plany i nie mam zamiaru się w to mieszać. Pogadam z nim jutro i jakby co, zwołamy zebranie na sobotę.

Su

__ Protokołować? — zapytał kaszlący koleś.

— Co protokołować? — zdziwił się przewodniczący.

— N00, o tym przylewaniu i solidnych planach? Bo skończyłem na teście z fizyki.

— Pokarało mnie takimi współpracownikami. Po co ci, Guzek, dałem notes? Po to, żebyś zapisywał rzeczy istotne, tak? — sapał zniecierpliwiony Kłoczek.

— Oklepanie Racyniaka nie jest istotne? — zaperzył się Guzek. To był ten przygarbiony kujon z drugiej „a”. Co on robi w takim podejrzanym towarzystwie?

Odszedłem na palcach od drzwi, wstrzymując oddech. Potem wytarłem nos i ruszyłem z powrotem, przesadnie głośno stąpając.

— „Kamon sawa, komsi komsi komsi komsa!” — zanuciłem (prawdopodobnie po francusku), dając zgromadzonym czas na pozbieranie się. Zapukałem i nie czekając na zachętę, wparowałem do środka.

Obrzucili mnie zaciekawionymi spojrzeniami.

— Cześć, chłopaki — wyszczerzyłem się. — Wygodnie wam na tych stołkach? — kiwnąłem głową, wskazując na chwiejące się taborety przyniesione tu ze zlikwidowanej w ubiegłym roku harcówki.

Konspiratorów było sześciu. Osobiście znałem tylko moszczącego się w zniszczonym fotelu Jacka Plombę i zażenowanego Gabrysia Gniteckiego. Pozostałych czterech ledwie kojarzyłem. Pod oknem siedział jakiś kędzierzawy małolat — prawdopodobnie pierwszoklasista, obok niego chorowity Guzek, a dalej — niejaki Leszczyński oraz Patryk

81

Manik, nazywany Maniakiem. Dwaj ostatni chodzili do drugiej „b”.

— Spóźniłeś się, i to bardzo... — zauważył Guzek, gry-zmoląc coś w oprawionym w czarną skórę notatniku.

— Ale grunt, że w ogóle jesteś — przerwał mu Kłoczek. Pod wpływem jego karcącego spojrzenia

Guzek skurczył j się w sobie i schował notatnik pod sweter. — Miałeś być o piątej. — Z tak słodkim głosem Klocek mógłby pracować j jako opiekunka do dziecka. Jeszcze parę słów i dam mu się pogłaskać...

Tymczasem Klocek wskazał ręką na wolny taboret.

— Miałem być o piątej? — mruknąłem. — No tak, miałem być o piątej. Tylko że o piątej nie dało rady ojca mi a...

— Aresztowali?! — wpadł mi w słowo kędzierzawy pierwszak, wytrzeszczając oczy. Jak na szkolnego aktywistę ten chłoptaş jest za bardzo znerwicowany

— Awansowali — uspokoiłem go. — Musiałem zostać na obiedzie i wiecie, nacieszyć się... To co robimy? — zatarłem ręce, okazując gotowość do działania.

— Dobrze, że ci pilno do roboty — Plomba rozjaśnił twarz w najmiłszym ze swoich uśmiechów. Ciekawe, czy inne gady też potrafią się uśmiechać?

— Wakuje nam etat specjalisty do spraw naukowych — poinformował mnie Gnida, starając się unikać mojego spojrzenia.

— Czyli że co? — chciałem się dowiedzieć. Pseudonaukowy bełkot zawsze wprawiał mnie w zakłopotanie.

82

— Czyli że potrzebujemy kogoś, kto zajmie się naszymi sprawami na polu nauki. I doszliśmy do wniosku, że chyba byś się nadawał — wyjaśnił Plomba.

Przyznam, że nadal nie rozumiałem, do czego zmierzają. Strzepnąłem z kurtki niewidzialny pyłek, zakołysałem się na taborecie, omiotłem wzrokiem sufit i bąknąłem:

— He?

— Jesteś przecież dobry z chemii — odezwał się milczący dotąd Leszczyński.

— Jesteś znanym olimpijczykiem — wtrącił swoje trzy grosze Maniak, poklepując mnie, jakbyśmy byli kumplami.

Odsunąłem się od niego.

— Dobrze wiecie, że chemia to nie wszystko. Z innych przedmiotów mam oceny... eee, takie... powiedzmy, średnie. Nawet lekko półśrednie, jak mówią bokserzy.

Przewodniczący spojrzał na mnie z triumfem. Domyśliłem się, że rozmowa zmierza w wybranym przez nich kierunku. Klocek splótł dłonie na tłustym brzuchu i zapytał:

— Chciałbyś mieć dobre oceny? Ta sprawa zaczynała śmierdzieć.

— Na przykład jakie? — udałem jednak zainteresowanie.

— Na przykład szóstki, czasami piątki. W ostateczności, od biedy, czwórki — wyliczał Guzek na palcach.

Albo sugerowali, że mają układy ze świętym Mikołajem, albo...

— To niemożliwe — szepnąłem.

— To JEST możliwe! — Klocek wstał i pochylił się nade mną. — Tylko się musisz, bracie, najpierw wdrożyć.

83

— I musisz się wykazać — mówiąc to, Gnida również się podniósł.

— Wykazać? Czym? — też chciałem wstać, ale położyli ciężkie ręce na moich ramionach, przyciskając mnie do taboretu.

— Słyszałeś o Klanie Zaufanych? — usta Klocka znalazły się na wysokości moich uszu.

— N-nie... — zaprzeczyłem.

Wiedzieli, że mówię prawdę, bo w przeciwnym razie ta rozmowa miałaby zupełnie inny przebieg.

— Dostąpisz więc zaszczytu, ale w swoim czasie... Naj pierw musisz poddać się próbie lojalności.

— Przytrzymując mnie ręce zwolniły nacisk. — Jesteś gotów?

Wstałem, masując obolałe ramiona.

— No, nie wiem... — jęknąłem, ale widok krzywego uśmiešku przewodniczącego spowodował, że zmieniłem zdanie. — No, nie wiem, czy podołam — poprawiłem się — ale z chęcią spróbuję. W jaki sposób mam się wykazać?

Chyba zdołałem uśpić ich czujność, bo towarzyszące rozmowie napięcie nagle zniknęło.

— Jutro ci powiem — uśmiechnął się Gnitecki, wyciągając do mnie dłoń. Uścisnąłem ją niedbale.

— Aha. To w takim razie... — otworzyłem drzwi — do jutra! — zawołałem i wyszedłem na korytarz, ale serce waliło mi jak młotem.

Intuicja mnie nie myliła — to nie był zwyczajny szkolny samorząd. To była jakaś nikczemna banda.
84

Nie bacząc na ciemności, zbiegałem po schodach, gnany uczuciem ulgi niemal jak po wyrwaniu się z nory szakali. Po krótkiej szamotaninie z wyslizgującą się z drżących palców klamką, wyskoczyłem na dziedziniec. Siąpiło, lecz deszcz niósł ukojenie...

Rozdział 8.

Procedura cztery czternaście

Teraz nie musiałem już się śpieszyć. Do spotkania z Kost-kiem zostało jeszcze prawie pół godziny, postanowiłem więc pokreć się trochę po mieście.

Przeskakując kałuże, biegłem oświetlonym blaskiem sodowych lamp chodnikiem, aż znalazłem się na parkingu supermarketu „Corrida”, jak zwykle szczelnie zapchanym samochodami.

Z dwudziestu złotych zostało mi dwanaście osiemdziesiąt, czyli tyle, co kot napłakał. Żeby podreperować mój budżet będę musiał sprzedać jakąś grę albo, w ostateczności, wyłudzić parę złotych od braciszka.

Nie wiem, jak to się dzieje, że ja z reguły nie śmierdę groszem, a Glut ma zawsze spore oszczędności. Według mnie, śmiało mógłby zostać prezesem banku albo nawet ministrem finansów. W holu sklepu było nadspodziewanie przyjemnie. Ciepły nawiew błyskawicznie osuszył mi twarz, zaś widok spacerujących między pełnymi towarów półkami ludzi przywrócił tak potrzebne poczucie rzeczywistości.

Na dobry początek zafundowałem sobie kubek kakao z automatu, wypilem je duszkiem, sycząc i pojękując na prze-

86

rnian z powodu poparzonego gardła. Potem chwyciłem plastikowy koszyk i ruszyłem między regały

Zatrzymałem się dopiero przy półce z płytami kompaktowymi. Ledwie zacząłem je przeglądać, gdy ubrany na czarno ochroniarz, który przyglądał mi się od dłuższego czasu, podszedł z marsową miną.

— Jesteś sam? — zagaił, patrząc na trzymaną przeze mnie płytę-

Rozejrzałem się dookoła.

— Do mnie pan mówi? — upewniłem się urażony w swym poczuciu dorosłości.

— Tak, mówię do ciebie. Jesteś sam?

Nie tylko pytanie, ale i agresywny ton, w jakim zostało wypowiedziane, obudziły we mnie ducha przekory. Wrzuciłem więc do koszyka kilka płyt i powiedziałem:

— A jak pan myśli? Pewnie, że nie jestem sam. Mam matkę i ojca, brata Krzysia, którego nazywam Glutem, dwie babcie, dziadka, czterech wujków i pięć ciotek; nie licząc tych przyszywanych. A jeśli chodzi o dziewczyny, to niedawno zerwałem z taką jedną Anią...

Skołowany mężczyzna rozdziawił usta.

— Yybee... — wybełkotał niezrozumiale i przytrzymał mnie za rękę, ale wyszarpnąłem się.

— Pan zaczepia nieletnich? To bardzo nieładnie. Od dziś nie będę tu kupował! — zawołałem gniewnie, rzucając płyty na najbliższą półkę.

Kilka osób spojrzało na nas z żywym zainteresowaniem.

S'

— Co za upadek obyczajów! — skomentował elegancki starszy pan, pchający wyładowany wózek.

— Za moich cza-* sów to było nie do pomyślenia!

— Kierownika! Zawołać kierownika! — podsunęła kobieta z plastrem na policzku. — Nic ci się nie stało, chłopczyku? — zapytała z troską.

— Chyba nie... — otarłem nieistniejącą łezkę i wydmuchałem nos w chusteczkę.

— Coś dają? — zainteresowała się otyła babina w szalu na głowie, ustawiając się za mną.

— Ten pan rozdaje płyty w promocji — szepnąłem jej do ucha, wskazując wścibskiego ochroniarza. — Za darmo.

Kobieta wyraźnie się ucieszyła.

— Ty jesteś z tej kolejki? To ja jestem za tobą. Okręciłem się na pięcie.

— Nie, pani jest przede mną, bo ja chyba rezygnuję — oświadczyłem. — Już mam takie płyty. Powędrowałem dalej, zostawiając ochroniarza na pastwę klientów.

Przez ten pośpiech przy jedzeniu obiadu ssało mnie teraz w żołądku, ale właśnie moim oczom ukazał się bezmiar oceanu słodczy Oczarowany zatrzymałem się przed stosem wafelków w czekoladzie i batoników, nie mogąc się zdecydować, na co miałbym ochotę.

— Ty, pożycz przyjacielowi dwa złote — usłyszałem za sobą i ktoś trącił mnie w plecy. Odwróciłem się i zobaczyłem małego grubaska o usianej piegami twarzy.

88

+~ Bo co? — zapytałem, oglądając zapakowane w czarną folię orzeszki w karmelu.

— Oddam ci — zaskamlał grubasek i oblizał wargi. — Za pół godziny, albo jutro.

— Akurat! — prychnąłem. — Jeśli szukasz naiwnego, to pomyliłeś adres.

Natręt, ubrany w wytarte dżinsy i poplamioną czymś tłustym zieloną wiatrówkę, nie chciał jednak dać za wygraną. Podsunął mi pod nos brudne łapsko. W palcach trzymał delikatny połyskujący pierścionek z przezrystym kamieniem.

— Kupisz za piąta? Prawdziwe złoto!

— Pewnie! — roześmiałem się. — Widziałem podobne w budzie na odpuscie. Dwa plus lizak za złotówkę.

— Nie wierzysz? — sapnął. — Świsnąłem go z kieszeni takiemu jednemu pryszczatemu.

Próbując ignorować natręta, ruszyłem przed siebie wolnym krokiem. Mój prześladowca nie chciał się jednak odzepić. Chwycił pierwszy lepszy wafelek, rozpakował go i zaczął pożerać.

— Zaczekaj! — chłopak dogonił mnie i złapał za kurtkę. — Nigdy się nie widzieliśmy, dobra?

— Spadaj, psycholu! — warknąłem. Miałem chęć go czymś palnąć. Co to za wariat?

— O w mordeczko! — łakomczuch wytrzeszczył oczy, spoglądając na coś za moimi plecami.

W jednej chwili wcisnął mi w rękę niedojedzonego wafla i przysnął, nim zdążyłem pojąć, co się dzieje.

— Ha! Mam cię, złodziejaszku! — Obok mnie jak spod

89

ziemi wyrósł znajomy ochroniarz. — Wiedziałem, że trzeba cię obserwować!

— To nie ja! — jęknąłem, ale mężczyzna wyciągnął z mojej ręki nadgryziony wafelek w rozerwanej folii.

— Proszę bardzo! — obwieścił, z dumą ukazując ciastko gromadzącym się wokół nas gapiom. — Oto, moi państwo, dowód przestępstwa!

Patrzyłem na wysmarowany czekoladą „dowód przestępstwa”, nie potrafiąc powiedzieć niczego mądrego.

— Chciałem kupić... — wymamrotałem w końcu, unosząc koszyk.

Nie mogłem sprawić mu większej radości.

— Aha, jest i drugi! — ucieszył się ochroniarz. — Znaczy się: hurtownik!

Włączył krótkofalówkę i zapiał do mikrofonu:

— Zeenuś, mam złodzieja!

— Najpierw się zgłoś, niedojdo! — usłyszeliśmy w odpowiedzi.

Sklepowy łapacz spiekl raka, ale zaraz chwycił mnie za kołnierz i przyciągnął do siebie. Gapie spoglądali na całą sytuację z niedowierzaniem. Widocznie nie pasowałem do stereotypu złodzieja.

— Osiem zero trzynaście, zgłoś się, odbiór! — zakomenderował ochroniarz służbiście.

— Siedem pięć dziewięćdziesiąt, zgłaszam się! Teraz mów, co się stało.

— Mówię ci Ze... to jest, osiem zero trzynaście, nareszcie kogoś złapałem! Mam złodzieja!

90

— Prawdziwego? — wyraził wątpliwość osiem zero trzynaście.

— Najprawdziwszego, Zenuś, i to dubla — mówiąc to, ochroniarz wypiął pierś. — Dwuwałflowiec, czujesz? Pięk-niutki! — Tym razem ja się zaczerwieniłem.

— Wylemity... yyy... sprawdź jego dowód osobisty i spisz dane. Poradzisz sobie?

Ochroniarz nieco się stropił i dmuchnął w mikrofon:

— On chyba nie ma jeszcze dowodu... Masz dowód? — To pytanie skierował do mnie.

Zaprzeczyłem. — No, mówi, że nie ma!

W krótkofalówce coś zapiszczało, a potem głos ziewnął:

— Procedura cztery czternaście! Bez odbioru! — Szczęknęło i towarzyszące wymianie zdań trzaski umilkły.

Odziany na czarno mężczyzna popatrzył na mnie z troską. Najprawdopodobniej określenie „procedura cztery czternaście” nic mu nie mówiło. Próbował jednak trzymać fason.

— Szanowni państwo, proszę się rozjeść — nakazał gapiom.

— Sam się pan rozjedź! — odkrzyknął mu ktoś złośliwie.

— Bo wezwę policję! — zagroził ochroniarz.

Tłumek zaczął rzednąć. Najbardziej żądni sensacji odeszli parę kroków, zerkając na nas ukradkiem, ale większość powróciła do robienia zakupów.

— I było się łakomić na cudze? — zwrócił się do mnie ochroniarz z miną dobrego wujaszka.

92

— Nie łakomiłem się, przecież to nie ja — zapewniłem, przy okazji wiercąc się, by spróbować niepostrzeżenie wyswobodzić kołnierz z zaciśniętych palców

— Każdy złodziej tak mówi, już ja was znam — mruknął mężczyzna, kartkując wyjęty z kieszonki bluzy notes. — Procedury... O, jest coś. Taak... nie uczą się, nie pracują, żerują tylko na zdrowej tkance społeczeństwa! — Dałbym głowę, że to ostatnie zdanie było dosłownym cytatem z instrukcji.

— Weisnął mi tego wafla taki mały piegowaty grubas — oznajmiłem. — Nie notuje pan?

— Sam wiem, co mam notować — odparł, wodząc wzrokiem po zapisanych maczkiem liniijkach.

Na jego czole pojawiły się poziome bruzdy, świadczące o sporym wysiłku umysłowym. — Cztery czternaście, też sobie wymyślili, łobuzy Nie ma takiej procedury... — westchnął w końcu, drapiąc się po głowie.

Nawet nie zauważył, kiedy wypuścił z ręki mój kołnierz. Byłem wolny, teraz musiałem tylko odwrócić jego uwagę.

— To może podam panu te dane? — zaproponowałem życzliwie.

— Jakie dane? — spytał nieprzytomnie ochroniarz. Widać błędził myślami gdzieś daleko (zapewne w poszukiwaniu zaginionej procedury).

— No, osobowe. Nazwisko i tak dalej — tłumaczyłem, cały czas cofając się. Dzieliły nas już ze dwa metry.

— Aha, nazwisko — ożywił się nagle. Chwycił długopis i nadstawił ucha. — To jak się nazywasz?

93

Chciałem powiedzieć coś w rodzaju „Tymoteusz Fafuła”, ale jakieś лихо mnie podkuśliło i wypaliłem:

— James Bond!

Długopis z logo „Corridy” znieruchomiał.

— Dżejms?

— To znaczy... — mamrotałem, oddalając się coraz bardziej — chyba Dżejms.

— Hmm... — mężczyzna poskrobał długopisem po brodzie. — A jak to się pisze?

Wskoczyłem za regał i wmieszałem się w tłum.

— Hej! A adres?! — usłyszałem okrzyk zdezorientowanego stróża porządku.

Ugiąłem nogi w kolanach i w pozycji kryjącej się przed myśliwymi małpy dobiegłem do kas.

— Ja z orzeszkami w karmelu — poinformowałem stojących w kolejce, wpychając się przed nich. Postawiłem koszyk na taśmie.

— Osiemdziesiąt groszy — oznajmiła dziewczyna w firmowej czerwonej kamizelce.

— Reszty nie trzeba — rzuciłem, wręczając jej złotówkę i ruszyłem w kierunku bramek.

— Tu nie restauracja, proszę wziąć resztę! — oburzyła się kasjerka.

W tej właśnie chwili rozległ się brzęczyk alarmu. Obawiałem się, że mogło chodzić o mnie, więc z odcisniętym na niewinnej duszy piętnem przestępcy pogałem ku zamykającym się właśnie drzwiom. Wskoczyłem ze sklepu i pomknąłem między moknące w deszczu samochody.

94

Zdumiało mnie, jak łatwo przeobraziłem się z przeciętnego ucznia drugiej klasy gimnazjum w ściganego przez prawo zbiega.

Kiedy wreszcie dotarłem do Alei Konstytucji 26, czyli pod kamienicę, w której mieszkała rodzina Ptaków, zegar na kościelnej wieży wybijał wpół do ósmej. Byłem mocno spóźniony Okrążyłem budynek i przez dziurę w ogrodzeniu przecisnąłem się na podwórze. Z umieszczonych dość wysoko okien otaczających je oficyn sączyło się łagodne światło, kładąc na udeptaną ziemię długie zniekształcone cienie.

Na wąskiej ławce pod ścianą siedziało trzech dyskutujących ze swadą mężczyzn. Widywałem ich tu często.

— No, żeby mnie te działacze wpuściły na boisko, to bym im pokazał — stwierdził właściciel dwóch opartych o ścianę kul.

Jego koledzy zaśmiali się rehotliwie.

— Nawet moja teściowa by takiej bramki nie przepuściła. Bobik to frajer, skąd oni go wystrasnęli? — zastanawiał się drugi.

Domyśliłem się, że omawiają środowy mecz Tornada Trombolin z Kosmosem Korzęty.

Rzeczywiście, totalna kompromitacja...

— Rychu, daj se siana — westchnął trzeci mężczyzna. — Zobaczy się w sobotę, może jakoś...

— Dobry wieczór — ukloniłem się zawiedzionym kibicom, kierując się w stronę należącej do Kostka drewnianej szopy To właśnie była nasza Jama.

95

— Dobry wieczór — odpowiedzieli mężczyźni chórem.

— Szukasz młodego Ptaka? — zapytał pan Miecio, od dwóch miesięcy kulejący na skutek wypadku. Przystanąłem i przyjrzałem się szopie.

— Umówiłem się z nim tutaj, ale widzę, że wisi kłódka.

— Było się nie spóźniać, robaczku — pogroził mi palcem pan Rysiek, kolejarz z zawodu.

— Miałem... hmm, miałem powód — rozłożyłem bezradnie ręce.

— Chodź no tu, Jasiu! Mieliliśmy ci to dać — odezwał się ubrany w wymięty fioletowy garnitur pan Roman, i pomachał złożoną kopertą.

Wziąłem list, pożegnałem się i wyszedłem na ulicę. W gardle czułem nieznośne drapanie i przemokły mi buty, a na dodatek wstrząsały mną dreszcze, mimo to stałem pod latarnią, czytając słowa skreślone ręką przyjaciela.

Cyna, jak zwykle się spóźniłeś. Byłeś już z tym problemem u psychologa⁷. Nie mogę dłużej na Ciebie czekać, obiecałem pomóc przy kolacji. Pogadamy w szkole.

Kostek

PS Wiesz już o Klanie Zaufanych?

PS 2 Co do wiersza, to naucz się tyle, ile Ci mówiłem, a potem...

96

Dalej Ptak umieścił parę genialnych w swej prostocie wskazówek. Powinno się udać.

Chowając kopertę do kieszeni, natrafiłem palcami na coś okrągłego i zimnego w dotyku. Wyjąłem to pośpiesznie.

W świetle latarni zalśnił omywany kroplami deszczu kradziony złoty pierścionek.

Rozdział 9.

„Martwą podniosłem powiekę”

Wśliznąłem się do domu zgodnie z surowymi zasadami konspiracji — trzymając się tuż przy ścianie i wstrzymując oddech — ale niepotrzebnie się wyglupiałem.

Przemykałem właśnie obok salonu, kiedy ktoś wykrzyknął basem:

— Kierowniku, żyj nam sto lat!

Tubalnemu okrzykowi towarzyszyły pojedyncze oklaski.

Zajrzałem przez uchylone drzwi. Przy stole siedziało kilka osób, a ogromny facet z brodą (w którym rozpoznałem szefa firmy, w której pracował mój ojciec) wygłaszał własny toast.

— Tomaszu, w tej uroczystej chwili...

— Dobrze, że wróciłeś — odezwał się półgłosem Krzyś, próbując się precyzyjnie obok mnie. — Nudzę się już dziesięć godzin.

Odsunąłem go od drzwi.

— Nie kłam, dziesięć godzin temu jadłeś w przedszkolu drugie śniadanie. A po drugie powinieneś już wiedzieć, że to nieładnie podglądać.

— Po drugie? To co było po pierwsze? — zapytał Glut, skradając się do kuchni.

98

— Po pierwsze było drugie śniadanie... — zacząłem tłumaczyć, w porę się jednak zreflektowałem

— O nie, nie będę się z tobą bawił w pytania! Dlaczego się tak skradasz?

— Kradnę sernik — oznajmił. W kogo on się wdał?

— Weź sobie kawałek, przecież nie musisz udawać złodzieja — wskazałem na pełną ciasta blachę.

— Ty też się skradałeś — zauważył mój brat. — Jesteś złodziejem?

Zrobiło mi się gorąco.

— Nie jestem złodziejem, nawet jeżeli tak to wygląda!

— warknąłem rozdygotany, z łoskotem siadając na krześle. Glut spojrzał na mnie przestraszony

— To dlaczego się denerwujesz? — zapytał. Jego palec wydlubał głęboką dziurę w warstwie sera z bakaliami. — Już wiem, zabiłeś jakiegoś szeryfa — pokiwał głową, a potem zwinął usmarowaną serem dłoń w trąbkę i przyłożył mi ją do ucha.

— Nie bój się, nikomu nie powiem — szepnął.

— Nie dereń... nie denerwuję się, i nikogo nie zabiłem. Co ci przyszło do głowy? Czyżbyś ruszał moje gry?

Mały wyraźnie się zmieszał i szybko zmienił temat:

— Mamy gości.

— Widzę — odpowiedziałem i wstałem, żeby zrobić kanapkę. — Dobrze się składa, nie będę się musiał spowiadać.

— Sięgnąłem do lodówki po plastikową butlę z musztardą.

— Pobawimy się w coś? Mam fajną układankę: trzeba ułożyć fruującego kota.

99

— Koty nie fruują, głupolu, a tak w ogóle muszę chyba odrobić lekcje... — Posmarowałem kanapkę musztardą, odgryzłem kęs i skrzywiłem się. — Co to ma być? Ohyda!

— Dodałem trochę miodu i pasty do zębów, żeby nie piekło i żeby pachniało z buzi — pochwalił się młody wynalazca.

Ta kropla przepełniła czarę goryczy.

— O zesz ty, glizdo, sam to teraz będziesz jadł! — wrzasnąłem i rzuciłem w niego kanapkę, ale Glut zdążył się uchylić.

Kromki chleba pacnęły o ścianę, a posmarowany żółtobiałą mazią plaster szynki poszybował na spotkanie wchodzącego do kuchni ojca.

Biedny tato znieruchomiał z tacą w rękach. Muszę przyznać, że wyglądał zupełnie... niepoważnie z musztardą kapiącą z policzka na błękitny krawat.

Obaj byliśmy szybcy, chociaż Glut zaczynał mnie przerastać zdolnościami — mignął mi tylko przed oczami i już go nie było.

— Ja bardzo przepraszam... — wymamrotałem, podążając za nim.

W przedpokoju o mało nie zderzyłem się z mamą, niosącą piramidę talerzyków, filiżanek i łyżeczek.

— Gdzie jest wasz ojciec? — zapytała, usiłując zapanować nad chybotałą konstrukcją.

— Właśnie... właśnie zrobił sobie maseczkę — oznajmiłem.

Gdy zamykałem za sobą drzwi od mojego pokoju, usłyszałem zaniepokojony głos mamy:

— Maseczkę? Tak w środku przyjęcia?

100

Postanowiłem przeczekać ewentualną burzę, dlatego przekręciłem klucz w zamku i podstawiłem pod klamkę krzesło. Bez tarana nikt tu nie wejdzie.

Wskoczyłem na łóżko, żeby w spokoju przeanalizować dzisiejsze wydarzenia. Próbowałem się skupić — niestety, byłem zbyt skołowany.

W końcu z szuflady nocnej szafki wyjąłem lupę i obejrzałem pierścionek. Chciałem się pozbyć podejrzeń, ale wybita wewnątrz sygnatura i pełen zawijasów napis rozwiały ostatnie nadzieje. To delikatne cacuszko nie miało nic wspólnego z odpustowymi świecidełkami. Masz babo placek... W co ja znowu wdepnąłem?

Schowałem pierścionek do plecaka, żeby pokazać go w szkole Kostkowi. Skoro jest taki mądry, to niech się i nad tym pogłowi.

Otworzyłem Pana Tadeusza, dziwiąc się Mickiewiczowi, że chciało mu się tyle pisać, i to w dodatku wierszem. Pewnie miał tajną umowę z kuratorium oświaty

— „Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie.” — przeczytałem i ziewnąłem. Nie nauczę się tego za chińskiego boga. Spróbowałem jednak powtórzyć:

— „Litwo ojczyzno moja tyżeś...” Ach, nie! Ma być: ty jesteś, „ty jesteś jak zdrowie”. Jak zdrowie? — zdziwiłem się. — Może to dla studentów medycyny?

Czytałem dalej, powtarzając kolejne wersy i ziewając na przemian.

— „Ty co gród zamkowy Nowogródzki”...uuua „...Nowogródzki ochraniaasz...” — zaczynałem pojmować, na czym

101

— Ratuj się, Cyna! — krzyczał pan Roman. Spod kołczugi wystawał mu kołnierz fioletowego garnituru.

— Ratuj się, Jasiu — jęknął pan Rysiek, zrzucając hełm na kamienną posadzkę. Na głowie miał przekrzywioną kolejarzką czapkę. Wyciągnął ku mnie rękę w geście rozpaczy, ale nie mogłem się ruszyć.

— Martwą podnieś powiekę, podnieś powiekę, powiekę...! — zagrzmiał zwielokrotniony echem donośny bas, łudzaco podobny do głosu szefa taty. To zakuty w zbroję i wsparty na kulach pan Miecio wkraczał do mojej komnaty. Za nim weszli Kalafior i Duda — opryszkowie z „Kefirka” — niosących szkolny śmietnik.

Chciałem wytłumaczyć, że niepotrzebnie mnie proszą o podniesienie powieki, bo przecież wszystko widzę, nie potrafiłem jednak wydobyć z siebie nawet słabiutkiego pisku. Na dodatek szczekanie psów stawało się coraz bardziej nieznośne.

Kalafior i Duda przechylili śmietnik, z którego wysypały się tysiące złotych pierścionków. Jeden z nich potoczył się w stronę łoża, zamieniając się po drodze w fikającego kozły Kostka.

— Pamiętaj, wskaźniki procentowe, matole — pogroził mi pięścią przyjaciel.

— Dopadłem cię, Dżejms! — W progu komnaty stał olbrzymi czarny rycerz. Na ramieniu dźwigał tarczę ozdobioną wizerunkiem czerwonego byczka, natomiast w dłoni, zamiast miecza, trzymał smycz, na której szarpał się ujadający wściekle piegowaty grubasek.

104

— Przecież zastawiłem drzwi krzesłem — załkałem. Obudziłem się zlany potem. Przetarłem oczy wierzchem

dłoni, usiłując jednocześnie uwolnić zaplątane w koc nogi. Dochodziła druga w nocy, a ja leżałem w ubraniu na skotłowanej pościeli. Tragedia...

Na zewnątrz jazgotał Dyzio, przypuszczalny sprawca sennego koszmaru. Przebrałem się w piżamę i przykryłem głowę kołdrą, ale szalony pies sąsiadów nie dawał za wygraną.

— Kiedyś cię uduszę, kundlu, zobaczysz — przyrzekłem solennie.

Potykając się o porzrzucone na dywanie książki i ubrania, doznałem do okna. Noc była pochmurna, toteż gdybym nawet oślepl od wpatrywania się w ciemność, nieprędko bym coś dostrzegł. Po kilku minutach zobaczyłem coś, co przywodziło na myśl trzy zataczające kółka czerwone świetliki, ale stwierdziłem, że z pewnością mam omamy.

Już miałem otworzyć okno, by zwykłym sposobem uciszyć Dyzia, kiedy ten zawył przeciągle i ucichł. Z mroku dobiegły niegłośnie szuranie i ledwie uchwytny szepty, ale po chwili wszystko ucichło. Nadal nie było nic widać. Doszedłem więc do wniosku, że wyobraźnia zaczyna płatać mi figle.

„Jestem przemęczony...” — pomyślałem, wracając do łóżka. Ledwie przyłożyłem głowę do poduszki, odpłynąłem w otchłanie niebytu.

Ten, kto wymyślił wczesne wstawanie, z pewnością nie znał litości — codziennie rano utwierdzam się w tym przekonaniu. Każdego ranka zastanawiam się też, kto zarządził rozpoczęcie lekcji o ósmej. Bez wątpienia był to jakiś

105

zatwardziały sadysta, który pewnie sam o tej porze przewraca się na drugi bok, pograżony w słodkim śnie po nocy spędzonej na wymyślaniu kolejnych gnębiących człowieka przepisów Siódma piętnaście — to oznacza, że zostałem w domu sam. Po głębszym zastanowieniu odrzuciłem pomysł ominięcia porannej toalety. W końcu wstałem, odblokowałem drzwi i powlokłem się do kuchni. Czekał tam na mnie liścik, napisany na przyklepionej do lodówki żółtej karteczce. Spróbuj się zrehabilitować w oczach taty, dobrze ci radzę. Najlepiej pomaluj ogrodzenie, pieniądze na farbę leżą na stole...

Sprawdziłem, rzeczywiście leżały.

Zjedz śniadanie i posprzątaj po sobie. Nie spóźnij się do szkoły!!! Całuję, mama.

Los rzuca mi coraz większe kłody pod nogi, a ja mam malować ogrodzenie? Poczuję się niktakomnie oszukany, jednak wziąłem pieniądze. Kto wie, może ten bałagan jakoś sam się uporządkuje...

Szedłem do szkoły, powtarzając w myślach: „Litwo! Ojczyzna moja...”. Język polski miałem na pierwszej lekcji, więc jeżeli Palikowa wyrwie mnie do odpowiedzi — a mogłem się tego spodziewać — muszę być jako tako przygotowany

Byłem już koło kina, kiedy dogonił mnie zdyszany Gabryś Gnitecki.

— Cześć, Jasiu! — zawołał, wyciągając dłoń do klepięcia, lecz nawet nie kiwnąłem palcem w odpowiedzi.

Wcale się tym nie przejął — jak to Gnida.

— Przemyślałeś sprawę? — rzucił, usiłując wytrzymać narzucone przeze mnie tempo marszu.

106

— Czyli co? — spytałem, przyspieszając kroku.

— Skleroza cię... dopadła? Chodzi mi... o wczorajsze... spotkanie — wysapał.

Chyba zaczynał wymiękać. W podstawówce byłem wicemistrzem szkoły w chodzie sportowym, więc ten niedołęga nie miał ze mną szans.

— A, spotkanie. I co z nim?

— No czy... przemyślałeś, bo jeszcze... możesz się... wycofać.

Zdziwiła mnie ta niespodziewana troska. Zatrzymałem się i popatrzyłem Gabrysiowi w oczy.

— Nigdy, kapujesz, Gnida, nigdy się nie wycofuję. Wy, jako samorząd, macie zapewne szczytne cele... i tak dalej. A poza tym przydadzą mi się dobre oceny.

— Tylko że ty nie wiesz... — zaczął Gnida. — Zresztą, twój biznes, nic mi do tego. Na długiej przerwie powiem ci, co dalej.

Popatrzyłem na zegarek.

— Powiedz teraz. Mamy jeszcze dziesięć minut do dzwonka. Gabryś westchnął, jakby przygniótł go niewyobrażalny

ciężar. W jego oczach pojawił się smutek.

— Teraz?... Sam nie wiem. Muszę się skonsultować z... — nagle zamilkł.

— Z kim? — podchwyciłem.

— Z nikim. Niech cię to lepiej nie interesuje — powiedział Gnitecki, poważniejąc.

Ubodła mnie ta tajemniczość, bo przecież każdy by się domyślił, że w ich zafaj danym Klanie to przewodniczący Plomba pociąga za wszystkie sznurki.

107

— Uważasz, że jestem nierozgarnięty? Przecież wiem, : o kogo ci chodzi! — rzuciłem gniewnie i podjąłem marsz.

— Nic, Cyna, nie wiesz, nic... — pokiwał głową Gabrys, ale przestałem go słuchać. Koło szkolnej furki pojawiła się Natalka. Na jej widok moje serce załomotało, jakby chciało wyskoczyć. Ależ ona jest piękna...

— Natała, zaczekaj! — zawołałem.

Nawet nie raczyła się obejrzeć. Postanowiłem więc, że niczym filmowy dżentelmen otworzę przed nią drzwi. Ruszyłem biegiem. I to był błąd. Nie przewidziałem, że mokre po wczorajszym deszczu opadłe liście staną się tak zdradliwie śliskie. Straciłem równowagę i miotając się bezradnie, zanurkowałem w gnijącą stertę, którą w poniedziałek razem ze Ślipkiem usypaliśmy w ramach prac na rzecz szkoły.

Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem pochyloną nade mną Natalkę.

— Cześć...—jęknąłem.

— Wiesz co? Znajomość z tobą to wstyd dla każdej dziewczyny, brudasio! Nie życzę sobie, żebyś się do mnie przyznawał — powiedziała i odeszła.

Poleżałbym tak jeszcze, uzalając się nad sobą, ale dźwięk dzwonka poderwał mnie na nogi.

Rozpoczął się kolejny dzień] — i trzeba było stawić mu czoła.

108

Rozdział 10.

Kandydat na łobuza

Pamiętam takie czasy — zresztą niezbyt odległe — kiedy lubiłem lekcje języka polskiego. Zacząłem nawet czytać lektury, żeby zasłużyć na przyzwoitą ocenę. Uczył nas wówczas pan Dariusz Garzełko — facet tuż po studiach, który usiłował zarazić nastolatków entuzjazmem do literatury i miłością do poezji. Prawie by mu się to udało, gdyby nie zwolnili go w ramach jakiejś niepojętej dla naszych niedojrzałych umysłów operacji redukcji etatów.

Nasz spokój został zburzony, kiedy po wakacjach zamiast Darła (tak ochrzciliśmy pana Garzełkę) weszła do klasy Palikowa (czyli Tyczka) z tym niesamowitym taksującym spojrzeniem i ze ściągniętymi gniewnie brwiami. Oprócz swej szacownej osoby przyniosła nam dwie wiadomości — jedną złą, a drugą... zupełnie przygnębiającą.

Zła wiadomość była taka, że Tyczka od września obejmowała nad nami wychowawstwo za panią Irenę Jakimowicz, czyli Śnieżynkę, która podobno przeniosła się do pracy w liceum; matematykę po Śnieżynce objął Ciapek. Wtedy po raz pierwszy odechciało mi się uczyć.

Ale gdy Tyczka oznajmiła, że będzie miała z nami polski, coś we mnie pękło.

109

— Jak to, a pan Darek? — zapytał Maszkaron w imieniu oburzonej klasy.

— Pan Darek? Nie wiem, o kim mówisz, chłopcze. — Brwi Palikowej ściągnęły się mocniej.

— Pan Garzełko oczywiście — poinformowała Beata Bo-dek, córka właściciela apteki „Bodex Lek”, i zatrzepotała umalowanymi rękami.

— Pan, ekhm, Garzełko się nie nadawał do pracy z młodzieżą — oznajmiła nauczycielka, kładąc akcent na „nie”. — Dostawaliście zbyt wysokie oceny, no i te wasze niestosowne śmiechy na lekcji...

Wstałem, poderwany naocznym przykładem niesprawiedliwości.

— Nie nadawał się, bo mieliśmy piątki?! Przecież wcale nie wszyscy je dostawali, nawet nie połowa z nas, a poza tym ciężko na nie pracowaliśmy! My nie zgadzamy się na panią! — wykrzychałem jednym tchem. Reszta niedoszłych znawców literatury poparła mnie podniesionymi głosami.

Przez kilka sekund mierzyliśmy się wzrokiem, ja i nauczycielka. Patrzyła na mnie z głodną pogardą, jak żmija na mysz albo, nie przymierzając, bocian na żabę.

— Zapamiętajcie sobie raz na zawsze... dzieciaki: nie było żadnego pana Garzełki, Darzełki ani nawet Smarzełki! Przyśnił się wam! — niemal syczała z wściekłości. Jej dłonie bezskutecznie szukały oreża, którym mogłaby poskromić naszą zbuntowaną gromadę. W końcu wbiła paznokcie w dziennik, wsadziła go pod pachę i ruszyła ku drzwiom.

W progu zatrzymała się jeszcze.

i w

— A ty jak się nazywasz, kocieczku? — zapytała słodko, celując we mnie palcem.

— Ra...cyniak, proszę pani — wykrztusiłem. Poczulem mdłości.

— Zapamiętam — obiecała nauczycielka i wyszła. Właśnie wtedy odechciało mi się żyć.

Nic więc dziwnego, że teraz drżałem na myśl o spędzeniu całej lekcji z kimś, kto składa takie obietnice. Tyczka nie miała jeszcze okazji mnie capnąć — w końcu byłem dość dobry w te klocki, a notes, który nazywałem moim podręcznym archiwum, aż roił się od wierszy i wprawek literackich. Ziarno zasiane w mojej głowie przez nieodżałowanego Darła powolutku kiełkowało. Tylko to było dla mnie pociesze-niem.

Ogarnąłem się z grubsza po upadku, usuwając przede wszystkim kompromitujące resztki liści z włosów, i wszedłem do szkoły Mimo że dzwonek przebrzmiał już chwilę temu, nie spieszyłem się. Z doświadczenia wiedziałem, że muszę się opanować przed wejściem do sali; zresztą rzadko się zdarzało, by pierwsza lekcja rozpoczęła się punktualnie. Starsze klasy o tym wiedziały.

Po drodze potrafiło mnie kilku spłoszonych pierwszaków, goniących pędem do swoich klas. Jeden z nich — znany m* z sąsiedztwa Piotrek Łapeć — ściał zakręt i zderzył się z krocącym dostojnie przez korytarz matematykiem, panem Jopkiem, waląc go bykiem.

~— Matko jedyna! — spanikował winowajca.

111

Usiłował pogłaskać wijącego się pod ścianą obolałego nauczyciela. Ciapiek chwycił za głaszczącą go dłoń i wrzasnął:

— Mam cię, ty nędzny zamachowcu! To atak na godność mą i prowokacja! Racyniak, będziesz świadkiem aktu terroryzmu! — krzyknął za mną, widząc, jak przemykam bokiem.

Że też zawsze musi mi się zdarzać coś takiego. I to, na domiar złego, afera ze znerwicowanym Ciapkem.

— Tylko że ja nic nie widziałem, bo byłem bardzo zamyślony. Zresztą, to raczej nie on — stwierdziłem, próbując wydobyć sąsiada z tarapatów.

— Nie on? — Matematyk zmrużył oczy. — A kto?

— Taki jeden, nie znam go — mruknąłem, podając Ciapkowi poniewierającą się po podłodze teczkę z okuciami. — Pasował mi do drugiej „e”, ale mogę się mylić.

Nauczyciel wyglądał na zagubionego.

— Ale jak to możliwe? — zastanowił się, puszczając rękę pierwszaka. — Przecież byłeś zamyślony, jak powiadasz, i nic nie widziałeś... Poza tym, gdzie jest tamten delikwent? Zniknął?

— Pan uczy drugą „e”? — zapytałem. Zgodnie z oczekiwaniem belfer pokręcił głową, ale zawsze warto się upewnić. — To mógł być ten, no... Magik! — pstryknąłem palcami, dając jednocześnie znak Łapciowi, żeby się zmywał.

— Magik?

— Tak, zna chłopak różne sztuczki, więc...

— Ale Magik? Co to właściwie za nazwisko?

112

Pan Ciopek wyjął z teczki zmięty karteluszek i coś na nim napisał pogryzionym długopisem.

— Jego ojciec występuje w objazdowym cyrku „Filodendron” jako znikający magik i wciągacz węży... — zełgałem na poczekaniu.

Piotrek dyskretnie się wycofał — pora i na mnie. Nie wziąłem jednak pod uwagę siły mojego bajerzenia.

— Powiadasz, że ojciec tego chłopca wciąga węże? To intrygujące! — dał się ponieść fantazji Ciapiek. — A jak on to robi?

- Zwyczajnie... takim tym... znaczy się, nosem — odpowiedziałem.

Na końcu korytarza pojawiła się Palikowa, idąca w towarzystwie nowej pani od biologii. Należało się ulotnić...

— Kiedy wróci? — drażył temat podekscytowany wizją sztuczek matematyk.

— Kto, proszę pana?

— Ten cały cyrk Filomatów! — zniecierpliwiał się. Zobaczyłem, jak Tycze na mój widok ściągają się brwi.

— Filodendronów — sprostowałem. — Później panu powiem, przecież już jest lekcja — ukloniłem się i pobiegłem w stronę klasy.

— Wciągacz węży, hmm... Nosem, hmm... Jak to możliwe? — Matematyk stał na korytarzu, zastanawiając się nad tym, co mu powiedziałem, i kolistymi ruchami masował sobie obolały brzuch.

— Co on znowu zmalował, panie Maćku? — zapytała pana Ciopka przechodząca obok Palikowa.

III

Ten popatrzył w sufit i z zachwytem powiedział: — Wciągnął węża, pani Halinko, po prostu wciągnął węża...

Ledwie wcisnąłem się na miejsce obok odwróconego plecami do tablicy Zuzalka, z którym posadzono mnie na

114

polskim, otworzyły się drzwi i weszła Tyczka. Natychmiast ucichły wszelkie rozmowy. Zastanawiałem się, dlaczego dranie z „e” nie bali się jej tak jak my? Pewnie mieli na nią jakiś sposób albo potrafili się podlizać i tyle.

— Racyniak, do odpowiedzi! — zakomenderowała nauczycielka, kładąc dziennik wraz z torebką na biurku.

— Dzień dobry! — powiedzieliśmy odruchowo.

— Powiedziałam: Racyniak do odpowiedzi — powtórzyła. Dopiero wtedy dotarło do nas, co właściwie mówi.

„A więc pora iść na rzeź” — na tę myśl przeniknął mnie dreszcz. Popatrzyłem na polonistkę i uroiło mi się, że ma nałożony na głowę katowski kaptur.

— Jak sobie życzysz — powiedziała, odkręcając nasadkę pióra. — Chcesz jedyńki, to będziesz ją miał.

Ocknąłem się.

— Nie, nie! Idę do odpowiedzi! — w ostatniej chwili powstrzymałem egzekucję. Przy okazji stwierdziłem, że nakrycie głowy nauczycielki to jednak nie kaptur, lecz chusta mająca ochronić wymodelowaną fryzurę przed ewentualną mżawką i wiatrem. Mama robiła podobnie.

— Twoje szczęście... — Chyba srodze zawiodłem Tyczkę, bo minę miała niewyraźną. — Co mieliście na dzisiaj przygotować?

— Inwokację! — krzyknął radośnie Gnitecki.

On z pewnością nie będzie pytany — ma piątkę z dyktanda i dwie szóstki z kartkówki. Niby taki luzak, a pewnie ostro zakuwa po nocach.

115

— Jesteś ubłocony, Racyniak. Nie wstyd ci? — Palikowa wykrzywiła usta. — Poza tym spóźniłeś się; widziałam, jak przede mną uciekałeś.

Ukloniłem się i zacząłem recytować:

— „Litwo! Ojczyzno moja”...

— Zaraz! — przerwała mi wychowawczyni. — Zadałam ci dwa pytania natury obyczajowej, wobec tego bądź łaskaw na nie odpowiedzieć.

— Jestem ubłocony, bo...

— Chciałeś powiedzieć: Jestem ubłocony, ponieważ... i tak dalej. Dbajmy o piękno ojczystego języka — pokazała na wiszące nad tablicą hasło.

Zacząłem się naprawdę bać.

— Jestem ubłocony, ponieważ i tak dalej, bo wpadłem w zgniłe liście... — bełkotałem. Słuchacze siedzący bezpiecznie w swoich ławkach zarzeli niczym objedzone owsem konie. Tyczka również nie kryła radości, ale było mi wszystko jedno. — A się spóźniłem z powodu pedagogicznego.

— Poważnie? — zapytała, nie kryjąc ironii.

— Pan Ciopka może to potwierdzić. Sam mnie zatrzymał, żebym wyjaśnił pewną tajemniczą sprawę.

— ...I była to zapewne sprawa kryminalna. Powiem ci, gołąbeczku, że dostrzegam w tobie kandydata na łobuza, więc nie zdziwię się, gdy w szkole pojawi się policja i zaczną o ciebie wypytywać.

Ugięły się pode mną nogi. Czyżby dzwonili ci z „Corridy”? Niemożliwe!

Ukloniłem się ponownie:

116

— „Litwo! Ojczyzno moja... — Mówiłem prędko, byle skończyć. — „... .gród zamkowy Nowogródzki” — wylewałem pośpiesznie potok słów — „... .pod Twoją opiekę poświęciłem... yhm, ofiarowany, martwą podniosłem powiekę” — ostatnie wersy prawie wykrzyczałem, ciężko dysząc. Na koniec pochyliłem głowę i szurnałem nogą.

— Nie zapraszaj mnie do tańca, tylko recytuj dalej. Przecież to za mało — oburzyła się Palikowa. Byłem jednak przygotowany na taki rozwój wypadków.

— „I zaraz mogłem pieszo” — dodałem.

— „...do Twych...” — odpowiedziała nauczycielka siłą nawyku.

— Do „twych” nie umiem — przyznałem szczerze.

— „... .świętyń progu” — szepnął głośno Zuzalek. Pocziwiec z tego rudzielca, ale niepotrzebnie ryzykuje.

Polonistka odetchnęła z ulgą i powiedziała:

— Niestety, mimo najlepszych chęci muszę postawić ci jedynekę, a szkoda... — Ależ fałszywie to zabrzmiało!

— Tyle że ja policzyłem... — chrząknąłem — ..i wychodzi mi dwójka.

— Nie umiesz wiersza, więc wychodzi jedynekę. Policzyłeś i się przeliczyłeś, mój skarbie — odparła słodko Tyczka, gładząc palcem stronę dziennika z ocenami.

Musiałem zareagować.

— Do „powiekę” jest czterdzieści jeden procent wiersza, proszę pani. A do „mogłem pieszo” wychodzi nawet więcej.

Wychowawczyni odłożyła pióro i spojrzała na mnie tak, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu.

117

— Co ty wygadujesz, moje dziecko. Jakie procenty?

— Na tym opiera się szkolny system oceniania — westchnąłem, błędząc wzrokiem po ścianach. — Za czterdzieści jeden procent należy się dwójka.

Palikowa pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Jesteś bystry, nie przeczę. Ale żeby wykorzystywać to w taki sposób? Jeszcze nigdy nic takiego mi się nie zdarzyło, a nauczam od ponad dziesięciu lat... — mówiąc to, wyglądała na przybitą.

Kiedy polonistka wpisywała do dziennika dwójkę, poczułem odrobinę satysfakcji. Tylko dlaczego ta satysfakcja tak gorzko smakowała?

Usiadłem zmęczony, jakbym wykopał kilometry rowów.

— Dałeś czadu, nie ma co — dmuchnął mi w ucho z uznaniem sąsiad z ławki.

— Odczep się, Grzesiu, dobrze? — Mimo zwycięstwa byłem w złym humorze.

— Jak sobie chcesz, Cyna... Masz tu liścik. — Zuzalek wrzucił ramionami i rzucił na ławkę kawałek wyrwanej z zeszytu kartki.

Rozprostowałem ją drżącymi palcami.

Wszystko już wiem. Zaraz po dzwonku czekaj na mnie pod klasą.

Gabryś

Aha, już się nie możesz wycofać. Niestety. Poczulem się słabo.

118

Rozdział 11.

Trzy twarze przestępcy

Atmosfera na polskim stała się, mówiąc ogólnie, bardzo nieprzyjemna. Nawet zapisany na tablicy temat do samodzielnego opracowania: „Świat przedstawiony — Dobrze, dobrze mi takf brzmiał

jakoś... dwuznacznie. Przysłowie mówi, że na złodzieju czapka gore, i coś w tym musi być. Pograżeni w lodowatym milczeniu, z ulgą przyjęliśmy nagły jazgot dzwonka i towarzyszące mu łomot otwieranych drzwi, wrzaski i tupot. Te odgłosy przywodziły wizje gromad wymęczonych latami katorgi młodych więźniów, wybiegających ku upragnionej wolności. Po raz kolejny przemknęło mi przez myśl, że szkoła wyzwala dziwne instynkty. Wyszedłem z klasy jako jeden z ostatnich. Gabryś czekał na mnie tuż za drzwiami i żuł gumę.

— Miało być na długiej przerwie — zacząłem bez żadnych wstępów.

— Ale jest teraz — powiedział Gnida, wydmuchując balon.

— Tak szybko?

— Robi ci to różnicę? — Gnitecki kucnął, po czym sięgnął do plecaka i wyjął z przegródki pudełko zapalek. — Trzymaj — podał mi je, dyskretnie ukryte w dłoni.

119

Obejrzałem pudełko, niewiele rozumiejąc.

— Co to jest? — zapytałem.

Gabryś ujął gumę w palce i rozciągnął ją, przytrzymując drugi koniec zębami.

— Sam zobacz — zaśmiał się. Guma do żucia wypadła mu z ust i długa na kilkanaście centymetrów lepka nitka przylgnęła do wełnianego swetra. — A niech to — mruknął, oderwał gumę od swetra i spróbował oczyścić ją z setek maleńkich włosków. Przerastało to ludzkie możliwości, więc dał sobie spokój i wsadził gumę do ust.

Z trudem opanowałem śmiech. Uniosłem pudełko, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

— Zapalki „Fortuna”, Ostrowska Góra, ulica Kosynierów cztery „a” przez szesnaście — przeczytałem.

Spanikowany Gnida trzepnął mnie po ręce.

— Schowaj to, baranie! Chcesz, żeby się dyżurny belfer nami zainteresował?

— Coś taki nerwowy, przecież nie palimy papierosów — odparłem i przyłożyłem pudełko do ucha. W środku za-chrobotąło, więc postanowiłem je otworzyć.

— Ani się waż! — podniósł głos Gnida. Przechodząca obok dziewczyna podskoczyła przestraszona.

— Odbiło ci, Gabryś? — jęknęła.

Gnida pomachał ręką, żeby sobie poszła. Szarpnąłem go za sweter.

— No dobrze, skoro nie otwierać, to nie otwierać. W takim razie mów, co jest moim zadaniem.

120

— Przed tobą trzy zadania i o każdym...

— Trzy?! — przerwałem, bo aż mnie zatkało. — Czy wy przypadkiem nie wciągacie mnie do jakiejś sekty? Przecież to tylko samorząd!

— Do jakiej sekty, przestań fantazjować — zmieszał się Gabryś. — Po prostu... hm, jeżeli chcesz czerpać profity w postaci dobrych ocen, musimy się upewnić, czy można na tobie polegać.

Wykonasz kolejno trzy zadania, rozumiesz? Z każdym zdobędziesz jakby...

— Sprawność?

— Nie jesteśmy harcerzami, Cyna. Z każdym zadaniem zdobędziesz jakby nowe oblicze, nową twarz, chwytasz? A kiedy już ta twarz nam się spodoba, zaczniemy się z tobą dzielić.

Nie wiem, czego Gabryś chciał od mojej twarzy — w końcu sam nie był zbyt piękny

Naburmuszyłem się trochę, ale właśnie skończyła się przerwa. Zaraz się zacznie matematyka.

— Powiedz, co mam zrobić?

— Porwiesz dzisiaj Janusza — wypowiedział na wydechu Gnitecki.

— Jakiego... Chwileczkę, TEGO Janusza?!

Gabryś ruszył, a ja za nim. Drzwi do pracowni matematycznej stały otworem, a pan Ciopek siedział przy biurku, cierpliwie czekając, aż uczniowie zajmą miejsca.

— Ale Janusz... Janusz w niedzielę jedzie na wystawę patyczaków. Tak nie można — pomyśl porwania maskotki szkoły nie mieścił mi się w głowie. — Ma zdobyć medal, jest czeplinem... to jest... chciałem powiedzieć... czempionem!

121

— No to nie pojedzie — zakończył Gnida beznamiętnie. — W miejsce Janusza podłóżysz karalucha, którego trzymasz w pudełku. Został złapany rano w stołówce.

— Karalucha? Przecież to jest nie... nieetyczne! — wzdrygnąłem się na myśl, że pewnie będę musiał wziąć w palce tego ohydneho robala.

— A piątki za friko są etyczne? — odpalił Gnitecki. — Ostrzegalem cię, Cyna. Teraz całuj psa w nos. Masz jeden dzień i guzik nas obchodzi, jak to zrobisz. Pamiętaj: Janusz to twoja pierwsza twarz.

Prawie całą pierwszą godzinę matematyki spędziłem na rozmyślaniach, żalując, że nie udało mi się pogadać z Kost-kiem. Za to na drugiej lekcji złośliwy los po raz kolejny wyszczerzył do mnie zęby

— Zgodnie z zapowiedzią przygotujcie kartki i pochowajcie resztę klamotów — ogłosił Ciapek ku mojemu zaskoczeniu.

— Proszę pana profesora, czy można mieć kalkulator? — spytała Gosia Rosomak, obdarzając Ciapka słodkim uśmiechem. To nierozgarnięte dziewczę skończy zapewne jako młodsza pomocnica pomywaczki.

— Stary, co się dzieje? — szepnąłem do siedzącego obok Ślipka. Zapaśnik zerknął na mnie jak na kogoś niespełna rozumu.

— Kartkówka z pierwiastków, ćwoku. Spaleś czy co? Przecież Ciapek przed chwilą wszystko z nami powtórzył, więc czemu pękasz?

122

Zmartwiałem. Zamiast śledzić tok lekcji, kombinuję, jak podłóżyc karalucha w miejsce patyczaka — i proszę bardzo. Równie dobrze mogłem od razu wyjść z klasy, bo o pierwiastkach wiem tylko tyle, że istnieją. Miałem już dwie pały z matmy — widać nadeszła pora na trzecią.

Wyrwałem kartkę z brudnopisu i tępym wzrokiem śledziłem ruchy pana Ciopka, piszącego na tablicy zadania. Już pierwsze z nich zapowiadało katastrofę.

Oblicz:

$$^360 + 6$$

$$x = \text{---}r\text{---}$$

Jaką liczbą jest x?

- a) naturalną
- b) wymierną
- c) całkowitą
- d) niewymierną

Zacząłem pisać: Jan Racyniak, klasa II, „a”, grupa 1. Tyle mojej wiedzy.

— No i co? — szepnąłem ponownie do Ślipka.

— No i nic — syknął, zakrywając ręką kartkę. — Rób swoje, ja mam inną grupę.

Nie mogłem na niego liczyć. Rozejrzałem się po klasie i ze zdziwieniem zauważyłem, że kolega Gnida siedzi rozparty w ławce i beztrosko tresuje muchę przywiązaną do nitki. Czyżby talent do matematyki nagle go opuścił? Prawdę mówiąc, przy tablicy jakoś nigdy nie udało mu się wykazać, ale

123

twierdzi, że to przez alergię na kredę. Zawsze jednak ratują go sprawdziany.

Gnitecki zauważył, że mu się przyglądam, i puścił do mnie oko. Podniosłem więc rękę w geście porozumienia.

— Słucham, chciałeś o coś zapytać, Jasiu? — spytał Ciapek, zerkając znad gazety.

— Nie... tak się tylko przeciągam — bąknąłem.

— Pracujesz samodzielnie? — upewnił się jeszcze belfer.

— Samodzielnie, oczywiście — odpowiedziałem i zgarbiłem się, przygnieciony ciężarem życia.

— A ty dokąd, Gnitecki? — Ciapek spojrział gdzieś nade mną.

124

— Chciałem wyrzucić ogryzek, proszę pana — odpowiedział Gabryś, klucząc między walającymi się po podłodze plecakami z założoną do tyłu ręką. — Przez ten ogryzek nie mogę się skupić.

— Czyj to ogryzek? — drażył matematyk.

— Mój, proszę pana... — Gnida pociągnął nosem i kucnął obok mojej ławki. — Mam dla ciebie...
— wymamrotał — ..taki mały prezent na zachętę.
— Gdzieś ty się podział, Gnitecki? — zainteresował się Ciapek. — Nie dość, że objadasz się w czasie lekcji, to jeszcze znikasz. Wychodź natychmiast!
— Tu jestem, proszę pana — sapnął Gabryś, otrzepując spodnie. — Wcale nie zniknąłem, tylko potknąłem się o plecak Racyniaka. Już wracam na miejsce, proszę pana.
Nauczyciel odłożył gazetę i szybkim ruchem zdjął okulary.
— Przecież chciałeś wyrzucić ogryzek, czyż nie? Gdzie go masz?
— Połknąłem — zełgał Gnida. — Potknąłem się i połknąłem, proszę pana.
W klasie odezwały się śmiechy, co zaniepokoiło nauczyciela.
— To są jakieś niedorzeczne wykręty! Jazda do ławki i bierz się do roboty. Masz jeszcze trochę czasu... No, jak ty idziesz?!
Naśladujący właśnie kulawą kaczkę Gnida wyprostował się i potruchtał na swoje miejsce.
Śmiechy ucichły, a ja pochylałem się, żeby sięgnąć po niespodziewany prezent. Na plecaku leżała kartka, którą

125

chwyciłem, nie dbając o konspirację, i zaraz wytrzeszczyłem oczy, bo — zdaje się, że pierwszy raz w życiu — miałem uczucie deja ni. Ledwie wczoraj dostałem jednego gotowca, a już, jak na zawołanie, mam drugiego. Skąd oni je mają? Sami okultyści i czarnoksiężnicy — łącznie z Ptakiem — dookoła mnie, tylko ja jeden, sierotka, niczego nieświadomy.
Ze ściśniętym gardłem podpisywałem kartkę z rozwiązanymi zadaniami, wiedziałem jednak, że jeśli oddam pustą kartkę, trzecia jedynka przypiecze tuje mój los. No i pozostaje jeszcze sprawa moich „dobroczyńców” — nie mogłem wzbudzać ich podejrzeń, póki nie dowiem się, co knują.
W czasie długiej przerwy pobiegłem do parku. Miałem nadzieję zastać tam Kostka, który lubił posiedzieć na świeżym powietrzu i „zebrać myśli”, jak to określał.
Usiadłem na ławce i rozkoszowałem się chwilą ciszy, wdychając ziemisty zapach jesieni. Nade mną rozczapierały gałęzie klony i buki, sypiąc na przyszczyżony trawnik szybujące niespiesznie kolorowe liście. Gdzieś w dali za drzewami sennie mruzczała ulica, tylko od szkoły dobiegały okrzyki ożywionych ładną pogodą gimnazjalistów. Powoli ogarniała mnie błogość.
— Te, farfocel, daj popykać! — przywołał mnie do rzeczywistości niezbyt grzeczny baryton, poparty kuksańcem w plecy i dźgnięciem w bok. Rozejrzałem się nieprzytomnie.
Za ławką stał niski przyszczaty facet, w którym ze zgrozą rozpoznałem Kalafiora, zaś jego chudy kompan Duda spychał

126

mnie bezceremonialnie na skraj siedziska. Dzisiaj obaj mieli na sobie ortalionowe błękitno-zielone dresy i sportowe buty. Szczyt meliniarskiej elegancji...
— Dasz popykać czy nie? — Duda wyjął z kieszeni scyzoryk, rozłożył go i przejechał palcem po ostrzu.
— Nie bardzo rozumiem... — wymamrotałem.
— Wyskakuj z fajeczek, frajerze! — wyjaśnił Kalfior. — Popatrz, Duda, jak te dzisiejsze dzieciaki ciężko myślą. To jak będzie? — znów zwrócił się do mnie.
Wstałem, ale poczułem, że znów siadam (z drobną pomocą obu młodzieńców, rzecz jasna).
— Bo ty mu, Kalafior, źle mówisz. Ty mówisz tak, że on nie wie, co mówisz — pouczył kolegę Duda.
— No to jak mam mówić? — zaniepokoił się Kalafior. Zachowywali się tak, jakby mnie obok nich nie było.
— A po co w ogóle coś mówić? Przetrząśnij chłoptasiowi kieszonki i się samo zobaczy — przedstawił swoją propozycję Duda, który najwyraźniej lubił konkretne podejście do problemów.
— J-ja nie p-palę — wyjąkałem, pocąc się ze strachu.
— Patrz, Kalafior, jaki z niego kłamczuszek. Udawał, że nic nie kapuje. — Duda zmarszczył czoło, po czym pociągnął mnie za ucho. — Ładnie to tak oszukiwać?
W tym czasie Kalafior sięgnął do mojej lewej kieszeni i wyciągnął pudełko z karaluchem.

— Tak nie wolno! — zaprotestowałem. — Bo wezwę policję!

Nieźle ich to ubawiło.

127

— A zapalniczki to nosisz, bo ci zimno? — zapytał Kalafior i potrząsnął pudełkiem. — Co masz w drugiej?

— W jakiej drugiej? — próbowałem grać na zwłokę w nadziei, że ktoś wybawi mnie z tej opresji.

— Ty widziałeś, Duda, jaki to kombinator?

Ręka bandziora zanurkowała tym razem w mojej prawej kieszeni. Złapałem go za łokieć, usiłując nie dopuścić do kolejnego przeszukania, ale Duda wbił scyzoryk w deskę tuż przy mnie. W lot pojąłem, co mi chciał w ten sposób przekazać.

W dłoni Kalafiora pojawił się mój telefon komórkowy.

— Tym dzieciakom w głowach się przewraca od dobrobytu, Duda.

— Pryszczaty bandzior wyglądał na rozczarowanego.

— Nic, tylko się bawią komórkami.

— Oddawaj telefon, złodzieju! — warknąłem zdesperowany

Kalafior spokojnie położył łup na ławce obok siebie i wygrzebał zza pazuchy wymiętą paczkę papierosów „Hutnik Light” bez filtra.

128

— Chyba trzeba wypalić swoje, co nie, Duda? Zajarasz, młody? — zaproponował, ziewając.

Milczałem wymownie. Pryszczaty wsunął palec do pudełka zapalek „Fortuna” i zamarł.

— Co jest, Kalafior? — zainteresował się Duda, wypluwając na ziemię drobiny tytoniu. — Dawaj ognia!

— Ka... ka... — bełkotał jego kompan z wytrzeszczonymi oczami.

— „Ka”? Co za „ka”?

— Ka... karaczan, Du... Duda... — wyjąkał Kalafior. Uwolniony karaluch podreptał po spodzie pudełka i spadł

na kolana opryszkowi. Ten zerwał się z wrzaskiem i zaczął podskakiwać niczym pijany fakir na rozżarzonych węglach. Wykorzystałem okazję i szybko schowałem telefon za pasek spodni.

— O, wy hultaje! Łobuzerko jedna! - rozległ się nagle stłumiony gderliwy głos.

Pod rozłożystym kasztanowcem stał znany mi z akcji w mlecznym barze brodaty staruszek w brązowym płaszczu w kratę, wymachując laską.

Kalafior natychmiast zapomniał o karaluchu i popatrzył niezdecydowanie na staruszkę.

129

— To ten dziadyga drapnął nam komórkę! — rozpoznał go w końcu Duda. — Za nim!

Podawali się do biegu. Staruszek pokazał im język, po czym niespodziewanie odrzucił laskę i popędził w stronę szkoły z budzącą najwyższe zdumienie prędkością. Nawet ja nie potrafiłem tak szybko biegać, a przecież nie byłem łamagą.

W chwilę później dziadek zniknął za drzwiami gimnazjum, zostawiając daleko w tyle zasapany pościg. Duda i Kalafior wbiegli na szkolny dziedziniec, gdzie natknęli się na przechodzącego akurat Wąsika z ujadającą na smyczy Sonią, zawrócili więc, nie tracąc tempa, i tyle ich widziałem.

130

Rozdział 12.

Ptaku, ratuj!

Rytm szkolnych dzwonek wyrobił w nas klasyczne warunkowe odruchy. Gdy tylko dotarło do mnie, że nadszedł koniec przerwy, posłusznie obrałem właściwy kierunek i wystartowałem do biegu, wiedziony instynktem każącym mi stawić się w kolejnej szkolnej pracowni.

W moim umyśle odezwało się jednak coś niezgodnego z ogólnie przyjętą procedurą, ponieważ zatrzymałem się, tknięty złym przeczuciem.

— Karaluch, gdzie mój karaluch? — zawołałem. Nie zwróciłem nawet uwagi, że właśnie okazałem troskę, ba, nawet przywiązanie do stworzenia, które jeszcze rano uznawałem za odrażające.

Przeszukałem liście wokół ławki, wytrząsnąłem zawartość leżących w pobliżu mokrych opakowań

po wafelkach i po chipsach, zjrzałem nawet do oblepionej piaskiem puszki, narażając się na oblanie resztkami coli, a nawet wydłubanie oka sterzącą zawleczką. Wszystko na nic.

Pod jednym z omszałych kamieni znalazłem zaskakująco ruchliwą dżdżownicę, ale odstąpiłem od pomysłu zastąpienia nią karalucha, bo jednak jej podobieństwo do Janusza było nikłe. Poza tym nie mogłem przecież na własną rękę

131

zmieniać taktyki Klanu. Dostałem karalucha i z karalucha będę rozliczony, bo jest to ważny karaluch, więc trzeba zdobyć podobnego, najlepiej polując w jego środowisku naturalnym, czyli w stołówce. Tylko jak się do tego zabrać?

— Dzwonka, Racyniak, nie słyszałeś? — Wołanie Wąsika zagłuszone szczekaniem psa dobiegło aż tutaj. Że też wszyscy muszą znać moje nazwisko, kiedy ze cztery setki innych uczniów pozostają anonimowe do końca szkolnej kariery.

— Już zasuwam, panie Stefanie, zgubiłem eee... zegarek! — zełgałem idiotyczne, bo Wąsik skojarzył mi się z zegarkiem.

— Znowu? — uśmiechnął się Wąsik z politowaniem. — Czy ty aby nie jesteś jakiś lewy?

— To znaczy? — upewniłem się. Byłem już blisko wejścia i właśnie starałem się okrążyć łypiącą na mnie spode łba Sonię.

— To znaczy taki niby normalny, a nienormalny — objaśnił swoją koncepcję woźny — Ciągłe gubisz zegarki... Rodzice wiedzą?

— Mam ojca na stanowisku, panie Stefanie, więc nas stać! — odpowiedziałem mu przekornie, przekraczając próg szkoły

— Ja ci dam, smarkaczu, stanowisko! — zezłościł się Wąsik i odpiął smycz. Sonia zrozumiała intencje woźnego, ale ja również w mig je pojąłem. Kiedy pies skoczył, zamknąłem mu drzwi przed nosem. Głuchy łomot uderzającego o drewno cielska wywołał we mnie uczucie nieklamanej satysfakcji. A co tam!

132

Pędząc w kierunku sali gimnastycznej, odkryłem straszną prawdę: całe moje całe życie to jedna wielka gonitwa. Śmiem przypuszczać, że w poprzednim wcieleniu byłem koniem...

Zbiegłem po schodach na sam dół, a potem pognałem długim korytarzem w lewo. Właśnie miałem wejść do szatni, kiedy moją uwagę przykuł podłużny tobół, leżący pod ścianą obok kantorka sprzątaczek. Zignorowałem więc drzwi, poznaczone licznymi odciskami butów sportowych w dolnych partiach i z czarnym napisem: CHŁOPCY.

Zakradłem się na palcach do tajemniczego znaleziska, bo przecież głupio byłoby zostać przyłapanym na grzebaniu w cudzym tobole. Kiedy się nad nim pochylałem, w moje czule nozdrza uderzyła fala naftalinowego odoru, wgryzając się aż pod sklepienie czaszki. Nie wiem dlaczego, ale zawsze brzydziłem się tego rodzaju zapachów.

W tym momencie przyszło mi na myśl, że największą zagadką dla przyszłych badaczy mojego sławnego żywota będzie stwierdzenie, w jaki sposób zdołałem wytrzymać zamknięty w ubikacji, sam na sam z rozlanym lizolem. Ale tym niech się martwią sami.

Moim zmartwieniem w chwili obecnej stał się porzucony przez staruszka sprintera brązowy płaszcz w grubą kratę, który z daleka wziąłem za tobolek.

— Halo — zawołałem najciszej jak potrafiłem.

Za drzwiami kantorka sprzątaczek coś zaszeleściło.

— Halo-o! — powtórzyłem, lecz teraz ukrywająca się w kantorku osoba przyczaiła się, próbując udawać, że jej tam

133

nie ma. Ale ja już wiedziałem, że jest. Wiedziałem też, kto to jest.

— Pani Danusiu, telefon do pani! Ha-alo! — Celowo użyłem imienia jednej z pań sprzątających, by uśpić czujność staruszka, który, jak przypuszczałem, ukrył się tutaj przed ścigającymi go bandziorami. — Wiem, że pani tam jest

134

dyrektor wzywa! — nawoływałem z uporem. Lekcja WF-u zupełnie wyleciała mi z głowy.

— Da... Danusi nie ma! — dobiegła zza drzwi kiepska imitacja kobiecego głosu. — Wyszła za męża, wróci po weselu!

— To szkoda — stwierdziłem. — Tak się składa, że dzwonią z kuratorium, bo chcieli jej przyznać jakiś medal i dać podwyżkę. Ale jak nie, to nie. Idę!

Dla lepszego efektu zatupałem — najpierw głośno, potem coraz ciszej, aż wreszcie zamarłem, wstrzymując oddech.

Minęło kilka ciągnących się w nieskończoność sekund, podczas których zdążyłem zsinieć z braku powietrza, gdy wtem klamka opadła ostrożnie i przez szparę w drzwiach wysunęła się szczupła dłoń. Niczym pięcionogi pająk podreptała najpierw w lewo, potem w prawo, by po ukazaniu się aż do łokcia pochwycić połę kraciastego płaszcza. Złapałem rękę za przegub i pociągnąłem do siebie. — Aaah! — usłyszałem.

Staruszek pewnie bardzo się przestraszył, lecz stawiał niespodziewanie silny opór. W końcu, nie mogąc utrzymać ręki, przygniotłem go drzwiami.

— Puszczaj, idioto! — jęknął więzień, a potem chrząknął jak dzik. Moje mięśnie natychmiast zwiotczały i okłapałem niczym przekłuty balon, puszczając rękę delikwenta.

— Wyłaż, Kostek — powiedziałem zrezygnowanym tonem. — Nie będę się przecież z tobą szarpał.

— Cyna? Nie poznałem cię po głosie, synu. — Zarumieniony Ptak wyszedł z kantorka i podniósł płaszcz.

135

— Jasne — parsknąłem. — Znamy się przecież od pięciu minut.

— Naprawdę, stary, tak się przejąłem ratowaniem ciebie, że na amen straciłem głowę.

— Ty? Ty mnie ratowałeś? Kiedy? — stropiłem się, nie mogąc sobie nic takiego przypomnieć.

Przynajmniej z dzisiaj.

Kostek wrzucił płaszcz do kantorka i wziął się pod boki.

— Udajesz czy rzeczywiście jeszcze nie załapałeś?

— Czego?

— A jak myślisz, skąd mam ten płaszcz? — Kostek rozejrzał się, po czym postukał palcem w czoło.

— Zgubił go staruszek... — zacząłem.

— Który, według ciebie, gdzie się podział? — przerwał mi niecierpliwie.

— Nie wiem... — zastanowiłem się. — Uciekł?

Mój przyjaciel kucnął i ukrył twarz w dłoniach. Kiwał się przez chwilę na boki, aż naraz podniósł się, uśmiechnięty od ucha do ucha.

— Poddaję się, bo sądzę, że miałeś ciężki dzień i po prostu przestałeś myśleć. — Popatrzył mi w oczy. — Powiem ci, gdzie jest ten twój staruszek.

— Czyli od początku planowałeś mnie skołować, tak? — Nie chciałem, żeby zabrzmiało to napastliwie, ale tak jakoś wyszło. — Ja też coś wiem — dodałem. — Wiem, kto ma twój telefon!

— Poważnie?

— Poważnie! Nawet nie przypuszczasz, kto to...

136

— No dobrze, nie będę się nad tobą pastwił, Cyna, i od razu ci powiem. Otóż wiem, kto to, bo to ja.

Wstyd przyznać, ale trochę się pogubiłem, i Kostek to zauważył.

— Zaczekaj chwilę, zaraz wszystko się wyjaśni — powiedział, wchodząc do kantorka.

Ruszyłem za nim, jednak powstrzymał mnie gestem podpatrzonym zapewne u jakiegoś policjanta z drogówki.

Stałem więc na korytarzu, czekając, by mnie Ptaszysko oświeciło, aż usłyszałem podniesione głosy. I wtedy dotarło do mnie, że nie jestem na lekcji! A jeśli właśnie zbliża się któryś z wuefistów? Lub, co gorsza, nawet dwóch? Przecież mówi się, że nieszczęścia chodzą parami.

Oprócz zajmowanego przez Kostka kantorka w pobliżu nie było żadnej kryjówki. Zdesperowany,

pomyślałem nawet, żeby uwiesić się na którejś z lamp i przeczekać niebezpieczeństwo pod sufitem. Nie doskoczyłbym jednak, a gdyby nawet, to wątpię, by lampa utrzymała mój ciężar. Głosy — kobiece i męski — stały się już zupełnie wyraźnie. Zastukałem do kantorka. — Ptaku, ratuj! — szepnąłem przez dziurkę od klucza. — Ktoś tu lezie! — Zajęte — usłyszałem w odpowiedzi. — Nie świruj, zaraz mnie nakryją na wagarowaniu! Wpuszczaj, człowieku... — Jeszcze chwila i wyląduję na dyrektorskim dywaniku. A za ucieczki z lekcji Walezy podobno rozgniała ucznia na placek. Dosłownie i w przenośni.

137

Kostek zlitował się chyba w ostatniej chwili. Dalsze wydarzenia potoczyły się błyskawicznie, choć do tej pory trudno mi zrozumieć, jak się to wszystko mogło udać.

Z kantorka wychynęło brudne łapsko i pochwyliło mnie, wciągając brutalnie do środka. Trzasnęły zamykane drzwi, zgrzytnął przekręcany w zamku klucz, po czym ogarnęła mnie ciemność.

Chwilowo byłem bezpieczny

Wysłuchałem się w stukot podkutych butów, wybijający rytm wymiany zdań między nadchodzącymi.

— Uspokój się, kobieto! Coś usłyszałem... Jakby trzaśnięcie — burknął męski głos.

— Najpierw odpowiedz na moje pytanie, profesorku. Bo jak nie, to faktycznie usłyszysz trzaśnięcie, ale na swojej głowie! — zagroziła kobieta. — Tej miotły, ot co!

— Wyraźnie coś trzasnęło. To znaczy stuknęło... — spuścił z tonu mężczyzna.

Zatrzymali się przy drzwiach, nasłuchując. W kantorku panowały ciemności, ale wiedziałem, że nie jestem sam.

— Ani pary z gęby, Jasiu. Nas tu nie ma... — usłyszałem tuż przy uchu.

Ktoś usiłował otworzyć drzwi, zablokowane przez Kostka od wewnątrz.

— Bodaj by diabli wzięli te durne dziewczuchy! Pewnie znowu zepsuły jakiś mechanizm albo złamały klucz — zlorzczyła kobieta skrzeczącym głosem, który skądś go znałem...

To Wąsikowa!

138

— Załatwimy to później — powiedział mężczyzna. — Jeszcze jakiś uczeń nadejdzie...

— Poznajesz klienta? — nie wytrzymał Kostek. — To przecież Bęben. Co on tu robi, do licha?

Jak mogłem go nie poznać? Zaledwie wczoraj o mało nie zostałem zdemaskowany przez pana Miłosza Bębniawę, kiedy ukrywałem się w nauczycielskiej toalecie. Właśnie przez niego musiałem spędzić kilka straszliwych chwil w oparach lizom. Podziwiałem jednak Ptaka za jego bystrość — rozpoznanie mówiącego zajęło mi znacznie więcej czasu.

— Nie będziesz się teraz wycofywał, jaśnie mądralo! — widać nauczyciel nie cieszył się szacunkiem Wąsikowej. — Spróbuj mnie, Miłek, ocyganić, to dyrektor Balezy dostanie piękny i długi list... — zagroziła. — Już ja wiem, co kombinujesz!

— Nic nie kombinuję, Jolka, przysięgam! — zapewniał zgaszony Bęben.

— A pewnie, pewnie. Dorobiłeś klucz i kiedy mnie nie będzie...

— Daj spokój — przerwał jej nauczyciel. — Pomyśl sama, po co miałbym to robić? Dorabiać klucz, żeby sam siebie okraść? To absurdalne i nielogiczne.

— Ty tu się nie popisuj takimi wyrazami, mądralo. Jak bym chciała, też bym szkoły pokończyła.

— Ja jedynie...

— No dobrze — uspokoiła się żona woźnego. — Wracamy Powiem Stefkowi, żeby to naprawił. Że niby nie mogę wziąć wiadra...

139

Nawet przygoda z Dudą i Kalafiozem nie przyprawiła mnie o takie palpacje serca. Wreszcie odgłos kroków zaczął powoli cichnąć. Coś pstryknęło i kantorek zalało żółte światło padające z nieosłoniętej żarówki.

Odwrociłem się.

— Słyszałeś... — wychrypiałem, wytrzeszczając oczy. Zamiast Kostka pośród wiader, szmat i froterek stał ubrany w zalatujący naftaliną płaszcz siwobrody staruszek. — To... ty? — Na moment

zaparło mi dech.

— Hultaje, łobuzerka! — powiedział dziadek gderliwie, grożąc mi pięścią. — Myślałem, że się prędzej domyślisz — dodał Kostek normalnym już głosem.

Odkleił z twarzy siwą kozią bródkę, nastroszone brwi, a potem maskę pokrytej zmarszczkami i postarzałej twarzy.

— I co ty na to, synu?

— Daj spokój, ale dałem się nabrać — jęknąłem. — Skąd masz ten strój?

Kostek wzruszył ramionami.

— W grudniu Tyczka wystawia z naszą klasą jasełka. Zamówiła w pracowni Cokota, tego od kostiumów dla teatru w Zielonej Górze, kilka gotowych strojów. Pastuszków, diabła i takich tam... Kiedy przyszła paczka, okazało się, że dołożyli maskę jakiegoś dziadygi, pewnie przez pomyłkę.

— I co, Palikowa oddała ją tobie?

— No coś ty! Stwierdziła, że nie będzie płacić, więc trzeba maskę odesłać, i kazała mi to załatwić, bo jestem skarbnikiem. Tylko że ja zadzwoniłem do pracowni i w imieniu samorządu podziękowałem za wsparcie szkoły. W takiej

140

sytuacji głupio im było żądać pieniędzy. Przysłali rachunek, ale pominęli maskę dziadka. Tym sposobem...

— Tym sposobem masz nową... to znaczy starą gębę, cwaniaku — cmoknąłem z podziwem. Ja bym w życiu na to nie wpadł. — A płaszcz?

— Po Konstantym Leopoldzie, rzecz jasna. Babci Tosi wmówiłem, że przekazuję go do zbiorów muzeum. Chowam to wszystko tutaj. Marynia pożyczyła mi klucz. — Marynia jest córką pana Ryśka, sąsiada Kostka. Widywałem ją czasami, bo dorabia do studiów sprzątniem w szkole.

Po raz kolejny okazało się, że przestawanie z Ptakiem gwarantuje mocne przeżycia.

W kantorku zrobiło się duszno, męczyło mnie jednak jeszcze kilka spraw.

— A w barze? Skąd się tam wzięłeś?

— Zaczaiłem się na tych dwóch, którzy buchnęli mi telefon. — Kostek nacisnął klamkę, ale go powstrzymałem.

— Nie tak szybko, Ptaszku! — ostrzegłem.

— Pamiętasz kosz na śmieci? — zapytał Kostek. — Kiedy się uspokoiło, poszedłem do parku pomedytować i niechcący podsłuchiwałem rozmowę tych dresiarzy. Mówili coś o jakimś Bolku i o fantach, cokolwiek to znaczy. Gdy zauważyli, że się chowam za drzewem, zaczęli mnie gonić. Wtedy wypadła mi z kieszeni komórka, a ci skubańcy ją podnieśli i odeszli, śmiejąc się szyderczo. Wcześniej wspomnieli coś o „Kefir-ku”, więc wróciłem do szkoły, przebrałem się szybko, a potem pobiegłem do baru. Minałem ich i ciebie, ale kto dziś zwraca uwagę na biednych emerytów? — stwierdził z żalem.

141

Rozdział 13.

Szafka z niespodzianką

Patrząc na tajemniczą minę Kostka, zacząłem się jeszcze bardziej niepokoić. Oczywiście od czasu pamiętnego zebrania miałem pewność, że dostęp Plomby i innych „samorządowców” do gotowych sprawdzianów i kartkówek był jakimś wielkim przekreśleniem, nie podejrzewałem jednak, że Ptak wie o tym coś więcej niż ja, a na to właśnie wszystko wskazywało.

— Niebezpieczna? — przełknąłem ślinę. — Czyli że co, mam się bać?

— Właściwie chyba powinieneś — stwierdził przyjaciel, dobijając mnie zupełnie. — Ja na twoim miejscu nawet bym nie próbował mieszać się w sprawy Klanu, nie wspominając o przystępowaniu do niego. Ale skoro jesteś taki odważny...

— Zaraz, zaraz, skąd wiesz, że przystępuję? W gazecie pisali? Nie przypominam sobie, żebym ci o tym wspominał albo podawał ten fakt do publicznej wiadomości. — Wiedza o moim życiu prywatnym szybko się rozpowszechniała i to mnie irytowało.

Moje pytanie wywołało u Kostka kolejny tajemniczy uśmiech.

— Przypuśćmy, że mam zdolności parapsychologiczne — powiedział, ruszając przy tym zabawnie

uszami. Zawsze

143

mnie czymś takim rozbrajał, ale tym razem sztuczka nie zadziałała.

— Aha, masz, ale najwyżej paradontozę, wróbelku. Takie opowieści zostaw do czasu, aż cię wynajmę do zabawiania Gluta.

— Uwielbiam, jak się wściekasz, Cyna. Mógłbyś zrobić karierę w filmie, naprawdę. Powściekaj się jeszcze, to może ci żyłka pęknie — nabijał się Ptak. Spoważniał jednak szybko i powiedział: — Mam tam swojego człowieka. Dobrze, nie?

Kostek nieraz już mnie zaskoczył, ale teraz przeszedł samego siebie.

— Nie wierzę — sapnąłem. — Przyznaj się, stary: podsłuchujesz ich rozmowy? A może sam jesteś w spisku?

— Chciałbyś... — mruknął. — Jak zamierzasz przejść pierwszą próbę?

O tym też, łajdak, wiedział! Przystąpiłem z nogi na nogę. Może to i lepiej? Zawsze co dwie głowy... Coś mnie nagle tknęło.

— Powiedz, w jaki sposób zdobyłeś sprawdzian, a ja ci powiem, jaki mam plan. Pasuje? — powiedziałem szybko i spojrzałem nerwowo na ścienny zegar. Wpół do dwunastej, czyli zostało jeszcze pięć minut na pogaduchy, o ile ktoś nas stąd nie wykurzy.

Gdzieś daleko rozbrzmiewało donośne szczekanie Soni. Czyżbym nawet myślami prowokował to wredne psisko? Na szczęście nie ma mowy, by pojawiło się tutaj, bo obowiązywał surowy zakaz wprowadzania do szkoły psów i innych zwierząt. Jeśli chodzi o mnie, nie miałem problemów

144

r podporządkowaniem się temu zarządzeniu, ze zwierząt do-fflowych posiadałem jedynie... Gluta, nie licząc kilku zabiedzonych ślimaków w zarośniętym glonami akwarium.

Kostek zwlekał odpowiednio długo, bym nie pomyślał, że łatwo od niego cokolwiek wyciągnąć.

— Poznałem ich sposób — powiedział wreszcie. — Zrobiłem to samo i... zdobyłem.

Szczekanie zdawało się być coraz głośniejsze. Wiedziałem, że echo potrafi wyczyniać różne cuda, ale żeby do tego stopnia omamić człowieka? Do tego jeszcze te wykręty Ptaka... Podrapałem się po uchu.

— Wiesz co, przyjacielu? Za chwilę cię kopnę! — ostrzegłem.

— Spróbuj. Ciekawe co zrobisz potem? — zainteresował się Ptak, oglądając w zamyśleniu paznokcie.

— Potem? Potem normalnie ucieknę. Miałem ostatnio solidny trening w bieganiu na czas — poinformowałem go lojalnie.

— Jesteś, synu, niezniszczalny. Ktoś ci to już uświadomił? — Kostek pokręcił głową. — Oni, czyli Klan, zdobyli klucze od wszystkich pracowni. Nie wiem, jakim cudem, chyba że Wąsik im dał, w co jednak wątpię... — przerwał i zmarszczył czoło.

Dlaczego ten potwór w psiej skórze tak ujada? Poczułem na plecach ciarki, na szczęście w tej samej chwili niepokojący dźwięk ucichł. Poczułem ulgę.

— Jak wiesz, większość belfrów dzień albo dwa dni wcześniej przygotowuje testy, pytania na sprawdziany, a czasami

145

nawet na kartkówki — kontynuował mój kamrat beztrąsko. Prawdopodobnie Sonia jemu nie kojarzyła się z zagrożeniem. — Wystarczy więc wejść do szkoły po południu, nai przykład pod pretekstem zebrania samorządu, i spokojnie przetrząsnąć biurka. Wtajemniczeni najpierw przepisują zadania, a potem za parę złotych wynajmują jakiegoś dziecięcia, żeby je rozwiązał. Czasem robią odwrotnie, czyli zabierają to, co napisali na sprawdzianie — a przeważnie są to zwykłe bzdury, i podkładają w ich miejsce...

Kostek umilkł w pół zdania, a ja, zaskoczony, zamarłem, kiedy nagle w głębi korytarza zamajaczyła olbrzymia kosmata psia sylwetka.

Nie czyniąc najmniejszego hałasu, Sonia skoczył w moją stronę, celując twardym drucianym kagańcem prosto w brzuch. Co ciekawe, zignorowała Kostka, choć przecie[^] stał bliżej. Znaczący zachowań zwierząt miałby tu pewnie spore pole do popisu.

Jednocześnie umieszczony pod sufitem dzwonek zagrział tak niespodziewanym ładunkiem decybeli, że odruchowo otworzyłem usta, by mi bębenki w uszach nie popękały od hałasu. Przestraszony pies pisnął cienko i umknął ślizgając się na wyfroterowanej podłodze. Chciałem coś powiedzieć, lecz drzwi od szatni otworzyły się z impetem i ze środka wysypał się rozwrzeszczan tłumek chłopaków z mojej klasy. Trochę mnie to zdziwił — przecież powinniśmy mieć jeszcze jedną lekcję WF-u.

— Cyna, oszalałeś? — krzyknął na mój widok spocony Ślipek. — Gdzieś ty był, pajacu jeden?
146

— Będziemy biegać na setkę, po dwa okrążenia alejkami w parku. Zaraz po przerwie.

— Przecież to będzie ze trzysta metrów! — wtrącił się Kostek.

— Poważnie? — zdumiał się Ślipek. — A Turbol mówił, że sto...

Jakby na zawołanie z szatni wybiegł truchtem ubrany w dres pan Turboliński — drobny łysolek z zawieszonym na szyi gwizdkiem sędziowskim i z wydatnym brzuchem. Krążyły legendy, że w brzuchu nosi zaginioną piłkę do koszykówki, której podobno po dziś dzień nie mogą się doliczyć w czasie inwentaryzacji. Nie chciało mi się jednak wierzyć, żeby którykolwiek z nauczycieli potrafił połknąć tak wielką piłkę. Istnieją przecież granice ludzkich możliwości.

Kiedy zobaczyłem pana Turbolińskiego, zrozumiałem, że mam przegwizdane.

— Racyniak! — powiedział tym swoim gardłowym głosem z charakterystycznym charczącym „er”. — Kto ci pozwolił się ubrać, chłopaku?

— Kiedy ja... — splotłem palce, patrząc gdzieś w bok. — No bo... nie zdążyłem, proszę pana.

— O czym tym mówisz, chłopaku, czego nie zdążyłeś? Coś mi się tu nie zgadzało... Czyżby nie sprawdzał obecności? Musiałem się upewnić.

— No bo nie zdążyłem się rozebrać... eee, to znaczy... właściwie zdążyłem... — Zwykle wymyślanie wykrętów przychodziło mi z łatwością, ale w tej chwili zabrakło mi weny twórczej. — Jak ćwiczyliśmy...

148

— To ja przyszedłem po niego, proszę pana — wyręczył mnie Kostek. — Wezwała go pani Palik w ważnej sprawie dotyczącej działalności samorządu. Nie powiedział panu?

— Nic mi nie powiedział, chłopaku — potwierdził Turbol, patrząc na mnie z wyrzutem. — A ja wam ciągle powtarzam, żeby mnie powiadamiać! Co znowu, Ślipek?

— uniósł brwi na widok wyciągniętej w górę ręki osiłka.

— Ale przecież na sali go wcale... — próbował donieść o moich wagarach, jednak Ptak był czujny

— Ślipek bierze sterydy, proszę pana — rzucił obojętnie.

— Wiedział pan? Turbol osłupiał.

— Jak to sterydy, chłopaku?! Tyle razy ci, Piotrek, powtarzałem, żebyś nie łykał żadnych świństw, prawda?

— Prawda, tylko że... — zakwilił zaskoczony Byku. Zajmował jednak z góry przegraną pozycję.

— Nabiał, Piotrek, zawsze to powtarzam! Nabiał, warzywa i witaminy, chłopaku, a ty... fuj, sterydy? — gorączkował się wuefista. Gdybym bardziej lubił Ślipka, pewnie bym go teraz pożalował.

149

Pokazałem Kostkowi uniesiony ku górze kciuk. Z tymi sterydami trafił, skubaniec, w dziesiątkę. Pan Turboliński, trzymając teraz gwizdek w zębach, zaczął się pastwić nad Bykiem, zagłuszając jego tłumaczenia przerywanym świstem. Miałem wrażenie, że oglądam jakąś kiepską komedię. Przedstawienie, choćby najdłuższe, kiedyś musi się skończyć. To zostało przerwane niespodziewanym nadejściem Wąsika.

— Przepraszam, profesorze... — Pełne niepokoju oczy woźnego błędziły po naszych twarzach. — Nie widział profesor gdzieś tu Soni?

— Sśakieś Ssoniś? — zaświszczał stropiony Turbol, ciągle z gwizdkiem przy ustach. — Sśzadneś śśiewczynys śśtuś...

— Nagle dostrzegł nasze rozbawienie i wypluł gwizdek.

— Żadnej dziewczyny tu nie było, chłopaku, to jest... panie Stefanie. Szatnie dziewcząt są przecież

z drugiej strony. Zapomniał pan?

— Pies, panie profesorze, psinka moja się zapodziała! — Wąsikowi zakręciła się łza w oku. Nie przypuszczałem, że można być tak przywiązany do ludojada.

— Racyniak, przebieraj się z powrotem i jazda do parku! Rozgrzeweczka, chłopaku, raz, raz! — niespodziewany krzyk wuefisty zepsuł tę wzruszającą chwilę.

Nim spełniłem jego polecenie, rozejrzałem się w poszukiwaniu Kostka, ten przepadł jednak bez śladu. Rozczarowany, powlokłem się do szatni, słysząc jeszcze, jak Turbol napomina Wąsika:

150

— A pan, panie Stefanie, nawet niech nie wspomina o psie. Tu psom przebywać nie wolno! Sonia czy Monia — wszystko jedno, chłopaku.

Przerwa skończyła się akurat w chwili, kiedy uświadomiłem sobie, że nie mogę się przebrać, ponieważ gdzieś posiałem plecak. A za tą świadomością przyszła zgroza.

— Pierścionek... — jęknąłem cichutko.

— Jaki pierścionek? — zapytał ktoś niewyraźnie.

Struchlałem, bo byłem pewien, że w tym cuchnącym, zapchanym porzrzuconymi ubraniami i ubłoconymi butami pomieszczeniu jestem sam. Co prawda zza prowadzących na salę gimnastyczną wahadłowych drzwi słychać było pokrzykiwania w rodzaju: „... na lewo Kapusta, no dawaj, jolopie... Teeest!”, jednak nie mógł to być żaden z tamtych głosów.

Odsunąłem ławki, licząc, że może pod nimi znajdę podsłuchującego mnie szczura, ale ujrzałem jedynie kłęby kurzu oraz sporą ilość śmieci, których — ze względów higienicznych — wolałem nie dotykać.

— Ktoś tu jest? — zapytałem groźnie.

— Ee, nikogo nie ma...

O ile mnie słuch nie mylił, ten strachliwy głosik dochodził z jednej z szafek. Pochyliłem się więc, chwytając ciężkiego buciora, który, sądząc po rozmiarze, mógł należeć do samego Ślipka.

— Nikogo? — zapytałem i łupnąłem w pierwsze z brzegu metalowe drzwiczki. — Na pewno? — i łupnąłem w kolejne.

Przy czwartych doczekałem się reakcji.

151

- Och, nie! — załkał ukryty w środku dekwownik. Walnąłem więc mocniej, dla pewności. — Oj, przestań, bo ogłuchnę! — usłyszałem w odpowiedzi.

— Wyskakuj! — rozkazałem, otwierając szafkę.

W niewiarygodnie ciasnym wnętrzu siedział skulony chłopak o mizernym wyglądzie i zielonkawej cerze. Był to Jurek Mętlik, na co dzień noszący przezwisko Ogórek.

— Ogóras? — zdumiałem się. — Gorzej ci, czy jak? Po co się chowasz, człowieku?

— Nie krzycz, Cyna — uciszył mnie błagalnym szeptem. — Nie wiesz, co się dzieje?

— Co się dzieje? Nic się nie dzieje, co ma się dziać — odpowiedziałem, nie dbając specjalnie o sens tego, co mówię.

Ogórek spłaszczyl się jeszcze bardziej, chociaż zawsze wydawało mi się, że to niemożliwe.

— Sprawdzian... na setkę, Cyna. Przecież ja... nie dam rady — tłumaczył, z trudem łapiąc oddech.

— Schowałem się, żeby przetrwać...

Niech no mi ktoś powie, że sport równa się zdrowie i radość, to przyprowadzę mu Ogórka jako żywe zaprzeczenie tej tezy

— Jak tam sobie chcesz, Ogóras. Ja muszę zasuwać do parku. — Pchnąłem palcami drzwiczki.

— A o jakim pierścionku mówiłeś? — zawołał Jurek, zanim zdążyłem wyjść z szatni.

Widać zbyt wcześnie uznałem, że mam sprawę podsłuchującego z głowy

— O pierścionku?! — wykrztusiłem. — Powiedziałem... ładny dzionek, czy jakoś tak.

152

— Kłamiesz, słyszałem wyraźnie, że powiedziałeś „pierścionek” — dudnił Ogórek z wnętrza szafki.

Zatkało mnie, ale szybko się pozbierałem.

— Od wachania swoich dziurawych skarpet dostałeś jakiegoś udaru, niedojdo. Uszy sobie umyj!

— parsknąłem wymuszonym śmiechem. Chyba odniosło to zamierzony skutek, bo już się nie odezwał, tylko zatrzasnął drzwiczki.

Teraz musiałem jeszcze odnaleźć plecak i pokazać się w parku, zanim Turbol się połapie, że brakuje mu dwóch uczniów.

Rozdział 14.

Podjadek i policjanci

Plecak leżał tam, gdzie go zostawiłem, wybiegając na długą przerwę, czyli pod ścianą pracowni matematycznej.

Zaczynam tracić kontrolę nad swoimi poczynaniami, co może skończyć się tragicznie. Zaraz sobie wyobraziłem, jak wielcy i tłuści sanitariusze wyprowadzają mnie ze szkoły, okutanego w kaftan bezpieczeństwa, a rozbawieni tym widokiem uczniowie klaszczą, wołając: „Cyna, ale z ciebie czubek!”. Wzdrygnąłem się.

Podniosłem plecak z niepokojem, bo jakoś nie wyglądał już na nowy. Jedna ze sprzączek była pogryziona i mokra, a w wielu miejscach widniały ślady zasychającej psiej śliny. To Wąsikowe pieścidełko uwięziło się na mnie z sobie tylko znanych powodów.

— Poczekaj... — mruknąłem mściwie. — Poczekaj, psino...

Na szczęście pierścionek i cała reszta bałaganu znajdowały się w stanie nienaruszonym.

Dźwigając swój szkolny dobytek, wybiegłem na dziedziniec, rozbierając się po drodze. Nie było zbyt ciepło, ale nauczycielom WF-u nawet wilgotny październikowy wiatr nie przeszkadza w hartowaniu uczniów.

154

Kiedy tylko zdjąłem spodnie, usłyszałem skrzyknięcie furtki. Przede mną pojawiły się dwie energiczne — sądząc po ruchach — panie w eleganckich wełnianych płaszczykach. W rękach trzymały pomalowane na zielono blaszane skarbonki.

Kobiety popatrzyły na mnie z żywym zainteresowaniem.

— Spójrz, kochanie, młody ekshibicjonista — powiedziała pani o wysoko upiętych ciemnoczerwonych włosach.

— Rzeczywiście, Krysiu, to jakiś nagus — stwierdziła kobieta z szyją owiniętą kwiecistą apaszką, zerkając na mnie zza okularów.

Zacząłem w pośpiechu ubierać czarne szorty. Że też zawsze muszę wyjść na idiotę...

— Nie jestem żadnym ekscesjonistą — zaprotestowałem. — Ubieram się na WE

Panie uśmiechnęły się do siebie porozumiewawczo.

— Taak, zawsze te same wykręty, prawda, Zosiu? — wykrzywiła usta czerwonowłosa. — Nie jestem tym, nie jestem tamtym, a potem nagle pokazują w telewizji nagą prawdę... Wspomożesz kwestę? — podsunęła mi skarbonkę.

— Jaką kwestę? — zapytałem szorstko. Po takim wstępie miałem w nosie wszelkie pozory uprzejmości.

Poryw zimnego wiatru poderwał leżące wokoło liście i zatańczył z nimi wirującego obertasa.

Szczękając zębami, założyłem białą koszulkę z napisem: Szkolny Klub Sportowy „Trombolanka”, a potem wyjąłem z plecaka trampki.

— Kwestujemy na budowę pomnika Ksawerego Trzaś-kiewiczza-Strugałby, bezwstydnym młodzieńcze — wyrzuciła

155

z siebie jednym tchem pani Zosia. Dla zilustrowania tych słów obie kobiety potrząsnęły swoimi puszkami.

— Strugałby? A kto to? — chciałem się dowiedzieć. Jesz-1 cze tylko wsadziłem spodnie i resztę ubrania pod pachę, j chwytając jedną ręką plecak, a drugą buty, i byłem gotów.

Panie wyglądały na zaskoczone moją niewiedzą. Pierwsza zaatakowała pani Kryisia.

— Niemożliwe, żebyś nie słyszał o Ksawerym Trzaśkie-wiczu... yyy...

— Strugalle, kochanie — podpowiedziała pani Zosia.

— Właśnie, Strugalle! Przecież to był jeden z najbardziej szanowanych obywateli Trombolina,

nasza дума i...

— I chluba — uzupełniła koleżanka.

— I chluba, młodzieńcze. A my, jako przedstawicielki SpoKoBuPo...

— Czego? — zdziwiłem się.

— Społecznego Komitetu Budowy Pomnika — wyjaśniła właścicielka kwiecistej apaszki.

— Tak jest, pomnika — zgodziła się druga z pań. — Wspo-możesz więc inicjatywę budowy pomnika ku pamięci szanowanego. .. i tak dalej... Ksawerego Trzaśkiewicza dobrowolnym datkiem?

— Nie mam pieniędzy bo jako eksmisjonista z definicji jestem goły i wesoły, proszę pani. Zresztą sam planuję zostać prezydentem, czyli kandydatem do pomnika. Nie mogę wspierać konkurencji — wytłumaczyłem, opuszczając dziedziniec.

Przypuszczam, że obie społecznice jeszcze długo po moim odejściu stały w milczeniu, nieruchome jak posągi.

156

W parku rozgrywał się koszmar każdej ciamajdy i fajtlapy czyli biegi na czas. Rzuciłem ubrania na ławkę, po czym dyskretnie wkręciłem się do kolejki rozgoryczonych nieuchronnością zbliżającej się mordęgi chłopaków.

— Dziewczyny podobno w ogóle nie muszą biegać — oburzał się otyły okularnik noszący ksywę Golonka.

— To prawda — przyznał mu rację Maszkaron (czyli Karol Podleski), przebijając nerwowo krzywymi, posiniaczonymi nogami. Na co dzień Karol stanowił podporę drużyny piłkarskiej młodzików Tornada Trombolin, ale teraz i on miał nietęgą minę. — Ćwiczą z Klarą aerobik, a potem grają w siatkę albo w kosza...

— Uwaga, biegnie Zuzalek! — krzyknął ktoś z przodu. Rozepchnąłem towarzystwo łokciami, żeby się lepiej

przyjrzeć skazańcowi kończącemu właśnie drugie okrążenie. Widok nie był przyjemny.

Wysoki i chudy jak szczapa Zuzalek zataczał się na piaszczystej alejce, dysząc ciężko. Był czerwony jak upiór.

— Ja nie biegnę — zaprotestował Golonka.

Z pobliskiej ławki podniósł się pan Turboliński i zaczął dmuchać w gwizdek w rytm rżężącego oddechu Zuzalka, co najprawdopodobniej miało zdopingować ucznia do ukończenia biegu.

Zapowiadał się ciekawy finisz, więc precyzyjnie się jeszcze bliżej początku kolejki.

— Palnąć cię, Cyna? — odezwał się Ślipek, którego szturchnąłem w plecy. Nie skorzystałem z propozycji.

Zuzalek zawiódł nasze oczekiwania. Brakowało mu może pięciu metrów do mety, kiedy zatrzymał się raptem i upadł

157

na kolana. Chwiały się jeszcze jakiś czas z głową w piasku, a potem rozłożył bezradnie ręce i zemdlął

Turbol okazał się twardzielem, który nie zwraca uwagi na podobne drobiazgi.

— Ocucić go! — polecił nie wiadomo komu i dodał: — Raz, raz, następny zawodnik!

I wtedy stała się rzecz haniebna, aczkolwiek w tej sytuacji całkowicie zrozumiała: gdy Ślipek wyskoczył ratować Zu-zalka, cofnąłem się instynktownie, lecz kilka par silnych rąk wypchnęło mnie na alejkę prosto w objęcia Turbola.

— Brawo, Racyniak! — ucieszył się. — I rrraz na bieżnię, chłopaku! — ponaglił, zerując stoper.

— Nie chcę! — krzyknąłem rozpaczliwie. Próbowałem na powrót wmieszać się w tłum, ale ten stał się nieprzenikalny niczym jakaś sprężynująca tarcza. Nim się obejrzałem, znów stałem przy nauczycielu.

— Do biegu... — zakomenderował jak niewzruszony oprawca.

Z niedowierzaniem przetarłem oczy, zaskoczony widokiem rozgrywającej się w oddali sceny.

— Ożesz ty, łapserdaku! — sapnąłem i ruszyłem z kopyta.

— Nie teraz, chłopaku, nie włączyłem zegara! — zawołał Turbol, nic mnie to jednak nie

obchodziło.

Między rosnącymi wzdłuż alei drzewami przemykał ubrany w zieloną wiatrówkę grubasek, którego poznałem w „Corridzie”. Postanowiłem go dorwać i wyjaśnić wreszcie sprawę tajemniczego pierścionka. Z taką tuszą nie miał szans mi uciec, więc z łatwością nadrobiłem dzielący nas dystans.

158

— Hej! — zawołałem. — Hej, przyjacielu, musimy pogadać!

Wołanie przyniosło skutek odwrotny do zamierzonego. Grubasek, choć zmęczony, przyśpieszył kroku, zyskując kilka cennych metrów. Dlaczego on tak się boi rozmowy?

Za plecami usłyszałem tupot ciężkich kroków.

— Stać! — rozkazał obcy męski głos.

— Ani mi się śni! — odkrzyknąłem.

— Stać, policja! Zatrzymać się! Widać trafiłem na jakiegoś kawalarza.

— Akurat, policja... — prychnąłem.

— Bo będę strzelać! — Po tych słowach rozległo się dobrze mi znane z filmów akcji szczęknięcie odbezpieczanej broni. To przestało być zabawne.

Zatrzymałem się; grubasek również posłuchał wezwania.

— Ręce na głowę i nie ruszać się!

Obaj posłusznie podnieśliśmy ręce. Nie wiem, jak się czuł ten mały sklepowy złodziejasek, ale mi łzy napłynęły do oczu. Jestem zwykłym tchórzem i maminsynkiem...

Obok mnie przemknął rosły policjant, mierząc w grubaska z pistoletu, a w ślad za nim pojawił się następny.

— Na ziemię!

To polecenie musiało być znane amatorowi darmowych wafelków, ponieważ padł na brzuch, szeroko rozsuwając nogi. Błysnęły kajdanki.

Również się położyłem, czując narastającą panikę. Tak się kończy przechowywanie cudzych pierścionków i nabijanie się z ochroniarzy Pójdę do paki, a rodzice spalą się ze wstydu.

159

- Ósemka, ósemka, zgłoś się! A tobie co odbiło? Zmiataj stąd, szczeniaku! — usłyszałem.

Otworzyłem oczy. Stojący nieopodal policjant dawał mi znaki głową, usiłując jednocześnie nawiązać z kimś kontakt przez radiotelefon. Drugi z funkcjonariuszy przeszukiwał kieszenie grubaska.

— Nie jestem... aresztowany? — upewniłem się.

— Czyżbyś coś nabroił? — Mężczyzna zdjął czapkę i otarł czoło rękawem.

Przypomniałem sobie, że w zeszłym tygodniu temu przejechałem cztery przystanki autobusem na gapę. Serce podskoczyło mi do gardła.

— Ja tylko...

— Ósemka, zgłoś się! — Policjant postukał palcem w mikrofon. — Śpią tam czy jak? To co, znacie się?

160

— My? — Z trudem rozpoznałem własny głos. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się mieć tak ściśniętego gardła.

— Pierwszy raz go widzę na oczy, panie generale — odezwał się grubasek.

— Ty tu się nie podlizuj, Podjadek, do generała mi jeszcze daleko! — upomniał chłopaka stojący przy mnie policjant, a jego kolega dodał:

— Skoro się nie znacie, to już cię nie ma, mały. Trenuj biegi gdzie indziej!

Biegłem, jakby mi urosły skrzydła u stóp. Dopiero po kilkunastu metrach odważyłem się obejrzeć, ale ani policjantów, ani aresztowanego Podjadka już nie było.

161

— Wstyd, Racyniak! — przywitał mnie Turbol, wspierany gromkim śmiechem chłopaków, szczęśliwych z powodu zbliżającego się dzwonka.

— Przepraszam, że dopiero teraz...

— Nie przyjmuję żadnych tłumaczeń, chłopaku! — wu-efista machnął pogardliwie dłonią. —

Siedemnaście minut dwadzieścia cztery sekundy Skandal! Żółwie szybciej biegają na setkę.

— Żółwie nie mają WF-u — skomentowałem.

— A ty nie masz nawet jedyńki, chłopaku. Masz zero — wiesz, o czym mówię? A to jest gorzej niż nic.

Z matematycznego punktu widzenia nie bardzo się to zgadzało, nie miałem jednak siły wdawać się w dyskusje. Poza tym przecież od lat nam wpajano, że nauczyciel ma rację, nawet kiedy jej nie ma.

— Gdzieś ty się tak uświł, Cyna? — zainteresował się Gnitecki, gdy wracaliśmy do szatni.

— Daj mi spokój, Gnida ... — odsunąłem się od niego. Nie przejął się tym, jedynie zniżył głos.

— Przemyślałeś już akcję „Jot”? Na jutro wszystko ma być gotowe, pamiętaj...

— Martwisz się? — zmrużyłem oczy.

— O ciebie? Też mi coś — powiedział, siląc się na obojętność.

Rozmowa się urwała.

W stołówce rozpoczęło się wydawanie obiadów, więc korzystając z zamieszania, postanowiłem upolować karalucha.

162

Byłem już niemal na miejscu, kiedy rzuciły się na mnie trzy podekscytowane pierwszoklasistki z notesami w rękach i z dyktafonem.

— Cyna! — pisnęły jak na widok jakiegoś bożyszczka nastolatek.

— Znamy się? — zapytałem lekko zaniepokojony

— Jeszcze nie, ale jesteś tak sławny, że chcemy z tobą przeprowadzić wywiad dla „Vox populi” — powiedziała drobna, obcięta na chłopaka blondyneczka, i włączyła dyktafon.

Nie miałem pojęcia, o jaką sławę im chodzi, niemniej jednak poczułem rozpierającą mnie dumę.

Podobno faceci są pozbawieni intuicji, i szkoda, bo gdybym ją miał, z pewnością zdołałbym uniknąć kolejnych kłopotów.

163

Rozdział 15.

Na wywiady nie ma rady

— To jest Patrycja, a tamta ma na imię Kornelia — blondyneczka przedstawiła koleżanki. Obie pomachały do mnie.

— Ja jestem Trudka — lekko się zarumieniła.

— Trudka? — potarłem nos w zamyśleniu.

— Gertruda. Noszę imię po babci — wyjaśniła.

— Aha, Gertruda. O co wam właściwie chodzi, dziewczyny? — Ich zainteresowanie mile lechtało moją próżność, w tej chwili jednak trochę się śpieszyłem. Chociaż... Co tam, karaluch nie zajac... Dziewczyny zachichotały. Nigdy chyba nie zrozumiem, na czym polega fenomen tych chichotów, choć było to powszechne zjawisko.

Kornelia — dziewczyna o czarnych, splecionych w drobne warkoczyki włosach — rozpięła kolorowy włóczkowy sweterek, demonstrując koszulkę ozdobioną moją podobizną.

— One mają takie same — zapewniła, wskazując na koleżanki.

Z wrażenia zaszumiło mi w głowie. Jeszcze chwila, a wypuszczę nosem strumień wody sodowej.

Postarałem się jakoś opanować i chrząknąłem znacząco.

— Ekhmm, jasne. Ktoś was na mnie nasłał, tak?

164

— Nikt nas nie nasłał, tylko przysłał. Znasz Jacka z drugiej „e”? — zapytała długowłosa Patrycja. Jej usiany drobniotkami piegami nosek zmarszczył się zabawnie.

— Chodzi ci o Plombę? Pewnie, że znam. Ale Plomba nie redaguje waszego szma... waszej gazety — popisałem się znajomością rzeczy.

— To prawda — potwierdziła Trudka. — Jednak tak się składa, że to wpływowy facet...

— Przecież Klocek nie umie pływać, woda za bardzo go wypiera! — błaznowałem, wchodząc jej w słowo.

Zmroziła mnie spojrzeniem. Chyba trafiłem w jej czułą strunę. No tak, muszę przyznać, że Plomba ma w sobie coś, co zjednuje mu zwolenników Zwłaszcza wśród dziewczyn, niestety A według

mnie był zwyczajnym gburem i na dodatek wrednym kombinatorem, tyle że nikt nie pytał mnie o zdanie.

— Nie obrażaj się, bo taka jest prawda — rzuciłem uspokajająco. — Mów, co miałaś powiedzieć, albo sobie pójdę.

— Gabryś Gnitecki, nasz naczelny, kazał nam przygotować na poniedziałek wywiad ze znanym, ciekawym człowiekiem — Trudka podjęła przerwany wątek. — Nie wiedziałyśmy, gdzie kogoś takiego znaleźć, więc wczoraj zapytałam Jacka, czy zna może kogoś wyjątkowego...

— I wskazał na mnie? Rzeczywiście, ciekawe. — Gdzieś w mojej głowie zadźwięczał dzwonek alarmu. — Te koszulki też dostałyście od niego?

— Tak, a skąd wiesz? — zdumiała się Kornelia.

— Wczoraj rano zebrał od nas po siedem złotych na nadruk, a dzisiaj koszulki były gotowe — wtrąciła się Patrycja.

165

Trudka zgromiła koleżanki wzrokiem. Zachciało mi się śmiać — ona pewnie wiedziała, że starzy Klocka mają firmę trudniącą się między innymi wykonywaniem takich nadruków, i to po piątku od sztuki. Kłoczek nie byłby jednak sobą, gdyby przepuścił okazję zysku na transakcji z naiwnymi dziewczuszkami.

— Teraz rozumiem, dlaczego wydaje pieniądze na prawo i lewo — mruknąłem. — No, to o co chcecie mnie zapytać?

— Już cię trochę nagrałam — zauważyła Trudka. — Ale mamy jeszcze kilka pytań.

— Nagrywałaś te bzdury? Po co?

— Wiesz, sławni ludzie są tacy interesujący... — Zabrzmiało to nieco za słodko, jednak dałem się udobruchać.

— W porządku, na wywiady nie ma rady — zażartowałem, szukając jednocześnie w pamięci czynów, które można-by uznać za wybitne. Miałem z tym jednak nieco kłopotów.

Kilku przechodzących korytarzem chłopaków zagwizdało na nasz widok, a jeden z nich — a był to złośliwie wykrzywiony Winiuch — zawołał:

— E, Cyna, w końcu zostałeś podrywaczem?! Kostek już ci nie wystarcza?

— Kostek? — zainteresowała się Trudka, jak rasowa dziennikarka w mig podchwytując temat.

— Nie słuchaj go, to patafian i kretyn! — skwitowałem głośno komentarz Winiucha. W odpowiedzi były sąsiad pogroził mi pięścią.

— Jesteś z zamiłowania chemikiem. Czy to prawda, że masz na sumieniu zniszczenie pracowni chemicznej?

166

Niespodziewanie przy moich ustach pojawił się dyktafon.

— Prawda — potwierdziłem. — Tyle że... — przerwałem, zdruzgotany tym profesjonalnym atakiem. Jako człowiek sławny powinienem być chyba bardziej rozpieszczany.

— Co sądzisz na temat remontu świetlicy, który chce przeprowadzić dyrektor Balezy? — Trudka zmieniła nagle temat.

— No cóż... — zastanowiłem się. — Jeśli chodzi o dyrektora, to chyba robi, co trzeba. Tak mi się wydaje.

Trudka nagle wyłączyła dyktafon, dając dziewczynom sygnał do odejścia.

— Chyba mamy już wszystko. Dziękujemy za wywiad. Cześć, Cyna! — powiedziała bez uśmiechu.

— Zaraz — nie ukrywałem rozczarowania. — Jak to macie już wszystko? Nie opowiedziałem wam nawet o tym, jak w piątej klasie wygrałem szkolne zawody w chodzie sportowym. A przecież byłem tuż po przebytej śwince...

Dziennikarki zachichotały, szczerze rozbawione, po czym — nie patrząc już na mnie — wybiegły ze szkoły.

— Zaczekajcie! — krzyknąłem za nimi pełnym żalu głosem. Trzasnęły drzwi i zostałem sam ze swoją nieopowiedzianą historią. Jak to w życiu, raz rozdeptują cię nauczyciele, a drugi raz bystre małolaty robią z ciebie pośmiewisko. I zawsze wychodzi bilans ujemny.

Pod wpływem rozchodzących się ze stołówki smakowitych zapachów moje kiszki zagrały marsza.
167

Szeroko otwarte drzwi i przyklejone do przeszklonej ściany wycinanki zabawnych żabek, misiów i zajaczków sugerowały, że można tu liczyć nie tylko na rodzinną atmosferę, ale również na opiekę jak w przedszkolu. Zdziwienie budzić mogła jedynie nienaturalna w takim miejscu cisza, maćona z rzadka pojedynczym kasznięciem lub skrzypieniem krzesła. A gdzie mlaskanie, siorbanie, szczękanie sztuców? Gdzie te wszystkie nieokiełznane wybuchy śmiechu i głośnie dyskusje? Powinienem być się nad tym głębiej zastanowić, ale potrzeba złapania karalucha zagłuszyła wszelkie wątpliwości.

Nieśmiało zajrzałem do środka. Nad ustawionymi w nieskazitelnie symetryczny układ stolikami pochylały się głowy jedzących uczniów. Wesole różowe ceraty, pastelowe kolory ścian, a w kącie jakaś pani zajęta lekturą kolorowego czasopisma. Istna sielanka...

Przykucnąłem, by dokładnie przyjrzeć się podłodze.

— Szukasz czegoś? — przenikliwy szept zmusił mnie do podniesienia głowy.

Miła kobieta już nie czytała. Jakim cudem zdołała tak cicho do mnie podejść? Chyba dzięki tym filcowym kapciom, które miała nałożone na buty. Ledwie się powstrzymałem, by nie skomentować ich wyglądu.

— Ja tak sobie... — również szepnąłem. — Chciałem... tego... zbadać żerowisko.

— Żerowisko? — Po twarzy kobiety przemknął cień.

— To znaczy, właściwie tego... no... łowisko, proszę pani. Bo ja badam przyrodę i chciałem złapać takiego... jak mu tam... *Karaluchuspospolitus* do kolekcji — wytłumaczy-

16S

łem nieco mętnie, ale starając się nie rozminąć nadmiernie z prawdą. Jak się w chwilę później przekonałem, za taką właśnie szczerą powinnam się mnie odizolować od reszty społeczeństwa.

Cień na twarzy kobiety stał się wyraźniejszy.

— Wstań, łobuzie! — szepnęła świszcząco i zmrużyła oczy.

— Ale ja muszę...

Chwyliła mnie za ucho, dzięki czemu błyskawicznie się podniosłem. Żaden spośród posilających się uczniów nie zareagował, choć przecież najbliżej siedzący musieli słyszeć, co się dzieje.

Dziwne... Z reguły taka afera budziła powszechną sensację...

— U nas nie ma żadnych karaluchów, rozumiano? — powiedziała, nie podnosząc głosu. — To jest najbardziej czysta stołówka szkolna w całym województwie, rozumiano? I nie mówi się „karaluchus”, lecz *Blatta orientalis*, rozumiano? — Widać kobieta znała się na rzeczy.

— Chyba tak — odszepnąłem. — Skoro nie ma, to nie ma... — westchnąłem pokornie.

Już miałem ją przeprosić i wyjść, kiedy nagle zza buta siedzącej w pobliżu dziewczynki wylazł karaluch jak marzenie. Poruszając delikatnie długimi czułkami, zaczął uważnie badać leżący obok stołu okruszek bułki.

— A to co? — zapytałem radośnie.

Podążyła wzrokiem za moim spojrzeniem i zacisnęła zęby.

— Pasikonik.

169

— Przecież to obżarty karaluch, niech pani dokładnie się przyjrzy — zasugerowałem.

— Pasikonik, rozumiano? A teraz łaskawie opuść... — jej źrenice nagle rozwarły się szeroko, a szary cień na twarzy przybrał barwę burosiną. — Korniszkiwicz! — wrzasnęła, aż zadrżały szyby w oknach.

Karaluch ze strachu prawdopodobnie wyzionął ducha, bo podskoczył raptownie, po czym przewrócił się na grzbiet i znieruchomiał.

Martwą ciszę, która ponownie zapanowała w stołówce, przerywało jedynie miarowe kapanie rozlanego kompotu. Zabiedzony blondynek — sądząc po dziecięcej buźce, jakiś pierwszak — usiłował rękawami koszuli powycierać zachlapaną ceratę. Jego oblicze nabrało przera-[^]-a~żającej, kredowobiałej barwy.

— Korniszkiwicz! Czekać, już ja cię nauczę zachowania przy stole! — Kobieta przestała się mną

interesować i ruszyła do ataku na spanikowanego niezdare.

To była moja ostatnia szansa. Wyjąłem z kieszeni pudełko po zapalniczkach, wysunąłem szufladkę niemal do końca i przykryłem nią nieruchomego karalucha.

— Możesz być nawet martwy, koleżko. To mi nie przeszkadza — sapnąłem z satysfakcją i zamknąłem pudełko.

Miałem znowu karalucha, więc postanowiłem czym prędzej opuścić stołówkę.

— Do widzenia państwu i życzę smacznego! — oświadczyłem głośno, ale nikt nie zareagował.

Kierowniczką stołówki, ciągnąca opierającego się Kor-niszkiwicza w kierunku zaplecza, zatrzymała się na chwilę i powiedziała zjadliwie:

— Tu się nie życzy smacznego, tu JEST smacznie, rozumiano?

— Mhm, nie wątpię — mruknąłem, wychodząc z chro-boczącym w pudełku łupem. Jego cudowne ozdrowienie potwierdzało tezę, że karaluchy są niesamowicie odporne na człowieka.

Jeszcze trzy minuty i skończy się ostatnia lekcja dzisiejszego dnia, pośpieszyłem więc pod pracownię biologii. Od godziny miałem wolne, ale skoro trzeba, to trzeba.

Gdy zaraz po dzwonku hałastrą pokrzykujących z emocji trzeciaków zakotłowała się w otwartych drzwiach, przycisnąłem plecak do brzucha i zacząłem się przepychać pod prąd, z wprawą unikając przypadkowych ciosów i potrażeń.

171

— Gdzie się pchasz? — obruszyło się kilkoro z wychodzących. — Co za chamstwo!

— Ja z dzieckiem do lekarza! — rzuciłem na odczepnego. Zwykle tego typu hasło działało doskonale, więc poskutkowało i teraz.

Znalazłem się w klasie i przykucnąłem za stojącym obok wejścia Chuderlakiem, ubranym w fartuch pana Krzywki. Do tej pory szczęście mi sprzyjało.

Nowa nauczycielka biologii kończyła uzupełniać dziennik. Była bardzo młoda, też pewnie dopiero po studiach — jak Darzeł w ubiegłym roku.

Już nabrałem przekonania, że za parę sekund zostanę w pracowni sam, gdy usłyszałem głośne chlipnięcie. Odsunąłem nieco wiszący na szkielecie fartuch, żeby sprawdzić, co się dzieje, i wtedy zobaczyłem, jak spazmatyczny płacz wstrząsa ramionami nauczycielki. Ciemna grzywka opadała jej na oczy, a po widocznym z mojej kryjówki policzku spływała wielka łza.

„Bydlaki...” — pomyślałem i zacisnąłem gniewnie pięści. Ta zadowolona z siebie banda musiała się tu nieźle popisać.

Po chwili biologiczka westchnęła przeciągle, wydmuchała nos w chusteczkę i wstała, zabierając dziennik. Zgrzytnął przekręcany w zamku klucz.

Odczekałem jeszcze chwilę dla pewności — w porządku, mogę zaczynać akcję „Jot”, jak ją nazwał Gnitecki.

Już miałem wziąć się do roboty, kiedy klucz znowu zgrzytnął w zamku i do klasy weszła... Gosia Rosomak. Dziewczyna pewnym krokiem ominęła półkę pełną słoików

172

z zakonserwowanymi w formalinie wnętrznościami niewinnych stworzeń, po czym wspięła się na palce i chwyciła pojemnik z patyczakiem. Ogarnięty paniką podskoczyłem, a Chuderlak zachwiał się niebezpiecznie. Próbowałem go jakoś podeprzeć, ale tylko przyspieszyłem katastrofę. Kiedy Gosia odwróciła się gwałtownie, plastikowy szkielet runął wprost w jej objęcia.

173

Rozdział 16.

Akcja „Jot”

W milczeniu mierzyliśmy się wzrokiem. Zachodziłem w głowę, jak to się mogło stać, że ta wiecznie omdlewająca ciamajda w tak dramatycznej — zdawałoby się — sytuacji potrafiła zachować zimną krew. Niewykłuczone, że jest w szoku i pewnie za jakiś czas rozbeczy się gdzieś w kąciku, a może nawet rozchoruje?

— Co tu robisz, Cyna? — odezwała się wreszcie i odłożyła pojemnik z Januszem na ławkę.

— A ty?

— Rozwaliłeś Chuderlaka — powiedziała, wskazując na plastikową rękę leżącą w sporej odległości od reszty szkieletu.

Podniosłem kończynę kościotrupa i obejrzałem ją dokładnie.

— E tam, zaraz rozwaliłem. Po prostu rozgiął się drut. Migiem naprawię.

Ustawiłem plastikowego niejadka na stelażu, usiłując dopasować kość ramienną do odpowiedniego stawu.

— Siedzisz mnie, przyznaj się, Cyna! — wybuchnęła niespodziewanie.

— Nie śledzę cię! Nie miałem pojęcia, że tu przyjdiesz — odparłem. Starłem się zachować spokój, jednak dłonie

174

miałem mokre od potu i drżące, więc im bardziej próbowałem dopasować do siebie poszczególne części Chuderlaka, tym bardziej wszystko się rozsypywało. — Chciałem tylko... nakarmić Janusza, a ty co tu właściwie robisz? — odbiłem piłeczkę.

— Od kiedy to znasz się na patyczakach, mądralo? Dam głowę, że nawet nie wiesz, co one jedzą — odparowała. Zabrała mi kość i wprawnym ruchem zamontowała jak należy. Powinienem się chyba zawstydzić, jednak nie miałem czasu się nad tym zastanawiać.

— Oczywiście, że wiem. Jedzą na przykład kapustę albo sałatę! — wypaliłem.

— Rewelacja — klasnęła w dłonie. — Rzepę i marchewkę również?

— NOO...

— Pomyliłeś, Cyna, patyczaka z królikiem. A to drobna różnica, czyż nie? — drwiła, nie kryjąc zadowolenia. — Otóż wiedz, że Janusz uwielbia trzykrotkę, ignorancie!

— No widzisz, jak łatwo dajesz się nabrać? — powiedziałem, siłąc się na obojętność. —

Wiedziałem, że trzykrotkę, tylko tak się wygłupiałem. Jeśli cię to interesuje, zamieniłem się na dyżury przy Januszu z Natalką Omiłko. Ona nie mogła dzisiaj przyjść, a ja się akurat napatoczyłem... — Jeszcze kilka kłamstw, a sam zacznę w nie wierzyć.

— Dziwne — Gosia odgarnęła włosy z czoła. Dopiero teraz zauważyłem, że ma długie, fantazyjnie pomalowane paznokcie, chociaż podobno to zabronione. W ogóle była niczego sobie... — Nie rozumiem, dlaczego Natalką miałaby

175

mieć dzisiaj dyżur, skoro na grafiku widnieje moje nazwisko. Poza tym nie tylko na karmieniu Janusza rzecz polega. Trzeba jeszcze podlać kwiaty, usunąć zwiędłe liście i wytruć mszyce na fuksji — wyliczyła.

Do głowy by mi nie przyszło, że istnieje jakiś grafik, Gosia wyglądała jednak na udobruchaną.

— Nie ma sprawy. W takim razie ja karmię zwierzę, a ty podlewasz i trujesz — zadysponowałem skwapliwie. Ona idzie do łazienki po wodę, ja robię swoje i znikam. Banalne!

Zważyłem, kiedy moja koleżanka sięgnęła po dzbanek, ukryty za donicą rozłożystego pomidora czy jakiegoś innego chwastu.

— Jak sobie chcesz. Woda do kwiatów powinna być odstała, a tej chyba wystarczy do wszystkich — stwierdziła, zaglądając do naczynia.

— Odstała? Przecież kranówka jest bardziej mokra... to znaczy... Chciałem powiedzieć: bardziej świeża — improwizowałem zdruzgotany.

— Wiedziałam, że się na tym nie znasz — Gosia popatrzyła na mnie z troską. — Zerwij dwa ładne listki, do niedzieli mu wystarczy. — Mętnawy strumień chlusnął do pierwszej donicy.

Musiałem jakoś uratować mój plan. Rzuciłem się więc na Gosię, wrywając jej dzbanek.

— Strasznie mnie suszy po obiedzie — poinformowałem koleżankę i zacząłem łapczywie pić. Odstała woda trąciła zgnilizną, no i było jej dobre półtora litra.

176

— Oddawaj, idioto! — zaskoczona Gosia usiłowała odzyskać naczynie, ciągnąc mnie za rękaw. — W tej wodzie jest rozpuszczony nawóz do roślin!

O mało się nie zachłysnąłem z wrażenia. W gardle zabulgotał mi solidny łyk użyźniającej glebę substancji, a moje oczy zaszyły łzami.

— Dlaczego... nie... powiedziałaś? — wystękałem, czując zbliżające się sensacje żołądkowe.

— Nic ci nie będzie, bo to tylko biohumus — stwierdziła uspokajająco.
— Bio... co? — nie wiedziałem, o czym Gosia mówi, ale brzmiało to podejrzenie.
— Biohumus, czyli wydalina dżdżownic kalifornijskich. Nie jest trująca.
Mój wypełniony kupkami dżdżownic żołądek przekręcił się kilka razy, aż dostałem mdłości. Na domiar złego karaluch jakimś sposobem wy dostał się z pudełka i zaczął zwiedzać moją kieszeń, łaskocząc mnie w udo.

— Na co czekasz, zrywaj trzykrotkę — ponagliła mnie Gosia.
— J-już — przestąpiłem z nogi na nogę, ale nie ruszyłem się z miejsca.
— Masz jakiś problem?
— Nie — parsknąłem, podskakując niczym żrebak na pastwisku.

Ogarnęła mnie nieprzeparta chęć pacnięcia się w swędzące udo, obawiałem się jednak, że rozgnieciony karaluch w żaden sposób nie będzie przypominał patyczaka.

177

— To co się dzieje? Wyglądasz na niezwykle podekscytowanego. Spójrz w lustro, jeżeli mi nie wierzysz... — dyżurna wyglądała na zdezorientowaną.
— M mam ne-ne-nerwicę kwia-atową — wyjąkałem, zapominając o chlupoczącym w żołądku biohumusie. Cała moja uwaga skoncentrowała się na ruchach żwawych odnoży owada. — K-kiedy widzę tyle kwia-atów naraz, dostaję sza--szału.

Gosia odsunęła się ode mnie, na wszelki wypadek kryjąc w ramionach mokry dzbanek.

— Powinieneś się chyba leczyć? Cofnij się, nie chcę się od ciebie niczym zarazić! — Zabrzmiało to nieco histerycznie.

— No coś ty... — Zaciskając zęby, chwyciłem pojemnik z patyczakiem. — Nakarmię Janusza i idę, już mi lepiej.

Podszedłem do najbliższej doniczki. Rosnący w niej kwiatek był raczej niepozorny — ciemnozielony, jedynie na czubku tuliły się trzy drobne czerwone listki. Uszczknąłem jednego z nich.

Gosia aż jęknęła.

— Teraz wszystko wiem: postanowiłeś go zabić, sadysto!

— Zabić? Co ty wygadujesz! — Odłożyłem listek na parapet. Zrozumiałem, że nie była do trzykrotka.

— Wiem, co mówię! Najpierw mnie straszysz, i to w momencie, kiedy trzymam Janusza w rękach, a potem podtykasz mu trujący liść gwiazdy betlejemskiej. Dodałam dwa do dwóch i wyszło mi cztery! — skończyła z gniewem.

— Wyszło ci pięć albo i siedem — skwitowałem. Na szczęście karaluch zaprzestał aktywności; może się zmęczył.

178

— Nic mu nie podtykam, przecież pojemnik jest zamknięty. Po prostu w stresie zapomniałem, jak wygląda ta cała paprotka. A jeśli chodzi o ścisłość, już tłumaczyłem, że chciałem jedynie wyręczyć Natalkę.

Trudno było stwierdzić, czy Gosia mi uwierzyła, w każdym razie przysunęła krzesło do stojącego pod ścianą regału i sięgnęła na najwyższą półkę po niewielką doniczkę.

— Chodź tutaj — zawołała, wyciągając do mnie rękę z rośliną. — To właśnie jest trzykrotka, Cyna, a nie żadna paprotka, dasz radę zapamiętać?

Ścisnąłem podane mi liście i serce zatrzepotało się we mnie z emocji, bo właśnie wymyśliłem sposób na wybrnięcie z tej zagmatwanej sytuacji.

— Przepraszam, muszę do toalety! — przybrałem minę cierpiętника. — To przez ten nawóz... — Dla lepszego efektu skrzywiłem się, pomasaowałem po brzuchu i dałem drapak na korytarz, zostawiając Gosię stojącą na krześle.

Podbiegłem chyłkiem do tablicy ku czci naszej zatroskanej patronki, a potem wcisnąłem się za osłonięty setką złotych frędzli stojak ze sztandarem szkoły. Z reguły sztandar przechowywany był w muzeum, ale widocznie szykowała się jakaś oficjalna uroczystość.

Ukryty za sztandarem, otworzyłem pleksiglasowy pojemnik. Janusz wydał mi się mizerny, wręcz

wynędziały — jeszcze niedawno spalone owadzisko, teraz był bardziej patyczkiem niż patyczakiem.

— No, cześć, ofiaro troskliwej opieki — mruknąłem na powitanie. Ani drgnął, postanowiłem więc coś mu zanucić.

179

— Lubisz hip-hop? »Up, up... ja mam to, czego nie masz ty, ^ masz to, czego nie mam ja, up, up!"

— Janusz okazał się Je<hak nieczuły na hip-hopowe rytmy. Pewnie dlatego, że nie miałem na sobie odpowiedniej czapki i bluzy z kapturem.

— Rozczarowujesz mnie, staruszk. A może ty jesteś takim bardziej rockowym patyczakiem, hm? „Jolka, Jolka, pałetasz lato ze snu"... para rara rara ram... — umilkłem, bo usłyszałem, że ktoś nadchodzi.

■— Mówię ci, Stefan, że nic nie słyszałem...

Spojrzałem spomiędzy frędzli i dostrzegłem idących ramię w ramię woźnego Wąsika i pana Miłosza Bębniawę.

— A ja ci oświadczam, że ktoś wołał moją żonę, o tak ~ Woźny przyłożył dłonie do ust i zahukał jak zagubiony w lesie grzybiarz — Joolkaaaa, Joolkaaaa!

„Że też ludzie wykazują takie skłonności do przesady"

— pomyślałem z niepokojem.

Mężczyźni stanęli przed smutnym obliczem Marii Pawlikowskiej -Jasnorzewskiej, przyglądając się krytycznie kącikowi pamięci.

— Za dużo frędzliów na tej ladze, ja bym trochę obciął

— kaprysił Wąsik. — No i ktoś nawoływał Jolkę!

— Frędzli — poprawił woźnego Bęben. — Nie może być ich za dużo, bo jest w sam raz. Zresztą sztandar to sztandar, nie wolno w nim niczego zmieniać! Musisz go zanieść z powrotem do muzeum, bo jeszcze Heniek zobaczy.

O mało nie padłem, gdy to usłyszałem, ale woźny był w bojowym nastroju.

— Heniek mnie może...

180

— Dla mnie Heniek — przerwał mu nauczyciel — ale dla ciebie pan dyrektor! Ty tu jesteś od grabienia liści, kochasiu.

Wąsik jakby przygasł.

— Znaczy się, jak ma to wyglądać? — zapytał cicho.

— Tak, jak powiedziałem. W poniedziałek wyciągasz sztandar, poczet sztandarowy go wprowadza. A wyszkoleni są, że mucha nie siada. Osobiście dopilnowałem — pochwalił się Bęben. — Najważniejsze, Stefan, to dyscyplina i... i co? AUTORYTET, kochasiu. Większego autorytetu nie ma sam Balezyl!

Wtedy przypomniałem sobie scenę w toalecie i jego służalczy bełkot. Rzeczywiście, mocny gość...

— Poczet wprowadza, aha — starał się zapamiętać woźny.

— A potem pierwszaki ślubują... — Faktycznie, na śmierć zapomniałem, że w poniedziałek będzie ślubowanie, czyli dwie pierwsze lekcje mogę sobie odpuścić. — ...kwiaty do wazonów, dyrektor przemawia, Plomba przemawia, sztandar wyprowadzić i na koniec jakieś przedstawienie — Bębniawa podniósł w górę siedem palców.

— Jakieś przedstawienie, kapuję — zgodził się Wąsik. — No to ja zabieram flagę!

Jedynym rozsądnym wyjściem wydała mi się ucieczka. I pomyśleć, że gdyby nie Gosia, przypuszczalnie byłbym już w drodze do domu...

Gdzieś niedaleko trzasnęły drzwi — pewnie od przeciągu.

Tymczasem woźny wyciągnął rękę, dotknął drzewce sztandaru i nagle uniósł wysoko brwi.

— Już ja się do nich wezmę, bumelantki zatracone! — powiedział rozzłoszczony. — Patrz, panie Miłoszu, na twarz tej Pawlakowej. Ma brudny nos! — Wąsik chwycił pana Bębniawę za łokieć i pociągnął bliżej tablicy.

182

— To coś jakby... szrama — ocenił nauczyciel.

— Szrama? Mnie to bardziej wygląda na kłęb niewymiecionego porządnie kurzu — upierał się Wąsik.

— Ach, nie — rozpromienił się Bęben. — To robak! Robak? Zajrzałem do otwartego pojemnika i okazało się,

że jest pusty! Zakryłem usta dłonią, żeby nie krzyknąć z rozpacz.

— Ooo, co to, to nie! Nie będą się tu mnożyły żadne robaki! — Wąsik zdjął buta i zamierzył się na drzemiącego w najmniej odpowiednim miejscu Janusza.

Oblał mnie zimny pot, na szczęście belfer rozwiązał problem.

— Później się tego nie doszorujesz, chłopie. Spryskaj go muchozolem albo czymś podobnym i sam odpadnie.

— Może i tak... — przytaknął woźny, ubierając buta. — Pójdę czegoś poszukać.

— Zaczekaj, Stefan, pójdę z tobą. Mamy do pogadania. Odeszli, a ja próbowałem opanować drżenie nóg. W gardle

tak mi zaschło, że teraz nie pogardziłbym nawet wodą z bio-humusem.

Przetraszałem kieszeń. Karaluch wypadł na podłogę i od razu dał drapak, znikając mi z oczu.

— Ej że! — krzyknąłem za nim zaskoczony, lecz mogłem tak sobie wołać choćby do rana. —

Bodaj cię jakaś mysz dopadła, padalcu! — przekląłem go. Tyle zachodu na nic...

— Mówi się trudno, Januszk, wracasz do niewoli — zwróciłem się do patyczaka, zdejmując go ostrożnie z nosa zafrasowanej patronki szkoły. — Miały być piątki i szóstki,

183

a będzie wielka lipa, niestety. Chociaż ty właściwie nie musisz się martwić, przed tobą wielka kariera.

Wróciłem pod salę, gdzie przekonałem się, że moje kłopoty wcale się nie skończyły. Drzwi były zamknięte, więc mogłem najwyżej pocałować brudną klamkę na do widzenia.

184

Rozdział 17.

Zakochany Giuseppe Cantori

Przed domem dostałem się w szpony pana Karola.

— Kupiłeś, Jasiu, farbę? — zagaił, opędzając się od skaczącego wokół niego Dyzia.

Będę musiał pomyśleć o wchodzeniu do domu przez piwnicę, bo inaczej nigdy nie uwolnię się od tego faceta.

— Dzień dobry panu! Tak, tak, prawie kupiłem — odpowiedziałem, wkładając klucz do zamka.

— Czarujesz, Jasiu. Jak mogłeś ją PRAWIE kupić? Jak cię znam, na pewno zapomniałeś, ale nic to

— westchnął niczym filmowy Michał Wołodyjowski. — Porozmawiam po prostu z twoim ojcem i skończy się wodzenie mnie za nos.

Nie przewidziałem takiego obrotu sprawy — teraz pozostało mi jedynie spróbować odwieść sąsiada od tego zamiaru.

— Ale byłem w sklepie, a to się chyba liczy? Poprosiłem o farbę „Pamparollo”...

— „Pędzel Color”. Ty wcale nie słuchasz, co się do ciebie mówi! — załamał ręce sąsiad. — Nie dziwota, że nie możemy się dogadać.

— Jutro sobota, panie Karolu, pomaluję jutro! — zadeklarowałem stanowczo.

185

— Pewnie, że pomalujesz, bo jak nie... — tu zawiesił głos — ..to załatwię ci u ojca szlaban jak stąd do Zielonej Góry, aż polecą wióry! — zrymował. Z takim talentem dramatycznym niepotrzebnie się w tym ogrodzie marnował. — No, poszedł do budy! — krzyknął na sikającego do piaskownicy psa.

Byłem już za drzwiami, ale sąsiadowi to nie przeszkadzało.

— Chwilunia! — zawołał. — Jeszcze nie skończyłem, wracaj mi tu zaraz! Jest sprawa...

Rad nierad wyszedłem na zewnątrz i oparłem się o ścianę, udając znudzenie. Pan Karol powiesił na słupku ogrodzenia reklamówkę wypchaną jabłkami.

— To dla Krzysia, piękne jonatany. Dzisiaj zrywane — pochwalił.

— Dziękuję! — Wziąłem jabłka i od razu się nadałem. Ciekawe, dlaczego to Glut cieszy się sympatią sąsiada, a nie ja? I tak jest zawsze: dorośli bardziej cenią takich zasmarkanych grzdyli niż inteligentnych nastolatków. To niesprawiedliwe.

— Nie ma za co — machnął ręką pan Karol. — Nie zapomnij mu tylko powiedzieć, że to ode mnie, dobrze?

Przytaknąłem bez entuzjazmu.

W domu panował nieopisany bałagan. Na ogół rano wszyscy tak się spieszą, że po powrocie już od progu można się zabić na porzrzucanych pięciu albo sześciu parach butów — jakby nie wiadomo ile osób u nas mieszkało. Kuchenny zlew wypełniała piramida kubków po kawie i po mleku oraz niezliczona ilość talerzyków i łyżeczek. Po pełnym okruszków

186

stole walały się smutne, niedoczytane gazety, a w sypialniach straszyły pozostawione w sennym nieładzie pomięte pościelenie. „Ciekawe, kto to wszystko później sprząta?” — przemknęło mi przez myśl, kiedy otwierałem drzwi mojego pokoju.

Niepokoili mnie sprawa uprowadzonego Janusza. Co mam z nim teraz zrobić? Zadzwoiłem po radę do Kostka.

— Abonent czasowo niedostępny — wyjaśnił automat miłym głosem, po czym powtórzył to samo po angielsku, na wypadek, gdybym nie zrozumiał.

— Jaka szkoda! — Nie ukrywam, że byłem rozczarowany. — Tm so sorry, mechaniczna papugo! — dorzuciłem na do widzenia, na razie odkładając pojemnik z owadem na biurko.

Postanowiłem na razie obejrzeć dokładnie pierścionek. Był piękny i taki jakiś... staromodny — może nawet zabytkowy? Intrygowało mnie również wygrawerowane po wewnętrznej stronie obrączki nazwisko, które wczoraj z takim trudem odczytałem: Giuseppe Cantori, 1819. Skąd ja cię znam, kolego?

„Teofil Przyzba!” — wstrząsnęła mną odkrywczą myśl. Drżąc z emocji, przekopałem szufladę z niemieszczącymi się na półkach książkami i przeczytanymi czasopismami.

Wydana w 1994 roku, mocno już podniszczona, broszura zatytułowana Trombolińskie tajemnice autorstwa zagorzałego miłośnika naszego miasta, Teofila Przyzby, niejednokrotnie pobudzała moją wyobraźnię, opowiadając o zaginionych skarbach, czekających na odkrycie podziemiach i intrygujących wydarzeniach.

Otworzyłem książkę na spisie treści i przeczytałem półgłosem:

187

— Rozdział szósty czyli historia tragicznej miłości Giuseppe Cantoriego do Teresy Trombollini. U góry strony widniała reprodukcja ryciny przedstawiającej smukłego młodzieńca z zaczesanym do góry lokiem, ubranego w kamizelkę i długi żakiet z szerokimi klapami oraz w obcisłe spodnie. Na drugim planie można było rozpoznać częściowo przysłonięty drzewami pałacyk hrabiego von Bittza — obecnie siedzibę trombolińskiego muzeum. Pod rysunkiem wił się odręczny podpis: G. Cantori, Juni 1819.

Pomagając sobie palcem, wodziłem wzrokiem po zapisanych maczkiem liniijkach, na nowo odkrywając zapomnianą historię.

...porzuciwszy Florencję, czas jakiś mieszkał w Paryżu, gdzie w marcu 1817 roku spotkał przebywającego tam z rodzinną wizytą Aleksandra hrabiego von Bittza wraz z poślubioną niedawno Teresą Trombollini, pośrednio skoligaconą z zamordowanym w Rzymie sekretarzem poselstwa francuskiego, Hugonem Bassville.

Młodsza od swojego męża o dwadzieścia lat Teresa — na cześć której stary hrabia przemianował część rodzinnych włości, nadając dwuipółtysięcznej wówczas osadzie nazwę Trombollstadt — od pierwszego wejrzenia zakochała się w młodym, obiecującym poecie. Na nieszczęście dla obojga, żar jej niewieściego serca spotkał się z wzajemnością. Od tego momentu losy kochanków coraz mocniej się ze sobą splatają.

Po ukazaniu się dzieła „Promessi sposi” nazwisko Cantori stało się głośnie, toteż w czerwcu 1819 roku, wytęskniony oraz ośmielony ożywioną korespondencją ze swą oblubienicą, Giuseppe postanawia pod byle pretekstem odwiedzić pałac w Trombolinie.

Wcześniej, opłaciwszy sowicie paryskich jubilerów, Cantori zamawia pierścień z oprawnym w złoto brylantem, mimo ryzyka każąc wygrawerować na obrączce swoje nazwisko. Pierścień ma być prezentem, którym poeta chce przypieczętować tajemny związek kochanków.

Cantori odwiedza Teresę, dowiadując się — ku swej radości — iż jaśnie pan małżonek od dnia wczorajszego spędza czas na łowach w pobliskich borach. Ośmielony szczęśliwym zbiegiem okoliczności — jako że w owych czasach polowania trwały nawet i tydzień cały — Giuseppe zostaje na noc w pałacu.

Niestety, lojalna służba rychło powiadamia hrabiego o niespodziewanej wizycie. Ten, śpiesząc czynić honory gospodarza domu, wczesnym rankiem spotyka tak poważanego gościa śpiącego u boku Teresy w hrabiowskim łóżu.

Zakłuty sztyletem Giuseppe został pochowany na skraju pałacowego cmentarza, skąd — po wielu staraniach — ekshumowała go zrozpaczona rodzina. Prochy nieszczęsnego kochanka po dziś dzień spoczywają na florenckim cmentarzu, w grobowcu, który stał się miejscem pielgrzymek zakochanych.

Ofiarowany Teresie pierścień — dar Giuseppe — po drugiej wojnie światowej zaginął, by niespodziewanie odnaleźć się w 1993 roku w Muzeum Miasta Odessa, skąd został wykupiony przez znanego filantropa Ksawerego Trzaśkiewicza-Strugałę i przekazany włodarzom Trombolina. Czytałem tę historię z wypiekami na twarzy — aż do chwili, w której uświadomiłem sobie, jaki skarb trzymam w zaciśniętej dłoni. Wtedy natychmiast pobrałem.

189

— Janek, obiad! — Brzmiący niczym wołanie z zaświatów głos mamy przerwał gonitwę myśli. Sprawdziłem czas. Jakimś tajemniczym sposobem nadeszła już czwarta po południu, czyli pora rodzinnego obiadu.

Na samą myśl o jedzeniu odbiło mi się biohumusem.

— Idę! — odkrzyknąłem, rozglądając się w panice po pokoju. W końcu, z braku bezpieczniejszego miejsca, włożyłem pierścione pod poduszkę.

— Rozmawiałem z sąsiadem — rzekł ojciec na powitanie. Glut przyjrzał mi się z żywym zainteresowaniem.

— Ja też rozmawiałem z sąsiadem — powiedział. — Dał ci dla mnie jabłka.

— Nie teraz," Krzysiu. Rozmawiam z twoim bratem. — Ojciec popatrzył mi w oczy Kiedy zamiast imienia używał określeń zastępczych, mogłem się spodziewać dłuższego wykładu.

Mama, udając, że wcale nie słucha, nakładała na talerze obiad — a dokładniej: jajecznicę i frytki z mrożonki, czyli znów „coś na szybko”.

— Pan Karol skarży się, że zwodzisz go z malowaniem ogrodu. Była już o tym mowa w ubiegłym tygodniu.

— Przecież dopiero wczoraj... — przerwałem mu, oburzony.

— W ubiegłym tygodniu zasugerowałem ci, że powinieneś się bardziej udzielać w domu. Komputer został schowany, więc chyba masz czas... — Wywód stawał się monotony, co zwiastowało nadciągającą burzę. — Powiedz, czym

190

jesteś tak zajęty? Przecież ze szkoły wróciłeś ponad godzinę temu.

— I powiedz, gdzie są moje urodzinowe jabłka od pana sąsiada! — wtrącił Glut.

— Jabłka są w przedpokoju, za moim plecakiem... Jak to: urodzinowe? — jęknąłem. — Masz dzisiaj urodziny?

— Tylko nie mów, że zapomniałeś o urodzinach Krzysia! — Talerz z obiadem uderzył o stół, a krople gorącego tłuszczu wsiąkły w moje spodnie. Mama spojrzała na mnie jak głodna pantera na upatrzoną ofiarę. — Nawet pan Karol pamiętał, obcy człowiek!

Glut, wykorzystując moje niskie notowania, przytulił się do ojca z udawanym szlochem.

Podminowana atmosfera odebrała mi resztki rozsądku.

— Może nie powinieneś, ale... — oblizałem spierzchnięte wargi — ..dobrze wiecie, jak lubię się z nim droczyć. Pewnie, że pamiętałem o jego... eee, urodzinach. Przecież kupiłem mu prezent.

Ojciec wyglądał na zbitego z tropu. Prawdopodobnie przyszykował sobie dłuższą mowę wychowawczą z wieńczącym całość projektem wymyślnej kary, a tu — proszę, nagłe rozczarowanie.

— No i co dla mnie masz? — ekscytował się Glut, który jeszcze przed chwilą łkał ojcu w koszulę.
— Bo tatuś kupił mi czołg!

— Tomeczku, kupiłeś dziecku czołg? — zdenerwowała się mama. — A jak wyrośnie z niego gangster albo, przypuśćmy, terrorysta?! — Biedaczka, nie zauważyła, że jej młodsza
191

pociecha już od dawna jest wytrawnym gangsterem i terrorystą.

— Ale co chcesz mi dać? — Zniecierpliwiony właściciel czołgu domagał się natychmiastowej odpowiedzi.

— Zaczekaj — zwlokłem się z krzesła. — Zaraz ci przyniosę.

Poszedłem do mojego pokoju, słysząc nieudolne tłumaczenia i wywody ojca na temat męskości, służby dla ojczyzny i kształcących coś tam militariów.

— Muszę ci, Januszku, wyznać prawdę. Zostałeś porwany przez absolutnie nieodpowiedzialnego, a na dodatek pechowego porywacza — oświadczyłem posilającemu się soczystym liściem patyczakowi. — Szkoda słów... Teraz będzie jednak dużo gorzej, bo oddam cię mojemu psychopatycznemu bratu.

Z braku wstażki odciąłem centymetrowej szerokości pasek z zasłony i obwiązałem nim pleksiglasowy pojemnik. Mama i tak tu nie zagląda...

— Aha, jak się to już wreszcie skończy, możesz mnie choć raz odwiedzić w więzieniu... — Już widziałem siebie w wytartym pasiaku z oberwanymi rękawami, z wytatuowanymi na ramieniu słowami: „Wybacz, matko moja”. W gardle poczułem piekącą gorycz.

Klepnąłem czekającego za stołem sześciolatka rozdygotaną dłonią.

— Sto lat, bracie, i tak dalej. Trzymaj! — Życzenia były krótkie, ale za to treściwe.

— Jeju! Co to jest? — Trzy głowy pochyliły się nad
192

Januszem, podrygującym wdzięcznie w rytm sączącej się z radia muzyki.

— Nie wiecie? To jest patyczak, tańczący owad z rzędu... tańczących owadów! — rzuciłem z uczoną miną. — Żywi się trzykrotką, hmm... albo paprotką? Nie pamiętam. Później sprawdzę w encyklopedii.

Rozpromieniony Glut wyglądał jak słodki, mrugający oczętami cherubinek.

— Nazwę go Bobek! — ogłosił. — Bo wygląda jak kocia...

— On już ma imię — wtrąciłem, powodowany nagłym impulsem, lecz szybko tego pożałowałem i pokiwałem głową. — Ale imię Bobek jest ładniejsze, pasuje do niego. Szczerze mówiąc, to on zawsze był Bobkiem. Od urodzenia...

Dzwonek telefonu przerwał moje męki. Wyszedłem do przedpokoju, modląc się w duchu, by to nie był nikt z Klanu.

— Słucham — szepnąłem lękliwie. — To ty, Kostek?

— Nie — głos w słuchawce zarechotał rubasznie. — Z tej strony Jacek Plomba, robaczku, z pozdrowieniami od Klanu! Cieszysz się?

193

Rozdział 18.

Inspektor Konstanty Ptak

To nie był dobry moment na rozmowę z członkiem Klanu. Na dokładkę zacząłem chyba tracić słuch, ponieważ słowa Klocka docierały do mnie stłumione, jak przez warstwę waty.

— Yyy... cześć, Jacek, fajnie, że dzwonisz — skłamałem.

— Słabo cię słyszę.

— Bo przykryłem mikrofon chusteczką do nosa — wyjaśnił Plomba. — Konspiracja to podstawa. Ty też powinieneś mieć chusteczkę na wyposażeniu.

— Poważnie? A właściwie po co?

— No, żeby się konspirować, to oczywiste.

Przyznam, że nie bardzo za nim nadażalem. Spróbowałem więc przerwać ten zagmatwany wątek rozmowy.

— Nie da rady. Ja używam chusteczek higienicznych, które się nie nadają, bo są za grube...

— Kto jest za gruby? — wtrąciła się zaniepokojona mama.

— Nikt, mamó! — odkrzyknąłem jej. — Nie mówiłem do ciebie — uspokoiłem sapiącego po drugiej stronie Klocka.

— Masz jakąś sprawę?

— To nie jest rozmowa na telefon. — Przewodniczący pewnie przestał konspirować, bo nagle usłyszałem go bardzo wyraźnie.

— Po co więc dzwonisz?

194

— Dzwonię, żeby właśnie nie dzwonić, ćwoku! — Jackowi puściły nerwy — Dzwonię po to, żeby z tobą porozmawiać w cztery oczy!

Ta wypowiedź była dość skomplikowana — chyba powinienem przestawić się na bardziej pokrętny tok myślenia.

— Już wiem, dzwonisz, bo chcesz się ze mną zobaczyć!

— rozjaśniło mi się w głowie, ale natychmiast spanikowałem.

— Tylko że nic z tego. Kiedy szedłem ze szkoły, too... — rozpaczliwie szukałem jakiejś wymówki.

— To co?

— Kiedy szedłem ze szkoły, skręciłem nogę i nie mogę chodzić. Na razie, trzymaj się, stary! — pożegnałem się pospiesznie i odłożyłem słuchawkę.

Nie zdążyłem jeszcze odejść od aparatu, kiedy telefon znów zadzwonił.

— Halo? — zapytałem z nadzieją, że to jednak nie Plomba.

— Ty mi tu nie haluj, robaczku! — burknął. — Muszę z tobą pogadać, więc skoro góra nie może do Muhammada...

— Muhammada?

— Taki bokser, Muhammad Ali! — zabulgotał rozzłoszczony Jacek. — I on przyjdzie do góry, to znaczy do ciebie. A ściślej mówiąc, nie on przyjdzie, aleja.

— Zaczęłeś trenować boks? — zrobiło mi się duszno.

— Zgłupiałeś, Cyna? Nigdy w życiu — uspokoił mnie. — Przecież ja jestem jakby taki ten... no, intelektualista! To jak, mogę przyjść?

— Dzisiaj? — spanikowałem. — Eee, jasne, że możesz

— powiedziałem w końcu. Plomba się rozłączył.

195

Trzeba mu będzie wcisnąć jakiś kit na temat karalucha — na przykład, że pożarł patyczaka razem z klatką...

Sygnal domofonu zaświstał niespodziewanie, więc odruchowo wcisnąłem guziczek otwierający furtkę. Kogo do nas znowu niesie?

— Dzień dobry! — w drzwiach, których ktoś lekkomyślny nie zamknął na klucz, pojawił się Plomba z zarumienioną od wiatru twarzą.

— Juuż? — aż mnie zatkało. — Miałeś przyjść, ale myślałem...

— Dzwoniłem do ciebie spod furtki, frajerze — Kłoczek postukał się wymownie w czoło.

Z kuchni wybiegł podekscytowany Krzysio.

— Mam patyczkowniczką Bobka! — zameldował na widok gościa. — Od Janka!

Nogi się pode mną ugięły Widok Janusza w rękach Gluta wywołał jednak u Plomby przyjazny uśmiech.

— Widzisz, Cyna, jak się udało? No, no! Ja właśnie w tej sprawie.

Zaprosiłem go do pokoju, przeganiając usiłującego wejść razem z nami przedszkolaka. Glut stawał się coraz silniejszy, więc nie było to tak łatwe, jak kiedyś.

Plomba rozsiadł się zaraz wygodnie na tapczanie, nie zwracając uwagi na zalegającą na nim skotłowaną pościel.

— Jakoś nie kulejesz, noga już cię nie boli? — zagaił.

— Właśnie mi przeszło...

— Mhm — mruknął niejasno. — Sytuacja wygląda następująco: pierwsze zadanie masz za sobą. Zgadza się?

196

— Ja... — Nie wiedziałem, jak mu powiedzieć o moim niepowodzeniu. Zachęcił mnie spojrzeniem. — Więc ja właściwie nie do końca... Bo wiesz — zacząłem szeptać — porwałem Janusza i...

— I to wystarczy! — przerwał mi przewodniczący. — Co prawda najpierw zgubiłeś, a później nie podłożyłeś na miejsce karalucha, ale liczą się intencje. W dodatku ten pomysł ze złapaniem kolejnego w stołówce — bomba! Ja bym się brzydził... — Jego wiedza o przebiegu akcji była przytłaczająca. Rzeczywiście, nie doceniałem potęgi Klanu Zaufanych.

— Ktoś mnie śledził, tak? — ściągnąłem brwi niemal jak Palikowa rozmawiająca z uczniem.

— Powiedzmy... — skwitował przewodniczący. — O tym nie będziemy gadać. Cały czas stoisz, wiesz?

— Wiem. — Usiadłem zrezygnowany na krześle przy biurku. — Mam do ciebie wielką prośbę, Klocku.

— Co tylko zechcesz, Cyna — Plomba rozłożył ręce w geście oznaczającym szczere chęci.

— Przez głupi zbieg okoliczności podarowałem Janusza Glutowi, sam widziałeś. On myśli, że to na zawsze...

— Żaden kłopot — Plomba przyciągnął do siebie poduszkę. — Możecie sobie tego patyczaka zatrzymać. W końcu należy ci się nagroda za inicjatywę, no nie? — Poduszka znalazła się za jego plecami.

Pobladłem, bo w fałdzie prześcieradła błysnął pierścionek Giuseppe Cantorigo. Nieuchronne w takiej sytuacji pytania mogłyby stać się ostatnim gwoździem do mojej żalösnej trumienki.

197

— Ekhm — chrząknąłem — czemu zawdzięczam wizytę twojej szanownej... hi, hi!... osoby? — starałem się, by wyczuł kpinę. Byłem gotów na wszystko, byle skupić uwagę Klocka wyłącznie na mojej osobie.

— Stałeś się bezczelny, robaczku, zauważyłeś? Ale kicham na to. Ważne, byś zdobył drugą twarz. Nowe zadanie nie powinno ci sprawić trudności. Wystarczy, że przyniesiesz nam dziennik Ptaka. — Powiedział to tak obojętnie, jakby chodziło o przyniesienie bułek z piekarni za rogiem.

Przebrała się miarka. Wyszarpnąłem zza jego pleców poduszkę, przykrywając pierścionek.

— Koniec z tym, Jacuś — syknąłem, uderzając pięścią w otwartą dłoń. — Popatrz na moje usta, jeśli nie zrozumiałeś, co powiedziałem: KONIEC Z TYM WSZYSTKIM! Nie będę okradał najlepsze -

ocen, ani... I w ogóle, wynoś się z mojego domu! — rozkazałem.

Mój wybuch nie wywarł na przewodniczącym wrażenia. Zawsze uważałem go za pozbawionego sumienia gburowate-go pyszałka.

— Jak tam sobie chcesz, Cyna — wyciągnął rękę, bym pomógł mu się podnieść. Wepchnąłem więc dłoń do kieszeni.

— Gdybyś się jednak namyślił, zawsze możesz się do mnie zgłosić — sapnął, dźwigając opasłe cielsko. — Pewnie... — uśmiechnął się — .. już w poniedziałek się namyślisz. Takie mam przeczucie.

— I pamiętaj: jeśli komuś cokolwiek wypaplesz, marny twój los — dodał na odchodnym.

Pięć minut po wyjściu Plomby pojawił się Kostek — rozczochrany i brudny Rodzice co prawda z trudem tolerowali naszą przyjaźń, ale do tej pory na szczęście nie znaleźli powodu, by go nie wypuszczać do domu.

— Pięknie, Jasiu... Wiesz, kogo widziałem, jak wychodził z twojego domu? Ledwie zdążyłem ukryć się za śmietnikiem.

Ptak ostatnio zdradzał niepokojące ciągoty do śmieci.

— Niech zgadnę — zamyśliłem się. — Królową Anglii?

— Masz rację, głupie pytanie... Chciał od ciebie czegoś konkretnego?

— Czy ja wiem... — przymknąłem oczy. „Pamiętaj, marny twój los...”, ostrzegł mnie wewnętrzny głos. — Grożą mi

— westchnąłem.

— Klan?

199

— Mhm...

Czując, jak uchodzi ze mnie napięcie, opowiedziałem przyjacielowi całą historię, łącznie z rozmową na temat jego dziennika.

— Wdepnąłeś w niezłe bagno, synu — mruknął zafrasowany Kostek. — Na pocieszenie powiem ci, że próba walki z przeznaczeniem to smętne marzycielstwo. Donkiszoteria.

Ptak zawsze miał pod ręką jakieś mądrze brzmiące słowo.

— Doradź mi, Kostek, co mam robić — zniecierpliwilem się.

— Na razie nie rób nic, pozwólmy im działać. Inspektor Konstanty Ptak od dawna ma ich na oku — powiedział, oglądając pierścionek przez lupę.

— To dlatego chcą zdobyć twój dziennik! — olśniło mnie.

— Wiedzą, że coś wiesz, ale nie wiedzą, co!

— Mniej więcej. Chłopaki z radością pozbyliby się mnie ze szkoły — nie krył satysfakcji. — Ze dwa lata temu czytałem gdzieś o kradzieży tego cacuszka — zmienił temat. — Jest wart, czy ja wiem...? Na pewno kupiłbyś za niego nowego mercedesa. A śledztwo dawno umorzono z braku podejrzanego. Kuszące, nieprawdaż?

— Nie chcę żadnego mercedesa! Po prostu odeślę pierścionek policji, oczywiście anonimowo — zdecydowałem.

— Z drobnym wyjaśnieniem, kto mi go podrzucił...

— Najpierw dokładnie powycieraj odciski palców, szlachetny młodzieńcze — doradził Kostek, ziewając. — Bo jeszcze cię namierzą, a wtedy marny twój los, jak mawia Plomba. Wieczór zapadł, pora zmiatać — oświadczył

200

niespodziewanie i założył kurtkę. — Bądź dobrej myśli, synu.

Byłem tak wykończony, że położyłem się spać zaraz po kolacji. Obudziłem się jednak w środku nocy — ten kretyn Dyzio szczekał, jakby stado wygłodniałych kocich włóczęgów podbierało mu żarcie z miski.

— Doigrałeś się nareszcie — wycodziłem przez zęby. Odszukałem po omacku poniewierającą się pod tapczanem turystyczną latarkę na osiem baterii oraz dziurawe trampki, które już dawno miałem wyrzucić. — Wiedziałem, że opieszałość po coś wymyślono, a teraz wiem, po co. — Zważyłem buta w dłoni. Nadawał się idealnie.

Powstrzymując oddech, cicho otworzyłem okno. Na tle czarnego aksamitu nocy znowu tańczyły czerwone świetliki. Czyżby odbywały październikowe gody?

— .. jasna! — usłyszałem nagle stłumiony szept. Czyżby nasz sąsiad również nie mógł spać tej nocy?

Zapaliłem latarkę, kierując snop światła na ogród sąsiada. Ktoś zaklął, a potem rozległ się tupot pośpiesznych kroków.

— To pan, panie Karolu? — zapytałem, dostrzegając w mroku przygarbioną sylwetkę.

— Janek? Cicho bądź, dzieciaku — syknął ukryty w półcieniu mężczyzna.

— Co się dzieje, dlaczego ten pies tak szczeka? — Przygotowany w celu uspokojenia Dyzia dziurawy trampek spoczął na parapecie. Jeszcze się kiedyś przyda, nie będę przecież rzucał butami w sąsiada.

201

— Nic takiego — odpowiedział pan Karol z ociąganiem.

— Polujemy na kreta.

— Już myślałem, że... Właściwie nie wiem, co myślałem. Dobranoc! — Przeprosiłem i zamknąłem okno.

Ranek przywitałem z mocno bijącym sercem. O dziewiątej rozpoczynają się zajęcia kółka

plastycznego, więc spędzę dwie godziny w towarzystwie Natalki. To nieistotne, że powiedziała, bym się trzymał od niej z daleka. Odpowiednio długo wyginany drut w końcu pęknie — wiem, bo sprawdzałem.

— Kup wreszcie farbę — przypomniała mi mama przy śniadaniu.

— Jachnę — odpowiedziałem, przetykając w pośpiechu kanapkę z szynką. — Kupię zaraz po zajęciach.

— A tak właściwie, to co cię napadło z tym kółkiem?

— zainteresował się ojciec, przeglądając gazetę. — Przecież jesteś kompletnym beztalenciem w tej dziedzinie.

— Nieprawda! — oburzyłem się. — Pani Marcjanna powiedziała, że w każdym człowieku tkwi malarz, trzeba go tylko wydobyć na światło dzienne, i ja właśnie na tych zajęciach wydobywam z siebie malarza.

— Jak już go wydobędziesz, to niech pomaluje nam ogrodzenie — kpił ojciec. Odłożył przy tym na bok gazetę i siorbnął kawę.

Raptem zamarłem. Na pierwszej stronie dzisiejszych „Wieści Trombolina” widniało spore zdjęcie zakutego w kajdanki Podjadka z oczami przysłoniętymi czarnym prostokątem. Jego widok nie wstrząsnął mną jednak tak, jak zamieszczony nad zdjęciem nagłówek:

202

WŁAMYWACZANDRZEJ, „TURKUĆPODJADEK ARESZTOWANY! Policja na tropie tajemniczego współnika. I dalej:

Jak się dowiedziała dziennikarka naszej gazety, Bożena Zakorzeniona, niejaki „Turkuć” jest domniemanym sprawcą nagłaśnianej w swoim czasie kradzieży pierścienia, podarowanego przez kochankę hrabinie Teresie Trombollini. Wartość pierścienia ze względów historycznych oraz z uwagi na wyjątkowość sztuki jubilerskiej oceniana jest w chwili obecnej na osiemdziesiąt siedem tysięcy złotych.

203

Ze wstępnych ustaleń policji wynika, iż „Turkuć” może należeć do grupy przestępczej, mającej na koncie ostatni napad na zakład jubilerski Anatola Zagórnego, gdzie łupem złodziei padł inny cenny zabytek pochodzący z Muzeum Miejskiego, czyli brosza hrabiny Teresy.

Andrzej Podjadek stanowczo zaprzecza udziałowi w którymkolwiek z napadów, twierdząc, że pierścionek zdobył przypadkowo i oddał go swemu współnikowi na przechowanie...

Zostałem poszukiwanym przestępcą.

204

Rozdział 19.

Malarz pustkoista

Po krótkim wahaniu potrzeba ujrzenia Natalki przewyciężyła chęć ucieczki przed tropiącym mnie wymiarem sprawiedliwości. Rozważałem nawet możliwość wyjazdu w Bieszczady, gdzie podobno ukrywa się wielu podejrzanych brodatych osobników, żyjących z karczowania lasów albo z gotowania smoły. Podejrzanym osobnikiem już jestem; gorzej z brodą, która wcale nie chce mi rosnąć, a i smoły ani razu jeszcze nie gotowałem. Jednak nie wykluczam, że wiedza o Bieszczadach przyda mi się w przyszłości, kiedy jako najbardziej poszukiwany międzynarodowy bandyta będę musiał znaleźć jakieś bezpieczne lokum.

Tak się zdenerwowałem tymi wizjami, że aż rozbolała mnie głowa. Właściwie to po kim odziedziczyłem tę wybujałą wyobraźnię? Ojciec urzędnik, matka nauczycielka... Być może po babce — słabo ją znam.

Dla bezpieczeństwa schowałem do kieszeni spodni zawinięty w mamina chusteczkę pierścionek z brylantem, wycierając go uprzednio zamoczonym w wodzie z szamponem ręcznikiem, by pozbyć się odcisków palców. Tak jak radził mi Kostek, pasjonat telewizyjnych kryminałów.

205

— Wychodzę! — oznajmiłem. „I nie wiem, czy wrócę”, chciałem dodać, ale uświadomiłem sobie, dokąd się wybieram. Na kółku plastycznym nie może mnie przecież spotkać nic strasznego. Mogę się najwyżej pobrudzić farbą.

— Wróc zaraz po zajęciach — usłyszałem już w drzwiach rodzicielskie przesłanie.

— To oczywiste — uspokoiłem domowników. — Zmaluję coś i wracam, cześć!

Tromboliński Dom Kultury mieści się w bocznym skrzydle miejskiego ratusza. Wchodzi się tam przez ciasne podwórze, zagracone wieloma zabezpieczonymi folią paletami z trudną do zidentyfikowania zawartością. Oficjalnie mówi się, że w ramach finansowego wspomagania budżetu miasta burmistrz Zdzisław Czkawka wynajmuje placyk pobliskiemu sklepowi z materiałami budowlanymi, nieoficjalnie zaś dodawano, że właścicielem owego sklepu jest brat burmistrza, niejaki Zenon Czkawka. Zresztą sklep nazywa się „Buduj z Czkawką!”, co niejednemu dało do myślenia.

Szedłem ulicami miasta, zafascynowany budzącym się sobotnim gwarem, i z minuty na minutę zapominałem o prześladowających mnie problemach.

Ponad trzy lata temu, w piątej klasie podstawówki, przeżywałem podobne zawirowania, a nawet o mały włos nie wylądowałem w jakimś zakładzie dla nieletnich chuliganów. Mieszkaliśmy wtedy w innej dzielnicy, zwanej Kaczymi Dołami. Kamienica, w której się wychowywałem, cieszyła się ponurą sławą z powodu rozlicznych awantur i policyjnych

206

interwencji. Podobno w jednym z mieszkań trombolińscy złodzieje mieli swoją ukrytą melinę, czyli zakamuflowane schronienie; zaś moi starsi koledzy z podwórka w pocie czoła zdobywali przestępcze kwalifikacje.

Kiedy skończyłem jedenaście lat, kumple próbowali mnie wciągnąć w rozmaite podejrzone interesy, lecz — na szczęście — pojawiła się wynajęta opiekunka do dzieci (czyli do Gluta) i w mieszkaniu zrobiło się ciasno, więc rodzice w te pędy uporali się z budową naszego domu przy Rejtana czternaście.

I wtedy pojawił się Ptak. Poznałem go na jakichś zawodach sportowych dla utalentowanych małolátów, gdzie zaimponował mi swoją osobowością i mnóstwem mniej lub bardziej tajemniczych zdolności. Odtąd wędrowaliśmy przez życie ramię w ramię, a złe fatum zapadło w drzemkę. Aż do teraz.

Nagła myśl o Natalce spowodowała, że popędziłem na zajęcia jak uskrzydłony Oczywiście wcale mnie nie interesowało to całe kółko plastyczne, i tak nie potrafiłem narysować niczego poza karykaturą człowieczka w długim płaszczu, ze zwisającą z wielkiego nochała kroplą kataru.

Wymyśliłem tę postać rok temu podczas lekcji chemii. Pan Krzywka przechodził wtedy jakąś obrzydliwą infekcję z nieżytem. Patrząc na pociągającego nosem nauczyciela, pierwszy raz w życiu poczułem prawdziwie natchnienie.

Przed wejściem do TDK-u stało dwoje pogrążonych w rozmowie kółkowiczów Nie pasowałem do nich, to pewne...

207

— Jeszcze nie zrezygnowałeś, Cynik? — zbulgotał na powitanie Barnaba, czyli chłopak nazwiskiem Kalibąbel.

Ten koleś mnie drażnił. Nie dość, że z wyglądu przypominał rzymskiego cesarza, to jeszcze z uporem godnym lepszej sprawy przekręcał moją ksywkę.

— Cynik, chi, chi! — uwieszona u jego ramienia długowłosa blondynka w malowniczo udrapowanym

zbyt obszernym berecie zaklaskała z podziwem.

Mile polechtany w swej próżności Kalibąbel wypiął dumnie pierś.

Mało mnie znał, łapserdak!

— Wyobraź sobie, że nie, mój drogi — powiedziałem słodko. — A tak między nami, Kalibąbel to od cesarza Kaliguli czy od zwykłych kałesonów, co? Poczekaj, już wiem! — ucieszyłem się. — To na pewno od kalarepy pastewnej! Jak mogłem nie skojarzyć... Widziałem /,f_ taką kalarepę pokrytą śmierdzącym parchem na polu w Bździkotach, kiedy zabłądziliśmy ze szkolną wycieczką w poszukiwaniu śladów kultury duchowej...

208

Dopiero się rozkręcałem, ale Barnaba był najwyraźniej mało odporny na stres.

— Błagam — jęknął — przestań już, Cyna! Nie chciałem cię urazić, prawda, Żula?

— Prawda, chi, chi! — zaśmiała się Żula.

Według mnie ten chichot zwiastował rychły upadek ich związku, bo żaden normalny chłopak długo czegoś takiego nie wytrzyma.

— Nikogo więcej nie ma? — nagle zaniepokoiłem się, mając na myśli oczywiście Natalkę. — Przecież jest prawie pięć po dziewiątej.

— Już weszli, bo są, jak by to powiedzieć... punktualni — Kalibąbel spojrzał na mnie znacząco.

— Jak to? — zachnąłem się. — A wy?

— My chcieliśmy porozmawiać tak... wiesz... sam na sam — wyjaśnił, pociągając nosem, wrażliwy na krytykę chłopczyzna.

— No, sam na sam, chi, chi! — potwierdziła Żula, naciągając beret na uszy. Wyglądała teraz naprawdę komicznie.

Miałem wielką ochotę pacnąć Kalibąbla w ten szlachetny nochal. Dowcipniś się znalazł!

Jasno oświetlony korytarz udekorowany był amatorskimi rzeźbami, obrazami i oprawionymi w ramki wierszami przepojonymi liryzmem i melancholią, jak na przykład ten, przy którym często się zatrzymywałem. Nosił tytuł Bodaj się...

209

Bodaj się rok już znamy, ukochana! Bodaj się rok już przecież spotykamy, A mimo wszystko miłość przez nas tkana Bodaj się mówi, że się wszak nie znamy...

Zadałem sobie fatygę i policzyłem, że w całym utworze, podpisanym przez jakiegoś Adriana Honoriusza Wątrobę, występuje siedemnaście „bodajsiów”. Nie do końca zrozumiałem, co właściwie poeta chciał mi przekazać, ale z pewnością był fachowcem w zakresie „bodaj siowania” wierszy

Już na korytarzu usłyszałem piskliwy głos pani Marcjan-ny, plastyczki z wykształcenia i z zamiłowania.

— ...takich abstrakcjonistów będziemy dzisiaj naśladować. Zgoda? Zgoda! — swoim zwyczajem odpowiedziała sama na własne pytanie.

Starając się nie zwracać na siebie uwagi, wszedłem do sali przygarbiony. Ścisłej mówiąc, schyliłem się tak nisko, że zobaczyłem nawet drepczącą po ceglanej podłodze zbłąkaną mrówkę.

Byłem już bardzo blisko mojego stolika, gdy instruktorka zauważyła, że się skradam, i wrzasnęła:

— Janek, co ty tam robisz?!

Pech chciał, że przemieszczałem się akurat pod ustawionym na trzech nóżkach drewnianym blatem z pozostawionymi do wyschnięcia glinianymi naczyniami, które w pocie czoła wykonali adepci garncarstwa z wczorajszego kursu o nazwie: „Nie święci garnki lepią”.

Rzeczywiście, tych garnków nie lepili święci, bo kiedy

210

spłoszony nagłym okrzykiem podniosłem głowę, uderzony od spodu blat podskoczył i wszystkie prace gruchnęły na posadzkę, zamieniając się w żalostną kupkę wilgotnych skorup.

— Dzień dobry! — jęknąłem, masując rosnącego w zawrotnym tempie guza. — Przepraszam za spóźnienie, ale...

Pani Marcjanna najpierw ze świstem wciągnęła powietrze, a potem zamarła, i już tak została. Na moje szczęście wciąż jeszcze żyła, ponieważ widziałem, jak trzepocze rzęsami.

— M-mogę je posklejać! — Choć oferta była zupełnie nedorzeczna, nikt się nie roześmiał.

Rzuciłem okiem na Natalkę. Siedziała zarumieniona, nie wiem tylko, czy z przejęcia, czy też ze wstydu.

— Posklejać? PO-SKLE-JAĆ?! Ty marny... - pani Marcjanna wypuściła ze świstem powietrze, szukając właściwego słowa. — Ty podły dewastatorze! Nieukończonego dzieła NIGDY nie da się naprawić! Wiesz, co to jest niepowetowana strata? Nie wiesz!...

— Wiem — oświadczyłem. — Niepowetowaną stratą była strata bramki w meczu z Koreą podczas mistrzostw świata.

Plastyczce chyba nie o to chodziło. Zdjęła z ramion kwiecistą chustę i rzuciła ją na skorupy.

— Nie mogę na nie patrzeć — załkała. — Ty tego nie czujesz, więc pleciesz bzdury, Janeczku.

Sztuka jest niepowtarzalna, rozumiesz? UNIKATOWA! — po policzku pani Mar-cjanny spłynęła maleńka łezka.

— Te zdeformowane gary były unikatowe? — mruknąłem. — Proszę się nie martwić, w przedszkolu ulepią pani ładniejsze z plasteliny.

211

Moje pocieszenie nie przyniosło kobiecie spodziewanej ulgi.

— Siadaj! — wskazała mi palcem stolik za Natalką. — Gdyby nie to, że obiecałam wydobyć z każdego z was ukrytych malarzy, już dawno wyprosiłabym cię z sali.

Skwapliwie wykonałem polecenie instruktorki, sadowiac się na wskazanym miejscu, a pani Marcjanna podjęła przerwany wątek wykładu, starannie omijając wzrokiem przykryte chustą skorupy

— Cześć, Natała — szepnąłem dyskretnie.

Nie zareagowała, ale byłem pewien, że mnie usłyszała.

— O czym mowa? — kontynuowałem niezrażony. — Zdaj e się, że o abstrakcjonistach, tak? Dziewczyna drgnęła leciutko. Już była moja...

— Wiesz co, ja w zasadzie również jestem abstrakcjonistą. Ojciec powiedział mi kiedyś, że abstrakcja to moje drugie imię...

— Zamknij się wreszcie — fuknęła Natalka, nie odwracając głowy. — Tylko wstyd mi przynosisz!

— .. weźcie farby i spróbujcie namalować swoje emocje, komponując obraz w myśl zasad abstrakcjonizmu — głos instruktorki przywrócił mnie do rzeczywistości.

— Dobrze, Natała, pogadamy później — powiedziałem. Wzruszyła ramionami.

Rozłożyłem arkusz brystolu, przyniosłem kilka słoiczków z farbami, po czym usiadłem, wpatrując się bezmyślnie w papier. Upłynęła dłuższa chwila, a ja nawet nie zacząłem malować.

212

— Piękna abstrakcja, Cyna, doprawdy nieskazitelna — ironizował Kalibąbel, nachylając się nade mną w udawanej zadumie. Przez to gapienie się w papier nie zauważyłem jego nadejścia.

— Widzisz, Żula, nasz kolega odkrył nowy nurt w malarstwie.

— Nowy nurt, chi, chi! — zgodziła się z nim chichotka.

— Jak go nazwiesz? — zastanawiał się głośno Barnaba.

— Może „pustkoizm”?

— Pustkoizm za chwilę zapanuje w twojej szczęce, łama-go — zagroziłem, wstając. Sięgałem mu ledwie do podbródka, ale nie przypuszczałem, by podjął wyzwanie.

— Przecież żartuję — spanikował. Przeczucie mnie nie myliło: ten prowokator był zwykłym mięczakiem. — Pracuj sobie, pracuj...

— Tak, tak, pracuj, chi, chi! — tym razem śmiech Żuli nie brzmiał jednak zbyt przekonująco.

Odeszli, a ja rozejrzałem się po sali. Wszyscy dookoła malowali zawzięcie, wypełniając swoje arkusze barwnymi plamami. Pomyślałem, że w końcu nie jestem gorszy — też potrafię stworzyć coś bezsensownego, na przykład kompozycję nakładających się na siebie odcisków pędzla.

W połowie tworzenia abstrakcji wyłysiał mi pędzel, wiedziałem jednak, że Natalka zawsze przynosi ze sobą kilka zapasowych. Przypadkiem zyskałem też znakomity pretekst do ponownego nawiązania rozmowy

Ńie zwlekając, szturchnąłem dziewczynę w łokieć.

— Pożycz mi...

Przestraszona Natalka odwróciła się gwałtownie, trącając ręką pojemnik z szaro zabarwioną wodą, i optymistyczny

213

przed chwilą obraz kolorowej tęczy pokryły dziesiątki mokrych, rozlewających się kleksów, zamieniając go we łzawy i ponury pejzaż.

— O matko! — krzyknęła.

— Nie chciałem, Natała, uwierz mi, że nie chciałem — wymamrotałem nieszczęśliwym głosem. — Powycieram...

Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem chustkę, a pierścionek Teresy Trombollini potoczył się po

stoliku. Natałka natychmiast zapomniała o tęczy

— To dla mnie? Jaki śliczny! — zachwyciła się.

— N-nie — wyjąkałem zaskoczony — Bo widzisz...

— Jesteś kochany! — Z wpatrzonych we mnie oczu Natałki wyczytałem podziw i nagłą sympatię. To załatwiało sprawę.

— Pewnie, że dla ciebie. — Blask jej oczu najwyraźniej pomieszał mi w głowie. — Przymierz. Pasował jak ulał.

— Po zajęciach możemy wybrać się razem do miasta. Poniesiesz moją torbę — uśmiechnęła się promiennie. — Jest strasznie ciężka.

Te słowa nieco mnie otrzeźwiły. Dźwiganie torby nie jest spodziewaną nagrodą za pierścionek z brylantem.

— Masz to jak w banku — obiecałem jednak. — Na pewno pójdziemy razem.

Zrozumiałem, że muszę okraść Natałkę — w przeciwnym wypadku napytam nam obojgu biedy.

214

Rozdział 20.

Dziewczyna przez półtorej godziny

Do końca zajęć z malarstwa siedziałem jak na szpilkach, z niepokojem zerkając na ozdobiony łupem Podjadka palec Natałki. Kiedy w końcu pani Marcjanna oceniła nasze prace i obwiesiła nimi (za wyjątkiem mojej) ścianę pracowni, plan odzyskania pierścionka był już gotowy

— Niestety, Janku, twoja praca, hmm... niezbyt mieści się w założeniach abstrakcjonizmu. Żeby być bliższą prawdy... właściwie nie mieści się w założeniach żadnego z nurtów. Jest po prostu...

— Żałosna? — podpowiedział Kalibąbel, obdarzając mnie pogardliwym spojrzeniem skończonego artysty

— Powiedzmy, że raczej niedojrzała — złagodziła plastyczka.

— Mhm... — skwitowałem i podniosłem torbę Natałki. — Chodźmy, maleńka... — nadałem głosowi głębokie brzmienie — .. tutaj nie ma dla nas miejsca!

Gdyby nie mutacja, zabrzmiałoby to bardziej damatycz-nie.

— No, ale przecież... — Natałka nie wiedziała, jak powinna się zachować. Popatrzyła na instruktorkę. — Przecież mamy robić gipsowe odlewy, prawda?

215

Pani Marcjanna, zaskoczona moją arogancką beztróską, jedynie zatrzepotała rzęsami.

Trzeba kuć żelazo, póki gorące, bo dziewczyna pewnie zaraz pochwali się komuś „prezenterem" i dopiero będzie wesoło. Aż dziw bierze, że powstrzymała się do tej pory.

— Na dzisiaj zakończyliśmy występy, proszę szanownej publiczności — ukloniłem się wszystkim nisko.

Moja świeżo pozyskana partnerka nie podchwyciła jednak wątku.

— A wie pani, że Janek dał mi... — zaczęła, ale chwyciłem ją za rękę, zmuszając do wstania.

Właśnie taki obrót sprawy przed chwilą wykrakałem.

— Nie martw się, kupię ci u Czkawki cały worek gipsu, a jeśli zechcesz, nawet i tysiąc worków. Będziesz mogła odlać... czy ja wiem? Wieloryba na przykład. No, chodź już! — ponagliłem.

— Zajęcia się jeszcze nie skończyły! — Natałka wyrwała dłoń z uścisku. Miłość do pierścionka walczyła w niej z miłością do sztuki, a ja nadal dla niej nie istniałem.

Ogarnęła mnie nagła, dręcząca tęsknota za Anią Piętak. „Jednak jestem durniem — ba, jestem mistrzem świata w durności" — pomyślałem. Mimo wszystko musiałem brnąć dalej.

— Trzymasz ze mną czy nie? — zapytałem szeptem, spoglądając wymownie na pierścionek.

— Tak naprawdę? — westchnęła, a jej spojrzenie stało się mroczne. — Pewnie, że trzymam.

— Skoro tak, to chodź — syknąłem.

'216

Instruktorza próbowała zrozumieć, o czym rozmawiamy. W końcu zmarszczyła gniewnie czoło.

— Przestaniecie wreszcie przeszkadzać? Dostyc tych szeptów. W towarzystwie nie wypada mieć tajemnic" — zacytowała punkt siedemnasty z Podręcznika dla bywalców salonów w pigułce autorstwa Gawła Ostoi. Rozpoznałem fragment, bo ojciec kiedyś bawił się w nauczyciela dobrych

manier i odpytywał mnie z tego poradnika na wrywki.

— Zgadza się, lecz nie dotyczy to towarzystwa Kali-bąblów oraz kalarep, proszę pani — odpowiedziałem, niecierpliwie wyciągając dłoń do Natalki. Ta wstała z ociąganiem.

— Przepraszamy, ale musimy już iść... — Patrzyła na plastyczkę, jakby prosiła ją o pomoc, lecz kobieta, zrażona moim zachowaniem, odwróciła się na pięcie. Przekaz był jednoznaczny: na kółku plastycznym nie miałem już czego szukać.

Szliśmy w milczeniu, choć ja właściwie nie odzywałem się z zupełnie innego powodu niż Natalka. Rozmowa mogła mnie niepotrzebnie rozproszyć. Poza tym, spocony, niczym wielbłąd dźwigałem jej ciężką torbę. Co ona w niej nosi? Kamienie?!

Mijaliśmy kolejne ulice, jednak żaden z przechodniów nie pasował do moich planów.

— Język straciłeś? — odezwała się nagle Natalka. — Jeśli mamy ze sobą chodzić, musimy o czymś rozmawiać.

— Tak — odpowiedziałem zdawkowo. — Na przykład?

217

— Na przykład o tym, skąd wzięłeś ten pierścionek. Chyba go nie ukradłeś?

Ubodło mnie nieco to podejrzenie, chociaż w zasadzie dziewczyna była bliska prawdy.

— Masz ciekawe podejście do chłopaków, Natała — stwierdziłem. — Zresztą, nieważne... Ojciec ostatnio dostał sporo kasy, więc szalejemy z zakupami — umilkłem, ponieważ z pobliskiego sklepu sportowego „Expandor” wyszedł rozradowany chłopak w stroju wędkarskim, z długim składanym wędziskiem na ramieniu. To był właśnie on — mój wybawiciel. Miałem dosłownie kilka sekund na realizację planu.

— Zamówiłem ten pierścionek z myślą o tobie. — Poprawiłem zsuwającą się z ramienia torbę, przyspieszając kroku. Szedłem teraz tuż obok Natalki, a wędkarz, przypuszczalnie dwunastolatek, był tuż-tuż. — Zobacz, co kazałem wygrawerować. .. — ze zdenerwowania dostałem zadyszki. Zaciekawiona dziewczyna przystanęła, zdjęła z palca pierścionek i spojrzała na niego pod światło.

— Giu.. .sep.. .pe — odcyfrowała z trudem. — Giuseppe?

— Co ty gadasz, jakie gjuzeppa? Pokaż no! — bezceremonialnie wyrwałem jej z ręki pamiątkę po Teresie Trombolini.

Przechodzący obok młody wędkarz omiół nas wzrokiem i na wszelki wypadek zacisnął palce na nowo kupionej wędze.

218

W jednej chwili chwyciłem chłopaka za łokieć i napałem na niego całym ciałem, jednocześnie podcinając mu nogi. Runęliśmy na chodnik.

— Rat... — próbował wezwać pomoc. Zakryłem mu usta dłonią, a on... najzwyczajniej w świecie mnie ugryzł.

— Spadaj! — jęknąłem. Potłuczone kolano paliło mnie żywym ogniem, podobnie jak trafiony rękojeścią wędki nos.

Ogarnięta paniką Natalka pisnęła, po czym zaczęła kopać na oślep. Zdaje się, że chciała mi w ten sposób pomóc.

— Zjeżdżaj, zafajdany ludożerco, bo zacznę cię lać! — warknąłem wędkarzowi do ucha.

Chłopak podniósł się z chodnika, dźgnął mnie jeszcze wędką w brzuch i uciekł, zataczając się niczym marynarz po zejściu na ląd. Natalka z wdziękiem rzuciła za nim wyciągniętym z torby wielkim kasztanem.

Odczekałem, aż uciekinier zniknie nam z oczu.

— Złodziej! — krzyknąłem, dramatycznie rozczapierzając pustą, ugryzioną dłoń. — Okradł nas, bandyta jeden! — Łapać złodzieja! — usłyszałem w odpowiedzi.

Jakiś wąsaty mężczyzna, ciągnący na smyczy pudła, biegł ku nam od strony kiosku z gazetami, a kilkoro przechodniów zatrzymało się, dyskutując wzburzonymi głosami.

— Policja! — zawołał wąsacz. — Zadzwoń po policję! Na rozmowę z policją nie mogłem sobie pozwolić, niestety

— Sami go dogonimy — sapnąłem.

Podniosłem torbę z kasztanami i pociągnąłem za rękę oniemiałą dziewczynę. Kolano zaprotestowało, lecz zacisnąłem zęby. Nieoczekiwana pomoc w osobach wąsatego obywatela oraz jego pudła ruszyła biegiem za nami.

— Tutaj, skręcił tutaj! — szarpnąłem Natalkę, wciągając ją w zaułek tuż za szarym budynkiem poczty.

— Skąd wiesz? — zapytała zdyszana. — Według mnie pobiegł prosto, chyba na osiedle Obrońców!

— Ciiiicho — dałem jej znak, żeby umilkła.

Oparliśmy się o pomazaną sprayem szorstką ścianę. Odgłosy tupotu nóg i skomlenia ciągniętego na smyczy psa po chwili umilkły.

— Nieważne, dokąd pobiegł — zipnąłem. — I tak go nie dogonimy. Mam potłuczone kolano...

— Co mnie obchodzi twoje kolano? On ukradł MOJ pierścionek! — Na zarumienionych od biegu policzkach dziewczyny pojawiły się blade plamy, sygnalizujące oburzenie. — Przez ciebie, ty... ofermo! Masz go odzyskać, jasne?!

Moje podejrzenia co do prawdziwych sympatii Natalki potwierdziły się, niestety

— Szczremu uczuciu nie potrzeba dowodów — bąknąłem, zwieszając głowę.

220

— Bez pierścionka możesz się kazać wypchać sianem! Albo go odzyskam, albo koniec z nami! Teraz Natalia nie wydawała mi się już aniołem. Bardziej przypominała wiedźmę, nawet nos się jej chyba wydłużył i lekko zakrzywił.

— Koniec z nami? — upewniłem się.

— Tak, koniec z nami! Bierz torbę, chcę wracać do domu! — rozkazała urażona, wyniośle przeciągając samogłoski. Dobiła mnie tą sztuczną egzaltacją, bo nienawidziłem udawania.

— Nigdy nie było NAS, zapamiętaj to sobie — odpowiedziałem zduszonym głosem. — A do dźwigania kasztanów dla młodszych braci znajdź sobie innego frajera! Pa, pa! — pomachałem jej, odchodząc z gorzkim uśmiechem na ustach.

Prawdopodobnie już na zawsze zachowam w pamięci obraz opartej o ścianę, zaskoczonej Natalki Omiłko — dziewczyny, z którą chodziłem półtorej godziny.

Wracając do domu, ścisnąłem w dłoni odzyskany pierścionek i wciąż nie miałem pojęcia, jak się go pozbyć.

Kiedy zobaczyłem pana Karola naprawiającego swoją furtkę, wpadłem w panikę. To prawdziwy pech, mieć kogoś takiego za sąsiada. Przywarłem do ogrodzenia — może weźmie mnie za cień albo za przywidzenie?

Nic z tego...

— Dzisiaj malujesz — przypomniał mi i wstrzyknął w dziurkę od klucza nieco smaru w aerozolu.

221

— Dzień dobry! — ukloniłem się starym zwyczajem. — Tak, tak, pomaluję, tylko jeszcze nie teraz. Muszę... muszę się przebrać w takie... ubranie malarskie!

Pan Karol przyjrzał mi się nieufnie.

— Kupiłeś farbę?

— He? — W tego typu sytuacjach najlepiej zmylić przeciwnika, odpowiadając monosylabami.

— Nie kupiłeś, tak myślałem... — zabrzmiało to podejrzenie spokojnie.

— Zaraz kupię, właśnie się wybierałem. Pamiętam, że ma to być zielone „Pampikollo” i pędzel! Czy też może bez pędzla? — zastanowiłem się, kombinując, jak by tu czmychnąć do domu.

Pan Karol schylił się, po czym wyjął z reklamówki puszkę zielonej farby

— Trzymaj, rozliczę się później z twoim ojcem. — Teraz zrozumiałem, na czym polegał podstęp.

— Mnie nie oszukasz, za stary wróbel jestem, synku.

— Aha — jęknąłem i podszedłem niechętnie. Na wręczonej mi puszcze namalowane było ociekające farbą słoneczko, a nad nim widniał kolorowy napis „Pędzel Color”. — Jak tam krety, udało się panu któregoś upolować? — zapytałem, otwierając drzwi.

— Kulejesz czy mi się tylko wydaje? — odpowiedział mi pytaniem, krzywiąc się przy tym nieznacznie.

Był to drażliwy temat, więc wymamrotałem coś niezrozumiale i czym prędzej zniknąłem sąsiadowi z oczu.

W przedpokoju przywitał mnie wyraźnie znudzony ojciec.

222

— Jedziemy na grzyby — ziewnął, wskazując głową stojące na podłodze wiklinowe kosze.

— Teraz? Teraz nie mogę, muszę malować — broniłem się, zaskoczony

— Pomalujesz, kiedy wrócimy. Do wieczora zdążysz bez trudu — zapewnił. I raczej nie żartował.

— Ta twoja pani Marzanna, czy jak jej tam, miała wydobyć z ciebie malarza, więc nie widzę problemu — dodał, ubierając kalosze.

— Jak to, a obiad?! Ja bez obiadu nie ruszam się z domu! — zaprotestowałem.

— Bierzymy kanapki i ciepłą herbatę z sokiem malinowym. — Z kuchni wyszła mama, zakręcając termos. Przyjrzała mi się z troską. — Dlaczego masz spuchnięty nos? Biłeś się?

Odruchowo dotknąłem twarzy i westchnąłem.

— Na pewno nie było żadnej bójki — odpowiedziałem z przekonaniem. — Po prostu się uderzyłem. Przypadkiem.

— Dłoń też masz skaleczoną — w mamie odezwał się detektyw. Gdyby miała lupę pod ręką, z pewnością już by mnie przez nią oglądała.

— Aaa, to ten... tego... straciłem gliniane naczynia w pracowni i jakoś tak się nieszczęśliwie złożyło... Tak po prostu jedziemy na grzyby? — zmieniłem szybko temat, stosując manewr podpatrzony u pana Karola. — O tej porze już pewnie wszystkie są wyzbierane.

Co tu kryć, nie miałem ochoty na łażenie po lesie, kiedy mój świat wali się w gruzy. Ale mama miała poważny argument:

223

— Krzys jest trochę mizerny, niech się nawdycha świeżego powietrza...

— Po drodze wstąpimy na frytki albo na kielbaski z grilla! — uszczęśliwiony Glut wyjrzał ze swojego pokoju. W żółtej ortalionowej kurtce i w niebieskich gumowcach wyglądał całkiem krzepko.

— Niech wam będzie — poddałem się, znużony.

Jeżeli los wyzywa mnie na pojedynek, powinienem nabrać sił i przegrupować szyki, prawda?

224

Rozdział 21.

Ostępy i podstępny

Postanowiłem zakopać pierścionek w lesie — tak po prostu. Zauważyłem przy okazji, że najbardziej genialne pomysły rodzą się przypadkiem. Zakopię więc pierścionek i wmówię sobie, że nigdy nie istniał.

Las przywitał mnie znajomym zapachem mokrego igliwia, pleśni oraz czegoś, czego nigdy nie potrafiłem wyrazić słowami. Na własny użytek nazwałem to „lesistością”.

Ledwie weszliśmy między drzewa, już przestaliśmy istnieć jako rodzina, stając się rywalizującą gromadą zapamiętałych grzybiarzy. Niepisany kodeks Racyniaków głosił, że ten, kto znajdzie pierwszego grzyba, zostaje królem grzybobrania. Jeżeli nie da się udowodnić, kto był pierwszy, decyduje wielkość łupu. W tej grze wszystkie chwytaki są dozwolone, łącznie z wodzeniem na manowce i omamianiem.

Ojciec z Glutem zaraz zniknęli w porośniętym ostrą trawą rowie, w którym podobno można było znaleźć kryjące się przed ludzkim wzrokiem podgrzybki. Było to „ich” miejsce i tylko oni mieli prawo do niego zaglądać. Mama zaszyła się w młodniku, gdzie — jak twierdziła — można zebrać wiadro maślaków; ja natomiast zostałem na polanie, grzebiąc krzywym kijaszkiem w ściółce. Nie wiem dlaczego, ale zawsze

225

miałem nadzieję, że natknę się na jakąś wielką kolonię prawdziwków — albo chociaż kurek — i w parę minut napelnę cały kosz.

Zaglądałem to tu, to tam, lecz przytrafiło mi się jedynie solidne strzyknięcie w plecach, nie licząc czterech zawrotów głowy. W końcu się poddałem. Niech sobie wygrywa, kto chce — ja straciłem

ambicje.

Przyjrzałem się pierścionkowi i stwierdziłem, że są na nim ślady palców. Gdyby go teraz zbadała policja, oboje z Natal-ką trafilibyśmy prosto do paki. Ciekawe, czy po na przykład dwustu latach dałoby się nas jeszcze zidentyfikować na podstawie odcisków palców? Chociaż właściwie nie ma się czym przejmować, bo za dwieście lat będę już starym, wymachującym laską sklerotykiem i z powodu kłopotów z pamięcią do niczego się nie przyznam.

Powiniennem zakopać pierścionek w miejscu, do którego mógłbym kiedyś trafić bez zaznaczania go na mapie i temu podobnych ceregieli. Kryjówka pod starym dębem jest zbyt oklepana — wszyscy poszukiwacze skarbów kopią pod starymi dębami; zresztą w pobliżu nie rośnie żaden. Przyszło mi do głowy, że najlepiej będzie ukryć pierścionek pod omszałym kamieniem. Wystarczy tylko zapamiętać, gdzie on leży. Problem w tym, że o ile zwykłych głązów było w okolicy pod dostatkiem, o tyle omszałe kamienie stanowiły tutaj towar deficytowy

Postanowiłem wejść głębiej w las. Zaraz za pochyloną ze starości brzozą natknąłem się na zamieszkałą — sądząc po poniewierających się wszędzie piórach i zmiążdżonych kościach

226
— lisią norę. A gdyby tak wrzucić pierścionek do nory? „Lis pewnie nie miałby nic przeciwko temu” — roześmiałem się w duchu i jednocześnie przeraziłem, bo niespodziewanie w moje nozdrza uderzył zapach pieczonej kielbasy

Padłem na ziemię i natychmiast tego pożałowałem, bo stłuczone kolano od razu zabolало mnie mocniej. Jęknąłem.

— Ty, słyszałeś to? — zaniepokoił się ktoś znajdujący się niedaleko mojej kryjówki.

— Że co?

— Coś stęknęło normalnie, jakby zwierzak jakiś albo niedźwiedź. — Ta osobliwa gramatyka kojarzyła mi się z pewną osobą. Nadstawiłem ucha.

— Stęknęło, jęknęło, stęknęło, a nie stęknęło. Mówisz jak menel spod sklepu z tanim winem, wstyd się z tobą zadawać. Mówię ci, Kalafior, nic tu nie stęka, bo ani zwierząt, ani innych niedźwiedzi nie ma w okolicy. Wszystkieśmy przepłoszyli, he, he!

A to się wpakowałem w kabałę! W popłochu próbowałem zakopać się w ściółce, jednak jej warstwa była za płytka; zadarł mi się za to paznokcie, którym zawadziłem o wystający korzeń rosnącej w pobliżu młodej sosenki. Wiedziałem już, że mam pecha, ale żeby aż takiego?

— Zgłodniałem, Duda. W lesie zawsze robię się głodny jak pies — jęknął Kalafior.

— Ja też. Sprawdź kielbasę, może już się upiekła — zarządził Duda. — I co?

— Jeszcze... jeszcze jest trochę surowa, ale kapie tłuszczem i właściwie...

227

— Jak może być surowa, głąbie, przecież pan Bolek dał nam dwa kilo śląskiej, a śląska nie jest surowa! — obruszył się Duda, a mnie, na przekór niebezpieczeństwu, pociekła ślinka na myśl o chrupiącej skórce opiekanej w ognisku kielbasy

— No to nijak nie może, bo nie jest — zgodził się Kalafior. Po chwili milczenia odezwał się ponownie:

— Przypalimy, co? Częstuj się, Duda.

— Ostatnim się nie częstuje, sam nie będziesz miał — krygował się Duda.

228

— E tam, mam jeszcze jedną paczkę, bierz! Zaszleściło, a po chwili obok mojego nosa wylądował pognieciony kartonik po „Hutnikach”. Może i był to znak niebios, żebym się wynosił, jednak w porę tego nie zrozumiałem. I w sumie dobrze się stało.

— Aspropos Bolka, coś sobie pomyślałem, Duda — Kalafior zaciągnął się dymem i zakaszłał.

— Nie przechwalaj się, tylko gadaj!

— No bo ściga nas gliniarnia, nie?

— Być może, tak twierdzi szef — zgodził się Duda, a ja zadrzałem, trochę z emocji, a trochę z zimna, ciągnącego od wilgotnej ziemi. Pewnie się przeziębę, jeżeli w ogóle przeżyję to grzybobranie.

— No i przez niego...

— Nie przez niego, ale przez tego postrzępionego jęzora Podjadka! Łajza, najpierw cię oskubał z pierścionka, którego miałaś zresztą nie mieć, a potem opowiada pałkowym, kogo tak pięknie załatwił. Ma pomagiera, śmieciarz. Czytałem w gazecie. Jak się to skończy, trzeba będzie im obu załatwić pożegnalną kąpiel w Odrze, he, he! — zabrzmiał ponury śmiech.

Najpierw oblało mnie gorąco, a w chwilę potem poczułem chłód, jakby zimne palce kostuchy zacisnęły się na mojej szyi. Jednak bujna wyobraźnia to fatalna przypadłość.

— A może gdyby nie pan Bolek, nie siedzielibyśmy teraz w lesie jak te dziki, tylko, na ten przykład, szkoły byśmy pokończyli i byli magistrami albo nawet tymi, no, maturzystami?...

229

— Zgarnął nas z ulicy, sklerotyku! — warknął rozeźlony Duda. — Jakie szkoły, przecież nie chciało nam się nawet do podstawówki chodzić, już zapomniałeś? Ja to chociaż prasę czytam, a ty, baranie, gazetę sobie kładziesz pod tyłek na meczu, jak ławka jest mokra! Dawaj kielbachę, już się zaczyna palić — dodał łagodniej.

Spod kępy mchu wylazła ciemnobrązowa szczypawka, która zainteresowała się moją twarzą. Słyszałem od babci Kostka, że szczypawki potrafią wwiercić się człowiekowi do ucha, więc kiedy wygięła odwłok, ochoczo poruszając szczypcami, przeczołgałem się dalej i spojrzałem w dół urwiska.

W rozległym wykrocie, przy powalonym próchniejącym dębie, stał niewielki zielony namiot zamaskowany gałęziami. Duda siedział na rozkładanym wędkarskim taborecie, a Kalafior kucał z nożem w rękę nad turystycznym grillem, usiłując wyciągnąć rozpadającą się kielbasę.

— Tak czy siak, ugrzęźliśmy na amen w tych ostępach — narzekał pryszczaty. — Co będzie w zimie? I w ogóle co będzie?

— Nic nie będzie — uspokoił kolegę Duda. — Rodzisz tę kielbasę czy jak? Mdli mnie już od czekania.

„Żebyś wiedział, jak mnie mdli tu, na górcie” — jęknąłem w duchu. Szczypawka dotarła w poblizę mojej ręki, próbując wleźć do rękawa. Strząsałem ją z obrzydzeniem.

— Kielbasa to kielbasa, a my to my — Kalafior podał kompanowi papierowy talerz z wielką pajdą chleba i kawałkiem śląskiej. — Lepiej być wolnym snajperem niż słuchać jakichś Bolków.

230

— Wolnym strzelcem, jeśli już — poprawił go Duda i syknął, gdyż gorąca skórka kielbasy poparzyła mu język. — Chorące, chlach by cho chrafił! — wybełkotał, wachlując dłonią usta. — Co ty mi tu, Kalafior, właściwie imputujesz? — zapytał po chwili.

Kalafior popatrzył na swojego chudego kompana i przybrał poważny wyraz twarzy.

— Amputuję ci taką jedną rzecz, Duda. Mianowicie zwieźmy na Białoruś, do Lidy konkretnie, bo mam tam rodzinę. Urządźmy się jak te pączki w marmoladzie.

— Mhm, a żyć będziemy z pisania pamiętników, zwłaszcza ty, analfabeto — zdenerwował się Duda. Wyciągnął nóż i przyłożył go Kalafiorowi do grdyki. — Oprócz tych majchrów nie mamy nic, kapujesz?

— Nie mamy? — Kalafior odsunął rękę Dudy, mrużąc przy tym oczy — Mamy całkiem sporo. Ćwierć miliona w złocie i w wyrobach mamy. Ot, co mamy!

— Kalafior, chyba nie chcesz...

— Obrobimy Bolka i damy nogę. Kulawy Skunks wyrobił nam lewe paszporty. Zobacz — sięgnął do leżącej na ziemi torby, pokazując Dudzie nowiutkie dokumenty.

Chudy wyszarpnął mu je z dłoni i zagwizdał.

— O cie kurteczka! Kalafior, ty... ty jesteś podstępny kawał drania!

— N00 — uśmiechnął się pryszczaty osilek. — Wszystko zaplanowałem, a co żeś myślał?

— Czekaj, czekaj... — zamyślił się Duda. — Dzisiaj w nocy Bolek gra w kasynie, tak? Gdybyśmy przyszli cichutko...

231

hmm... Ale przecież... choć właściwie czemu nie? Zostaw trochę kielbasy, będzie jak znalazł. Nie masz jakiejś trutki na szczury albo...

Poczułem piekące ukłucie na lewej łydce, skuliłem się więc i podciągnąłem niecierpliwie nogawkę.

Dwie wielkie czerwone mrówki konsumowały właśnie moją skórę, a z buta wychodziło kilka następnych. Zacząłem je strącać, lecz wówczas zmasowały atak, gryząc gdzie popadnie. Musiałem się ratować ucieczką.

Nie zważając na bliskość podnieconych nowymi planami na przyszłość bandytów, przeturlałem się na bok, waląc przy okazji łokciem w leżący tu pewnie od tysięcy lat przysypany liśćmi omszały kamień, a obezwładniający prąd przeszył mi ramię. Jak na ironię, właśnie takiego kamienia szukałem.

Podniosłem się chwiejnie i uciekłem, zanim dostrzegli mnie zaniepokojeni szelestami bandyci.

— Gdzieś ty się podziewał, moje dziecko?! — mama załamała ręce na mój widok. — Wyglądasz okropnie!

Rodzina czekała przy samochodzie, jedząc kanapki. Bagażnik był otwarty, zauważyłem więc, że mimo późnej pory nabierali całkiem sporo grzybów.

Popatrzyłem na swoje wybrudzone dłonie i ciemne wilgotne plamy na kolanach.

— Potknąłem się o korzeń — powiedziałem.

— Jakim cudem, przecież jest jasno? — zastanawiał się ojciec.

232

— Pewnie za dużo tu świeżego powietrza — westchnąłem. — Nawdychałem się i zakręciło mi się w głowie. Nie moja wina... — Wiele bym dał, żeby móc im o wszystkim opowiedzieć.

— Chcesz zobaczyć, ile grzybów nałowiliśmy z tatu-siem? — Glut pociągnął mnie za rękaw. — Podgrzybki i kurtki...

— Chyba kurki, co? — zaśmiałem się.

— Kurki i jedna kozia broda. To taki grzyb, co wygląda jak kalafior — paplał mały, a ja na dźwięk słowa „kalafior” dostałem gęziej skórki.

— Gdzie twój kosz? — dociekał ojciec.

— Kosz? Jaki... Aaa, ten kosz! — rozpromieniłem się. — Zostawiłem go na następny raz, żeby nie wozić niepotrzebnie... — improwizowałem. Chyba nie każe mi teraz szukać kosza?

Jednak kazał:

— Nie gadaj bzdur, tylko zasuważ, bracie, po kosz. Za chwilę odjeżdżamy.

Z duszą na ramieniu wróciłem do lasu. Przewrócony kosz leżał tam, gdzie go zostawiłem, czyli w pobliżu lisiej nory. Zęby było śmieszniej, obok kosza rosły cztery pękate borowiki o mięsistych brązowych kapeluszach. To jest właśnie przykład sławetnej ironii losu.

Gdybym nie wiedział, że w pobliżu urządziło sobie obozowisko dwóch przestępców, mógłbym się teraz napawać śpiewem ptaków, ukrywających się w gałęziach drzew, albo podziwiać piękno rozłożystych starych drzew. Jednak jedyne,

233

co mnie w tej chwili interesowało, to rychłe zakończenie tej niebezpiecznej wyprawy

Do domu dotarliśmy około drugiej po południu. Zaraz przebrałem się w sprane dżinsy i poplamiony smarem garażowy fartuch ojca. Rozłożyłem pod siatką gazety, otworzyłem puszkę z farbą, zamieszałem ją porządnie ułamaną z czereśni gałązką, zanurzyłem pędzel w farbie i... lunęło.

Deszcz był tak i rześisty, jakby niebo chciało zmyć wszelkie brudy z tego świata. Zanim zdołałem wszystko sprzątnąć, przemokłem do nitki.

Zrozumiałem, skąd ten niespodziewany deszcz: pani Mar-cjannie nie udało się wydobyć ze mnie malarza, a jako nie--malarz, nie miałem prawa niczego malować. Logiczne.

234

Rozdział 22.

Noc pełna wrażeń

Niedziela minęła jak z bicza trząśł. Przed oczyma przesuwały mi się obrazy obiadu z grzybami duszonymi w cebuli i śmietanie, stert podręczników, pośpiesznie kartkowanych w pozornym przygotowywaniu się do zajęć na następny tydzień, nieudanych prób nawiązania kontaktu z Kostkiem, który jak zwykle w niedzielę wyłączył komórkę, by nic mu nie zakłóciło

cotygodniowego seansu „oczyszczania myśli”, czy wreszcie dwukrotnej akcji ścigania Gluta za przestępstwa popolite, czyli za budowanie wieży z moich płyt i natarczywe dobijanie się do drzwi mojego pokoju.

Położyłem się spać niewiarygodnie zmęczony, przezornie nakrywając głowę poduszką. Teraz pomyłony Dyzio może szczekać, dopóki mu gardło nie wysiadzie.

Zasnąłem.

— Jan...

Cichy szept zmusił mnie do otwarcia powiek. Przy oknie majaczył niewyraźny cień.

Chciałem zapytać, o co chodzi, lecz nie potrafiłem poruszyć ustami — zupełnie jakby mi je ktoś posmarował klejem.

235

— Jaaan... — tym razem szept zabrzmiał upiornie, a cień wyciągnął rękę. Wyglądał jak utworzony z mlecznobiałej lekko przezrzystej mgielki. To chyba nie był cień.

— Oddaj, Jan... oddaaaj... — Kobieca postać w długiej, ozdobionej koronkami czarnej sukni podpłynęła bliżej. Jej twarz skrywał żalobny welon.

— Bbabbee oot? — wykrztusiłem. Miało to znaczyć: „Ale co?”.

— Jan, oddaj... oddaj... oddaj... — docierały do mnie urywane fragmenty wypowiedzianego grobowym głosem żądania.. — ...tęsknię...

Biała dłoń zbliżyła się do mojej twarzy i poczułem powiew chłodu. Spróbowałem wstać, jednak moje nogi zignorowały rozkaz przerażonego mózgu.

— Giuseppe... tęsknię...

Wstrząsnęły mną dreszcze. Oto mam przed sobą stęsknionego ducha Teresy Trombollini, która przysłała do mnie po swój pierścionek! Wreszcie się dograłem...

— Ytee yy eekh? — załkałem pewien, że za karę upiór wyssie mi krew. Gdybym mógł się poruszyć, od razu oddałbym jej własność.

Duch kobiety uniósł się pod sufit. Ze zgrozą patrzyłem, jak przez jej pierś przenika ramię żyrandola, a pozbawiona dopływu prądu żarówka migocze i buczy basem.

Nagle duch poszybował w moim kierunku.

— Jaan, oddaj... oddaaaj... — jęczał, zataczając nade mną szerokie kręgi. Mglista dłoń dotknęła welonu i w mrocznej czeluści ujrzałem błękitne, cierpiące oczy.

236

Usiadłem na łóżku, wpatrując się w ciemność, rozpraszana słabą poświatą księżyca. Puk-tuk-tuk!

Puk-tuk-tuk! — pukało coś pośpiesznie, strachliwie i głośno. Puk-tuk-tuk! To moje serce.

W pokoju byłem sam, chociaż... Moją uwagę przykuł nieznaczny ruch w okolicy drzwi. Spojrzałem na klamkę i gotów byłbym przysiąc, że drgnęła.

Kimkolwiek był ktoś stojący za drzwiami, próbował wejść bez pozwolenia, a to niewybaczalny błąd. Uśmiechnąłem się złośliwie.

— Poczekaj no, Krzysieńku, już ja ci wycisnę ten ogłu-cony nochał, że nie nastarczysz chusteczek

— mruknąłem, ciągle jeszcze rozdygotany po przeżytych przed chwilą koszmarze.

Przyskoczyłem do drzwi i szarpnąłem klamkę, a wtedy pokój zawirował, zalany oślepiającym blaskiem. Osłoniłem

dłońmi obolałe oczy, lecz blask

237

mur trombolińskiego urzędu pocztowego, a przede mną stały, trzymając się za ręce, Natalka i Ania.

— Jesteś łobuzem, Cyna! — krzyknęła Natalka. — Mieliliśmy ze sobą chodzić, a ty mnie oszukałeś!

— Ale ja... właściwie... — zabrakło mi słów. Nie widziałem, jak mam się bronić.

— Nieładnie, Cyna — powiedziała Ania z wyrzutem. — Myślę o tobie, ciągle myślę o tobie. Jesteś złym człowiekiem, Cyna. Jesteś cyniczny.

— Ja też... też o tobie myślę — wychrypiałem, bo zaschło mi w gardle.

— Skrzywdziłeś mnie, Cyna! — nie ustępowała Natalka. — Zostawiłeś tutaj jak niepotrzebną rzecz!

— Myślę o tobie bez wytchnienia, Cyna. Nienawidzę cię! — Ania patrzyła na mnie, lecz to nie

nienawiść wyczytałem z jej oczu. Przeciwnie...

Nie wiadomo skąd, w dłoniach Natalki pojawiła się olbrzymia biała poduszka.

— Co masz zamiar zrobić? — spytałem zaniepokojony. Dziewczyny podeszły i przycisnęły mnie poduszką do

ściany. Zacząłem tracić oddech. Nadludzkim wysiłkiem odepchnąłem je od siebie...

Siedziałem w pościeli, a za oknem ujadał Dyzio — szalony pies sąsiadów. Właściwie sąsiada, bo pani Maryli nie widziałem już chyba od miesiąca.

Postanowiłem rozprawić się z Dyziem, bo choć to nie jego wina, że moje okno wychodzi na ogród, to jednak nie

238

powinien tak hałasować. Ostatecznie należy mi się spokojna noc, jak każdemu porządnemu obywatelowi. Po namyśle uznałem, że jeżeli kiedyś opiszę te wydarzenia, usunę słowo „porządnemu” jako niezbyt adekwatne.

Nie zapalając światła, ubrałem się, ostrożnie otworzyłem okno i wskoczyłem na parapet. Pies ciągle ujadał. Nie interesowało mnie, czy szczeka na kreta, na jeża, czy na statek kosmiczny — dam mu taką nauczkę, że straci cały rezon.

Przełożyłem nogi za okno i kołysząc się bezwładnie, zawisłem po drugiej stronie. Teraz ogarnęły mnie wątpliwości.

Próbowałem sobie przypomnieć, jak wysoko od ziemi znajduje się moje okno, i doszedłem do wniosku, że około dwóch metrów. To oznaczało, że lot będzie krótki.

Zamknąłem oczy — chociaż właściwie nic to nie mogło zmienić, bo i tak z powodu ciemności niewiele widziałem — puściłem parapet i podkurczyłem nogi. Lot rzeczywiście był krótki. Za to przejmujący ból w kolanie unieruchomił mnie na dłużej. Jeżeli dalej tak będę dbał o własne ciało, skończę jako inwalida.

Szczekanie Dyzia przechodziło wszelkie granice, co pobudziło mnie do refleksji na temat zależności stopnia wszechyanego hałasu od wielkości psa. W wolnej chwili będę musiał rozważyć ten problem. W więzieniu ma się podobno sporo wolnego czasu...

Kryjąc się za krzakami porzeczek, podkradłem się do ogrodzenia i natychmiast przypadłem do ziemi. Cuchnęła obornikiem, lecz był to nieistotny problem, jak się zaraz okazało.

239

Między jabłonią sąsiada majaczyły dwie ciemne sylwetki. Początkowo wziąłem je za strachy na wróble — bo znając pana Karola, mógł z nudów jakiegoś sklecić — lecz nagle błysnął płomień zapalniczki i na wysokości głów domniemanych strachów rozżarzyły się ogniki papierosów.

— I co, chyba go nie ma, Duda? — Ta ksywa momentalnie unieważniła plany kampanii przeciwko Dyziowi. Obecność bandytów w ogrodzie pana Karola była najwyraźniej jakimś nieporozumieniem; przecież sam słyszałem, że mają okraść Bolka, swojego szefa. Czyżby robili sobie rozgrzewkę jak sportowcy?

— Ten kundel mnie wnerwia, Kalafior, zrób coś z nim — mruknął ukryty w cieniu Duda. Żar papierosa zatoczył kółko, znacząc ślad gestykulacji chudzielca.

— Znaczy się co? — Teraz drugi ognek zakreślił artystyczny zygzak.

Żarzące się końcówki papierosów tańczyły niczym świetliki. Świetliki? A niech to...

— Jesteś głupi czy tylko udaj esz? — zapytał Duda niecierpliwie. — Kielbasę wziąłeś?

— Kielbasę wziąłem... tego... tak jakby — chrząknął zapytany i zaraz dodał — Mnie się coś widzi, że nie trafiliśmy, gdzie trzeba.

— Bo?

— Bo... furtka zawsze skrzypiała, a dzisiaj nie skrzypi, i pies jakiś taki nerwowy... Pójdiesz ty do budy?! — fuknął na Dyzia.

240

Pies stanął jednak na wysokości zadania, nadal szarpiąc łańcuchem i skowycząc na przemian.

— Zastanawiające... Doprawdy, Kalafior, zdumiewasz mnie przenikliwością. Jesteś przenikliwy jak, jakby to ująć...? Jak pusta butelka po piwie! Nie przyszło ci do tego zakutego łba, że Bolek mógł zawiasy naoliwić? I że pies nerwowy jest, bo... bo to taki nerwowy pies jest? Trzeba go jakoś

odgonić, pytam więc po raz drugi: kielbasę wziąłeś?

„Świetliki” zgasły wdeptane w wypielegnowany trawnik sąsiada.

Nie dawała mi spokoju jedna sprawa: co łączy pana Karola z Bolkiem? Chyba że Duda z Kalafiorom rzeczywiście pomylili adresy. Ten podejrzany zbieg okoliczności naprawdę mógł być zbiegiem okoliczności, i w takiej sytuacji niegłupio byłoby powiadomić policję o wtargnięciu na teren prywatny. Ale jak się stąd ruszyć niezauważenie?

— Zjadłem nią — mruknął Kalafior po dłuższej chwili. — Byłem głodny i nią zjadłem.

— Niepotrzebnie cię wczoraj pochwaliłem, że mądrzejesz, widać musiałem zapeszyć — powiedział Duda powoli i wyraźnie, jak do małego dziecka. — Zjadłeś, powiadasz? A nie przeszkadzało ci, że naszprycowałem kielbasę trucizną na mszyce?

— Jak to?

— A tak to. Możesz już zacząć pisać testament.

— Przecież ja...

— Racja, zapomniałem, że z pisaniem to u ciebie nie bardzo — naśmiewał się chudy — I z takim kretynem miałem

241

uciekać na Białoruś? Zaraz by nas zapuszkowali, za sam twój głupi wygląd.

— Przecież ja od tego wykituję! — jęknął Kalafior i przykucnął.

Zrobiło mi się nieswojo na myśl o tym, że zaraz zobaczę żywego trupa. To znaczy... prawdziwego trupa na żywo. Jakby tego było mało, między palcami dłoni poczułem wijącą się oślizłą dżdżownicę.

— Idę stąd — poderwał się nagle Kalafior. — Idę na pogotowie, niech mnie odtrują!

— Zaczekaj, żartowałem — próbował go powstrzymać Duda. — Skąd miałbym mieć truciznę na mszyce, czy ja jestem jakiś ogrodnik?

— Nie wierzę, już ci wcale nie wierzę, morderco! — bełkotał Kalafior, zataczając się w stronę furtki.

— Durniu jeden, wmówiłeś sobie to zatrucie... No, niech cię cholera weźmie! — zaklął Duda i pobiegł za znikającym w mroku kompanem.

Dyzio uspokoił się i ziewnął przeciągle. Zapadła cisza.

Stałem pod oknem i drapałem się w głowę cuchnącymi nawozem palcami, nie wiedząc, w jaki sposób mam się dostać z powrotem do pokoju. Podskoczyłem nieudolnie kilka razy, lecz udało mi się ledwie musnąć parapet. Gdybym był kotem, pewnie bym się zaczepił pazurami... Skojarzenie z kotem podsunęło mi myśl, że gdzieś tu powinny leżeć grabie.

Księżyc schował się za chmurami i nagła ciemność zaskoczyła mnie. Musiałem poruszać się po omacku.

242

Ostrożnie stąpnąłem na prawo, w stronę gruszy, obok której rodzice często zostawiają narzędzia na następny dzień. Jeszcze jeden krok, drugi... Przy trzecim nadepnąłem na coś. Zaalarmowany nagłym świstem powietrza, wyciągnąłem dłoń i zacisnąłem ją na drgającym tuż przed moim czołem trzonku grabi. Mało brakowało, a zostałbym człowiekiem bez twarzy

Powoli wypuściłem powietrze.

Pomysł ze wspinaczką po grabiach był beznadziejny, o czym przekonałem się bardzo szybko. Nie wiem tylko, jak wytłumaczę ojcu pojawienie się śladów butów na ścianie pod moim oknem i zadrapania na parapecie, bo klasyczne wytrzeszczanie niewinnych oczu w tym wypadku może okazać się niewystarczające.

Zaczęło mżyć. Perspektywa spędzenia reszty nocy w takich warunkach zmobilizowała mnie do intensywnego myślenia.

Jeżeli nic nie zrobię, rano znajdą moje drżące ciało, obsi-kane przez odwiedzające nasz ogród koty, i — w najlepszym wypadku — trafię do czubków. Bezcelne dzwonienie do drzwi domu w środku nocy skończyłoby się zapewne jakąś dożywotnią karą, więc prędzej czy później i tak trafiłbym do czubków... To może od razu się tam wybrać?

Powiał wiatr, rozganiając na chwilę deszczowe chmury, a blade księżycowe światło załało lśniące

od wilgoci ogrody. Dyzio zaskamlał przez sen tęsknie i żałośnie.

Moja desperacja doszła do zenitu. Wspiąłem się po ogrodzeniu, przeskoczyłem na stronę sąsiada, po czym zawołałem słodkim głosem:

243

— Dyzio, psińciu malusi, wyjdź no, skarbenku! Rozległo się psie chrapanie.

— Dyzio-o! — powtórzyłem.

Psie chrapanie wyraźnie się wzmogło.

— Mordo zakazana, wyłaż z tej budy, bo ci ją rozniosę na butach! — warknąłem.

Chrapanie ustało i usłyszałem odgłos łańcucha szorującego o deski. Dyzio się ocknął.

Najpierw otworzyły się zaspane, zdumione ślepia, a potem psi pysk. Dyzio ziewnął i szczeknął pytająco.

— Słuchaj, psino — zacząłem. — Jesteś mały, a zrobili ci budę jak dla cielaka, no nie?

Kundel wzdrygnął się, kiedy na nos spadła mu pierwsza kropla deszczu. Robiło się coraz ciemniej.

— Nie za luźno ci tam? — zasugerowałem, licząc na jego inteligencję. Zawiodłem się jednak, bo pies odwrócił się, za-merdał ogonem i wlażł z powrotem do swojej zapchlonej rezydencji.

„Zapchlonej, ale ciepłej i suchej” — stwierdziłem z zazdrością.

— No to masz gościa, psia twoja mać! — poinformowałem Dyzia, pakując się do budy.

Owionął mnie smrodek gnijącego mięsa przemieszany z wonią siana. Już prawie byłem w budzie, kiedy nagle zahaczyłem kieszenią spodni o jakiś wystający gwóźdź.

— Ależ partacz z tego pana Karola! — stęknąłem, szarpiąc całym ciałem. Wtedy buda drgnęła, po czym wraz z podłogą przesunęła się w bok. A to ci niespodzianka!

Macałem dłońmi dookoła, aż natrafiłem na głęboką dziurę.

244

O mało nie wrzasnąłem, gdy dotknąłem ukrytej tam owiniętej w tłustą szmatę skrzynki.

Kiedy usłyszałem pisk opon hamującego przed domem sąsiada samochodu, wpadłem w panikę.

Niemal przefrunąłem przez ogrodzenie do naszego ogródka, podbiegłem do ściany domu i skacząc z rozpędu, uchwyciłem się parapetu. Zanim zabrzmiał cichy sygnał blokady centralnego zamka parkującego samochodu, byłem już w moim pokoju.

— O kurczę — chlipnąłem, otulając się kocem. Na więcej słów nie miałem siły.

245

Rozdział 23.

Wóz albo przewóz

Poniedziałkowy poranek powitałem z zapuchniętymi od niewyspania powiekami. Ostatnio prowadzę niezdrowy tryb życia i naprawdę nie wiem, jak wybrnąć z tarapatów, w które się wpakowałem. Jeżeli pan Karol ma coś wspólnego z jakimś Bolkiem — a wszystko wskazuje na to, że ma — w niedalekiej przyszłości czeka mnie niezłe trzęsienie ziemi.

Odczekałem, aż w domu ustanie poranna krzątanina, i dopiero kiedy nabrałem pewności, że zostałem w domu sam, wyściubiłem nos z pokoju.

Myjąc się, zauważyłem potężne wory pod oczami. Niedługo będę wyglądał jak — nie przymierzając — Jurek Mętlik, i zacznę się chować w szafce na buty Pewnie mnie też nazwą Ogórkem.

W kuchni panował swojski nieład. Wepchnąłem przygotowane przez mamę kanapki do plecaka między wyświechtanego Pana Tadeusza a równie wyświechtany tajny notatnik, obiecując sobie przy okazji, że złożę wizytę w szkolnej bibliotece i nadrobię zaległości w pisaniu dziennika. Wsypałem do miski solidną porcję czekoladowych muszelek „Pyhotki”, załałem je mlekiem i usiadłem do śniadania.

246

Na stole leżały dzisiejsze „Wieści Trombolina”, zacząłem je więc machinalnie przeglądać.

— Burmistrz odpiera zarzuty o niegospodarność — przeczytałem. Taak... Chociaż co mnie to obchodzi? Nabrałem łyżkę rozmiękłych płatków. Nie przepadam za takim jedzeniem, ale podobno jest zdrowe. — Nocne ekscesy — to brzmi ciekawiej. Rzuciłem okiem na treść artykułu. —

Dzisiejszej nocy podczas rutynowej kontroli patrol policyjny aresztował dwóch szamoczących się młodych mężczyzn. Ulica Rejtana, dotąd uznawana...

O mało się nie udławiłem. Moje fatum chce mnie dopaść, to pewne.

Zerkałem na dalszy ciąg relacji z nocnych wydarzeń.

...dotąd uznawana za jedną z najbezpieczniejszych ulic w naszym mieście, stała się areną bandyckich porachunków. Jak wynika ze wstępnych ustaleń, obaj aresztowani są ściganymi listem gończym wielokrotnymi przestępcami. Dwudziestotrzyletni Korneliusz Bakłażan, pseudonim Kalafior, i jego rówieśnik Daniel Dudziak, pseudonim Duda, na razie nie przyznają się do zarzucanych im czynów oraz zaprzeczają udziału w próbie włamania na jedną z pobliskich posesji. Twierdzą, że są obywatelami Białorusi, czego, z powodu braku dokumentów tożsamości, nie potrafią udowodnić. Fakt iż „Białorusini” nie znają swojego narodowego języka, jest znamienym...

— O cie Florek! — odetchnąłem z ulgą. Na razie mam z głowy trzech (łącznie z Podjadkiem).

Padało, więc szybko zamknąłem drzwi i zbiegłem po schodach na ulicę.

247

— Janek! — zatrzymał mnie znajomy głos. Przy ogrodzeniu stał pan Karol w eleganckim beżowym płaszczu i z parasolem w dłoni.

— Dzień dobry — ukloniłem się ostrożnie.

— Nie słyszałeś w nocy czegoś podejrzanego? — zapytał. Na jego twarzy widać było ślady zmęczenia.

— W nocy? W nocy spałem jak zabity — zełgałem i wzruszyłem ramionami. — A co?

— A nic, tak tylko pytam — westchnął sąsiad. Jego biały sportowy mercedes stał na podjeździe. — Biegnij do szkoły, tylko uważaj... — zawiesił głos, po czym dokończył — ..na kałuże, bo deszcz pada.

— Będę uważał — obiecałem. — Wybiera się pan gdzieś? Popatrzył na mnie podejrzliwie.

— Tak, trochę się nabrudziło i muszę posprzątać.

— Gdzie? — nie zrozumiałem.

— Na cmentarzu — zaśmiał się, lecz jego twarz pozostała poważna. — Wszystkich Świętych za pasem i czas wyszykować groby Czasami ludzie umierają, Jasiu. Zwłaszcza ci wścibscy...

Słyszając to, poczułem skurcz żołądka. Pożegnałem się szybko i wbrew danej obietnicy puściłem się biegiem, nie zważając na kałuże.

Zbliżając się do szkoły, coraz bardziej się bałem. I miałem ku temu powody, bo dzisiaj z pewnością Klan upomni się o dziennik Kostka. No i jeszcze sprawa Janusza... W niedzielę miał jechać na wystawę, a tymczasem kiwał się w rytm przedszkolnych piosenek w niewoli u Gluta. Doszedłem do

248

wniosku, że jestem niesamowicie odważny, ale wcale nie napawało mnie to dumą. Bo czułem się jak samobójca...

Nad dziedzińcem wisiała przyklejona do masztu przemoczona flaga państwowa, która przypominała mi o dzisiejszej uroczystości ślubowania pierwszaków. Innymi słowy — mogę się spodziewać nieuniknionego w takiej sytuacji zamieszania.

Pod ociekającymi deszczem gałęziami wiekowych klonów i platanów chowały się nieliczne grupki starszych uczniów, rozważających możliwość zwagarowania z uroczystości lub pośpiesznym dzieleniem się wspomnieniami weekendu, odwołujących chwilę przestąpienia szkolnych progów. Zazdrościłem im tej beztroski.

— Cześć, Cyna! — Przed drzwiami czał się na mnie uli-zany młodzieniec w przyciasnym garniturze.

— Znamy się? — zapytałem z powątpiewaniem. Jakoś go sobie nie przypominałem.

— Spotkałiśmy się na zebraniu, ale chyba nie zwróciłeś na mnie uwagi... — Pierwszoklasista strzelił nerwowo palcami.

Rozległ się dzwonek, więc odsunęliśmy się od drzwi, by nie stratowali nas tak zwani „zaklinacze czasu”, czyli osobnicy wybiegający z domu w ostatniej chwili. Byli niewrażliwi na przeszkody i sądząc po obłędzie w ich oczach — raczej nieuleczalni. Mimo częstych spóźnień sam się do nich nie zaliczałem; z domu zawsze wychodziłem punktualnie, tyle że los wiecznie rzucał mi kłody pod

nogi.

— Chyba zwróciłem uwagę, ale nie przypominam sobie tego kilograma żeluz na łbie — skrzywiłem się. — Chcesz czegoś?

— Kazali zapytać, czy przyniosłeś, no wiesz... — oblał się rumieńcem.

— Nie wiem — stwierdziłem chłodno. Nie przewidziałem, że zaatakują już od progu, łobuzy!

— Dziennik Ptaka... — wychrypiał pierwszak, uciekając wzrokiem ku sinoszaremu niebu.

Deszcz się wzmógł, przeganiając do szkoły kryjących się dotąd pod drzewami kombinatorów.

— Powiedz im, że mogą mnie pocałować... ehmm, że ogólnie mogą mnie pocałować.

Zapamiętasz?

— Ale tak nie wolno! — oburzył się wysłannik. — Zobo... zobo...

— Co „zobo”?

— Zobowiązałeś się, musisz...

— Nic nie muszę — warknąłem i dla podkreślenia swojego stanowiska przytknąłem go w czerwone ucho. — Koniec z tym, fersztejen? Przyjaźni się nie sprzedaje, fersztejen? — i znów go przytknąłem.

— Fer-fersztejen! — spanikował chłoptaş. — Przekażę, co powiedziałaś, Cyna...

— No i dobrze — ziewnąłem pogardliwie, wchodząc do budynku,

— ...a oni ci napstrykają — dokończył beczelny smarkacz.

Zasługiwał na tortury, ale nie chciało mi się wracać. Jeszcze się spotkamy.

251

Główny korytarz zapchany był tłumem podekscytowanej szkolnej gawiedzi obojga płci. Pomiędzy wystrojonymi jak do ślubu uczniami klas pierwszych kręcili się zaaferowani wychowawcy, próbując opanować rozbrykane towarzystwo. Sądząc po ich minach, było to zadanie znacznie przekraczające możliwości średnio odpornego na stres pedagoga.

Ustawione w kątach głośniki dudniły puszczanym przez jakiegoś złośliwca hip-hopem, potęgując groteskowość sytuacji, a spocony Bębniawa darł się do mikrofonu:

— Raz, dwa, trzy... Raz, dwa, trzy, próba mikrofonu! Raz, dwa... proszę się już uspokoić, raz, dwa...

— A gdzie trzy?! — huknął stojący obok mnie Winiuch. Pewnie chciał się potem ukryć pośród starszych kumpli, ale został wystawiony.

Zdemaskowany krzykacz został pochwycony za kołnierz przez krążącego jak sęp nad padliną pana Ciopka, który zaciągnął go do formującego się przed obliczem „Smutej Marysi” dwuszeregu pierwszoklasistów.

Wreszcie coś zgrzytnęło i rytmicznie wyklinający przez głośniki beznadziejną rzeczywistość hip-hopowicz zamilkł, wywołując jęk zawiedzionych słuchaczy

— Uwaga! — wzmocniony siłą głośników głos spadł na nas jak grom z jasnego nieba.

Przed mikrofonem stał poirytowany dyrektor Balezey Hałas przemienił się w szum, by po chwili ucichnąć zupełnie. Z dyrektorem nie było żartów.

— Szkoła, bacznosc! Poczec sztandarowy sztandar wprowadzić! — zarządził Balezey

252

Wyprostowałem się słuźbiście, starając się z należytyim szacunkiem potraktować tę podniosłą chwilę. W takt dźwięków marsza zbliżał się wygięty pod ciężarem sztandaru Zu-zalek w białych rękawiczkach; krok za nim podążały dwie jednakowo ubrane dziewczyny z drugiej „e”. Przywitał ich szmer rozbawienia.

Sapiący ze zmęczenia Zuzalek usiłował wetknąć drzewce sztandaru w otwór stojaka, lecz przez kołysanie się na chudych nogach sam sobie przeszkadzał w wykonaniu tej prostej czynności.

— Niezły obciach — zaśmiał się za moimi plecami Slipek.

— Sam się mogłeś zgłosić do pocztu — syknąłem, zaciskając zęby Slipek jak zwykle dużo gada, ale sam nic nie robi. — Nie byłoby obciachu.

— Mam to gdzieś — odciął się zapaśnik, prężąc bicepsy — Zresztą, odkąd to jesteś obrońcą

nieudaczników? Odbija ci bez komputera?

Zanim wymyśliłem, co mu odpowiedzieć, przyglądający się wysiłkom Zuzalka troglodyci zaczęli skandować:

— Zu-zał! Zu-zał! Zu-zał!

Korytarz zaczął przypominać stadion piłkarski; na szczęście towarzyszące Zuzalkowi dziewczyny zareagowały przytomnie, przejmując sztandar od osłabionego kolegi i umieszczając go na stojaku.

— Jeeest! — ryknęli tryumfalnie kibice.

— Spokój! Proszę o spokój! — grzmiał dyrektor Balezy Rozgorączkowani nauczyciele dwoili się i troili, by przywrócić uroczystości planowany przebieg, lecz gimnazjaliści

253

byli głusi na ich prośby i błagania. Poskutkowała dopiero groźba odwołania do końca semestru wszelkich dyskotek, wycieczek i wyjść do kina.

Atmosfera stała się nieprzyjemna, toteż ceremonię ślubowania skrócono do niezbędnego minimum. Zawstydzony Zuzalek zwolnił się u Palikowej na resztę dnia, a sztandar wyprowadził wezwany awaryjnie Wąsik.

— To skandal! — Dyrektor wbił w nas oskarżycielskie spojrzenie. — Tylko tyle wam mogę w tej chwili powiedzieć! To oburzający, godzący w dobre imię naszej szkoły ohydny pokaz bezczelności, bezczeszczenia i... i bezmózgowości! Ale ja się zemszczę, obiecuję wam to uroczyście! Wreszcie docenicie wybór tej czcigodnej placówki... — przerwał, patrząc w osłupieniu na machającą ręką nauczycielkę biologii. — Słucham, pani Wioletko?

— Ja mam ważny komunikat. — Zarumieniona biologicz-ka podbiegła do mikrofonu.

— Ale ja teraz mówię o bezczelności i pomstuję na uczniów! — zaprotestował dyrektor.

— Wiem, panie dyrektorze, przepraszam — nauczycielka uśmiechnęła się z zażenowaniem. —

Tylko boję się, że zapomnę i potem...

Zamieniłem się w słuch. Kobieta wzięła mikrofon z rąk dyrektora i oświadczyła:

— Pewnie jeszcze nie wiecie, wiec z radością was informuję, że nasz Janusz zajął wczoraj pierwsze miejsce na krajowej wystawie patyczaków. Z tego miejsca chciałam podziękować...

254

Balezy odebrał nauczycielce mikrofon, lecz gromkie brawa zagłuszyły jego pełne oburzenia słowa. Nic z tego nie rozumiałem.

— Jak to: zajął miejsce? — wysapałem do napierającego na mnie z boku Gnidy.

— Cud, Jasiu, czary-mary — Gabryś przymknął oko. — Abrakadabra i tak dalej.

W tym momencie głośniki ożyły, częstując nas piskiem przesterowanych dźwięków.

— Tu szkolny radiowęzeł, moi kochani! — oznajmił nieznany mi spiker. — Nadajemy jedyny w swoim rodzaju specjalny wywiad z kolegę Jankiem Racyniakiem, który zechciał powiedzieć parę słów dla naszej rozgłośni!

Kilkadziesiąt par zaciekawionych oczu skierowało się na mnie. Dyrektor zamarł z otwartymi ustami. Spektakl się jeszcze nie skończył, a ja niespodziewanie miałem zagrać w nim główną rolę.

— Podobno znasz niejedną szkolną tajemnicę! — zapytał jakiś chropawy bas.

— Pewnie, że znam. — To była moja kwestia. Serce zaczęło mi bić mocniej, a dłonie zwilgotniały

— Zapytałem dyrektora, kto podśluhuje pod drzwiami pokoju nauczycielskiego...

— I wskazał na mnie! Rzeczywiście, ciekawe. ~ Czy wiesz o tym, że woźny okrada szkołę!

— Teraz rozumiem, dlaczego wydaje pieniądze na prawo i lewo.

Grobową ciszę przerwał histeryczny okrzyk Wąsika:

255

— Wyłączyć, natychmiast to wyłączyć! — jednak nikt nie zareagował. Miałem wrażenie, że mój wczorajszy sen jeszcze się nie skończył.

— A jeśli chodzi o dyrektora... ? — kontynuował tajemniczy dziennikarz.

— Jeśli chodzi o dyrektora, topatafian i kretyn!

— Dziękujemy naszemu rozmówcy życząc dalszych sukcesów — po czym rozległ się isticie diabelski chichot i z głośników popłynęła muzyka relaksacyjna.

— Wóz albo przewóz, Cyna. — Plomba wyrósł przy mnie jak spod ziemi. — Z kim trzymasz, tak

masz. Wybieraj.

Byłem zbyt oszołomiony, by zrobić cokolwiek oprócz zaciśnięcia powiek. Jeżeli nie będę nic widział, może to wszystko samo jakoś zniknie.

256

Rozdział 24.

Zawieszony

— Zakuć go w kajdany, aresztować! — rozkazywał Balezy, pieniąc się ze złości. — I zakończyć ten cały teatr!

Pan Krzywka przecisnął się przez zaganianą do klas hałastrę i uwiesił się dyrektorskiego ramienia.

— To musi być nieporozumienie! — zawołał.

— Niechże mnie pan puści — obruszył się Balezy. — Co pan wyprawia?

— Ja ręczę za Racyniaka, to porządny chłopak. — Krzywka był doprawdy rozczulający, lecz dyrektor strącił jego dłoń z obrzydzeniem.

— Niech mnie pan nie obłapia, panie kolego. Pan sam za siebie nie może ręczyć, bo pan ma poważny problem alkoholowy! — To był cios poniżej pasa. Chemik przygarbił się i odszedł, powłócząc nogami.

Milczałem, bo cóż mogłem zrobić. Zbyt wiele tu byłoby do wyjaśniania, a podobno tłumaczą się winni.

— Czym mam go zakuć? — dopytywał się Ciapek, oblizując wargi ze zdenerwowania. — Sznurkiem jakimś czy...

— Co pan wymyśla, nie wolno wiązać uczniów! — zaprotestował Balezy — Pan też ma problem alkoholowy?

257

— Przecież dyrektor sam mówił... — zaskamlał matematyk.

— To była taka przenośnia, panie ten... Ciopku... to jest Ciopeku czy jakże się tam pana nazwisko odmienia. Przenosiłem i dywagowałem jedynie literacko — wytłumaczył nerwowo dyrektor osłupiałemu pedagogowi.

Telefon w mojej kieszeni cicho zaświergotał. Zerknąłem na logo rozmówcy

— No cześć, Kostek — powitałem przyjaciela, odwracając się od zaaferowanych nauczycieli.

Nawet tego nie zauważyli, zajęci wzajemnym przekrzykiwaniem się. Korytarz opustoszał, więc mogliśmy bezpiecznie pogadać.

— I jag dam? — zagaił Ptak, pociągając nosem. — Imbreza zie udała?

— To ty nie jesteś w szkole? Człowieku, żałuj, straciłeś nie tylko widowisko stulecia, ale również najlepszego kumpla!

— Boli bnie głowa i bab wzdrendny gadar, wiendz bów bez za-gadeg. — Na dowód jego cierpień usłyszałem sążniste kichnięcie.

— Za obrazę majestatu dyrektora chcą mnie aresztować albo nawet związać. Jeszcze nie zdecydowali.

— A dzo narozrabieież?

— Nic. Plomba spreparował prowokację i puścił to na forum.

— Już zdon... Zadzegaj — Kostek wydmuchał nos. — Już zdążył? A to bystry chłoptaś! — powiedział prawie normalnym głosem.

258

— Ty coś wiesz?

— Nidz nie wieb — spłoszył się Ptak. — Nie bogom dzie areż-dowadź, ale bogom zawiezidź, zreždom bogadaby botem. Brzyjdz do Jaby bo brezend. — Katar Kostka najwyraźniej się wzmagął. „Oby to nie były objawy ptasiej grypy” — przestraszyłem się.

— Do jakiej Jaby? Nie znam żadnej Jaby — oświadczyłem. — I na diabła mi brezent?

— Do Ja-by głubolu, nażejgryjówgi! Brzyjdz, jag tylgo bendzież móg.

W słuchawce zachrobotało i Kostek się rozłączył.

Kusiło mnie, żeby się zmyć po angielsku, ale to i tak niczego by nie załatwiło.

— Już wiem, wezwijmy policję. Niech go przesłuchają albo przeszukają — wymyślił Balezy
— Tak jest, niech przesłuchają i przeszukają całą szkołę! — rozochocił się Ciapek. — A co tam!
— Chwila, chwila! — Z okolic toalety belfrów nadciągał rozczochrany Bębniawa. — Żadnej policji, panowie!
— Dlaczegoż to? — zainteresował się dyrektor. — Przecież to bandzior, rzezimieszek...
— I seryjny morderca — uzupełniłem, kiwając głową. Bęben spojrział na mnie z niepokojem.
— Jaki tam z niego bandzior, Heniu? I jakie przestępstwo? Ot, zwyczajny psikus nastolatka, wybryk młodzieńczej fantazji... — Pogłaskał mnie po głowie. — Puśćmy wszystko w niepamięć.
259

— Wykluczone! — dyrektor zmarszczył czoło. — Musi ponieść konsekwencje, więc myślę, że policja byłaby tu jak najbardziej na miejscu.
— Policja może wszystko zepsuć, Heniu! — Artysta obiegił przełożonego krokiem rannego łabędzia. — Całą naszą reputację. Już widzę te nagłówki w gazecie: Interwencja w gimnazjum im. Pawlikowskiej! Stracimy nabór na przyszły rok, pójdziemy z torbami, pójdziemy... yyy...
— Kraść? — podrzuciłem uprzejmie.

Nauczyciel pochylił się nade mną i syknął mi do ucha:

— Zamknij się, Racyniak! Ja tu walczę o ciebie, a ty... nawet się nie bronisz.

— Bo to bez sensu, proszę pana.

— Co tam szepczecie? Proszę natychmiast przestać kon-spirować! — ostrzegł ciężko dyszący Balezy

Pan Miłosz Bębniawa zagrał zdumionego, po czym ujął się pod boki.

— Dziękuję, Henryku, że przemyślałeś sprawę...

— Ja wcale nie przemyślałem, ja w ogóle jeszcze nie myślałem! — zaprotestował dyrektor, wyciągając z kieszeni ogromną kraciatą chustkę. — Wypraszam sobie takie sugestie! — Otarł zroszone potem czoło. — Ale może z tą policją masz rację... — dodał, rozkładając ręce.

W tym momencie zza pamiątkowej tablicy dobiegło stłumione parsknięcie.

— Czy my przypadkiem hodujemy w szkole jakiegoś konia? — To pytanie Balezy skierował do rozglądającego się bezradnie Ciapka.

260

— Przypadkiem nie — zaprzeczył energicznie Ciapek.

— To co tak parsknęło?

Matematyk zajrzał za tablicę i wyciągnął stamtąd pokrytego pajęczynami Ogórasa.

— To uczeń Mętlik, proszę pana dyrektora! — zameldował skonsternowany pedagog.

Ogórek wyglądał na wymizrowanego.

— Podśluchiwałeś? — Balezy podszedł bliżej do przecierającego senne oczy drugoklasisty.

Dyrektorskie mięsiste nozdrza drgnęły, a usta wygięły się z niesmakiem. — Dlaczego tak cuchniesz, Kiełbiku, zepsułeś się?

— To Mętlik, a nie Kiełbik — sprostował pan Ciopek.

— Ja go uczę... czasami.

— Nieważne, ale po co się chował? — chciał wiedzieć Balezy.

— Ukrywam się — szepnął wymizerowany chłopczyca.

— Żeby mnie nie wzięli do noszenia sztandaru, jak Zuzałka

— mówiąc to, rozejrzał się bojaźliwie. — Ukrywam się tu od niedzieli...

— No coś podobnego! Panie Ciopku... hmm, Ciopeku, pójdzie pan z nim do pielęgniarki, i to natychmiast! Niech wezwie lekarza, przecież ten uczeń jest wyraźnie chory, to nie może tak być! — zarządził Balezy

— A co do ciebie, Rodzynek... — powiedział, odprowadzając wzrokiem matematyka, ciągnącego za kołnierz szamoczącego się Ogórasa — .. jak by cię tu...

— Może mnie pan zawiesić w prawach — podsunąłem, bo miałem już dosyć tej sytuacji.

262

— Aha, zawiesić. Dobry pomysł — ucieszył się dyrektor.

— Tylko na jak długo?

— Do czasu udowodnienia mojej niewinności.
— Aha, do niewinności — powtórzył. — Jak to: niewinności?! — zaperzył się nagle. — Zawieszam cię do odwołania!

— Jego wyciągnięty ku górze palec celował w sufit.

— Na lampie? — Z niepokojem przełknąłem ślinę.

— Wynoś się z mojej szkoły! — krzyknął dyrektor, chwytając się za serce.

— Wynoś się, wynoś — potwierdził Bęben, mrugając do mnie porozumiewawczo. Z przyjemnością spełniłem to polecenie.

Bębniawa odprowadził Balezego do gabinetu, by w jego zaciszu dyrektor mógł się zrelaksować po tych wyczerpujących zdarzeniach.

Zszedłem na parter, mijając po drodze otwarte na oścież drzwi szkolnej biblioteki. Jestem co prawda zawieszony w prawach ucznia, ale o prawach czytelnika nie było mowy, co stwierdziłem, pakując się do czytelnika.

Nad biurkiem pani Luizy pochylała się okrągłutka, rumiana dziewczyna z warkoczami — znana mi Ada Rybaszko z trzeciej „c”.

— To może coś o zapiekankach? — zapytała. — Albo o robieniu pizzy?

— Przecież ci mówię, dziecko, że to nie koncert życzeń, tylko biblioteka dla uczniów. — Pani Luiza poprawiła okulary, wracając do wypisywania kart czytelników.

263

— Czyli że ja nie jestem uczennicą? — nie ustępowała Ada. Miała krótką bluzkę i nad biodrówkami formował się wałeczek tłuszczu. „Moda nie jest jednak dla wszystkich...”

— Nie to miałam na myśli. — Bibliotekarka odgarnęła z czoła jasne włosy. — Chodzi mi o lektury. Mity greckie mogę ci wypożyczyć albo Antygonę, ale nie książkę kucharską.

— Mity... już przerobiliśmy, Antygonę też! — Ada zacisnęła pięści. Wygląda na to, że znów obejrzę pokaz agresji. Jakiś paskudny wirus krąży po tej szkole, i jest to niepokojące. — Ja chcę zdobyć ciekawe przepisy i pani powinna pomóc mi coś znaleźć!

— Nie pouczaj mnie i nie podnoś głosu. Nie zrobisz mi z czytelnika targowiska, uważaj więc, żebym cię stąd nie wyprosiła. — W pani Luizie tkwiły niewyczerpane pokłady cierpliwości. Ja bym się tak z uczniami nie patyczkował.

— I rób tu, człowieku, imprezy — obraziła się Ada i bez pożegnania wyszła na korytarz.

Bibliotekarka zerknęła na mnie.

— Racyniak, tak?

— Racyniak Jan — potwierdziłem.

— Pan Tadeusz jest w czytaniu, przyjdź za kilka dni. — Skąd wiedziała, co teraz przerabiamy? — Ewentualnie dam ci Małego Księcia na zapas.

— Nie, nie — machnąłem ręką. — Chciałem...

— No tak, mogłam się tego spodziewać — mruknęła. — Szukasz czegoś dla hakerów komputerowych albo próbujesz samodzielnie skonstruować odtwarzacz DVD, zgadłam?

264

Stropiłem się nieco.

— Ależ skąd! Miałem zamiar...

— Rozejrzyj się — nakazała. — Co widzisz? Rozejrzałem się posłusznie.

— Szafy widzę. Z książkami. Stoliki i komputer, kwiaty w doniczkach — wyliczałem, nie pojmując, do czego bibliotekarka zmierza.

— Jak więc widzisz, żadnych poradników nie ma. Nie kupujemy niczego poza lekturami. Brak finansów. Dlatego odpowiadam na twoje niezadane pytanie: NIE MA!

Zdaje się, że pani Luiza przechodziła jednak jakiś kryzys.

— Hram, ja wcale nie proszę o żaden poradnik hakera, o ile coś takiego w ogóle istnieje. Chcę oddać książkę.

Tego bibliotekarka się nie spodziewała. Była tak przyzwyczajona do wypożyczających, że oddający stanowili dla niej prawdziwą niespodziankę.

— Oddać książkę? — upewniła się.

— Tak. — Sięgnąłem do plecaka i położyłem na przymocowanej do biurka ladzie poplamione masłem dzieło naszego wieszca.

— Co to jest? — Pani Luiza zdjęła okulary i przetarła je miękką szmatką.

— Pan Tadeusz. Książka, można tak powiedzieć — wytłumaczyłem, starając się dyskretnie wycofać.

— Nieprawda, to nie jest książka! — Palce bibliotekarki zacisnęły się na leżącej na biurku ekierce.

— Książki tak nie wyglądają.

— A jak wyglądają?

■

265

— Są czyste i nie mają pozaginanych rogów — jeden z rogów ekierki wycelował w moją pierś. — Są szanowane, bo służą wszystkim przez długie lata, zaś TO... — czyżbym w tym głosie usłyszał nutę rozpaczy? — ...to jest wyszmel-cowany śmietnikowy kawał papieru! — Ciepły na ogół alt bibliotekarki przeszedł w zdecydowanie wyższe rejestry.

— Bez przesady, nie jest tak źle, proszę pani — wymamrotałem z korytarza.

— Jest źle! — Rzuciła za mną ekierką, ale się uchyliłem. — Nie masz serca, potworze!

Uciekłem i muszę przyznać, że ta rozmowa wywarła na mnie o wiele silniejsze wrażenie, niż połajanki Walezego i Ciapka razem wziętych.

Nad miastem wisiały ponure nimbussy, smagając plecy przechodniów zimnym deszczem.

Szedłem szybko, toteż w rekordowym czasie (piętnaście minut!) zjawiłem się na podwórku przy Alei Konstytucji 26. Co prawda spodnie miałem mokre aż do kolan i wielkie bąble na stopach, ale — nie wiem dlaczego — zaczęło zależeć mi na czasie.

Chciałem pozdrowić panów Mięcia, Ryśka i Romana, lecz ławka pod ścianą była pusta. No, trudno. Lekko spaczona drzwi Jamy stukały o futrynę, kołysane podmuchami wiatru. Kostek czuwał na posterunku i to dodawało mi otuchy.

266

Rozdział 25.

Prowokacje i manipulacje

Nasza Jama powstała przypadkiem. Jeszcze cztery lata temu mieścił się tu składzik, należący do wynajmującego pokój u państwa Ptaków nauczyciela chemii nazwiskiem Alme-nik.

Teodor Almenik pracował w nieistniejącym już technikum mechanicznym, jednocześnie próbując stworzyć substancję, dzięki której mógłby otrzymać Nagrodę Nobla w dziedzinie nauk ścisłych.

Jaka to miałyby być substancja, pan Almenik jeszcze nie wiedział — wahał się między czymś łatwo wybuchającym a szybko klejącym.

Pewnego piątkowego wieczoru, kiedy szkoła opustoszała, pozostał dłużej w laboratorium, gdyż — jak zdradził nam w zaufaniu dzień wcześniej — był już bliski opracowania odpowie- liwej formuły.

Rzeczywiście, udało mu się zrealizować dzieło życia, i to nadzwyczaj widowiskowo. Ogromny wybuch postawił na nogi całe miasto, jednak Teodor Almenik nigdy po Nagrodę Nobla nie pojedzie, gdyż w zgłiszczach budynku odnaleziono jedynie jego wtopione w resztki mikroskopu okulary

Na przekór zdrowemu rozsądkowi, ten tragiczny wypadek spowodował pojawienie się dużej liczby eksperymentatorów

267

rekrutujących się spośród trombolińskiej młodzieży, zaś drogerie zbiły fortunę na sprzedaży odczynników. Po kilku miesiącach moda przeminęła i, co istotne, obyło się bez ofiar śmiertelnych i nadmiernych strat materialnych.

Rodzice Kostka planowali wyburzyć składzik Almenika i posiać na jego miejscu trawę, lecz zadeklarowaliśmy, że w wolnej chwili sami się tym zajmujemy. Odkładając robotę z dnia na dzień, już trzeci rok z rzędu przymierzamy się do rozbiórki, bo lepszej niż Jama kryjówki ze świecą szukać.

Zajrzałem do szopy. Przez brudne szyby małego okienka przenikało wystarczająco dużo światła, by móc w środku czytać gazetę. Tylko że gazet tu nie czytywaliśmy...

Przykryty kocem Kostek kołysał się leniwie w podniszczonym bujanym fotelu — jednej z licznych pamiątek po Teodorze Almeniku, niedoszłym nobliście.

— Jesteś? — ni to stwierdził, ni zapytał.

— No, jak widzisz. — Popatrzyłem na zakurzone szafki, wypełnione taką ilością szkła laboratoryjnego, że niejedna szkoła mogłaby nam pozazdrościć.

— Hmm, powiadasz, że nie jesteś już uczniem? — zagaił Kostek ponownie, wskazując głową kulawe krzesło. Zawsze wołałem fotel, ale wiadomo: kto pierwszy, ten lepszy.

— Hmm, a ty powiadasz, że już nie masz kataru? Podobno byłeś obłożnie chory. — Wyciągnąłem krzesło spod „Maszyny do czegoś”. „Maszyna do czegoś” to urządzenie, którego przeznaczenia dotąd nie rozgryźliśmy. Przypominała metalowy stół, ale do grubego blatu podłączony był kabel

268
doprowadzający prąd elektryczny, na blacie zaś umocowano szeroką metalową tuleję, w środku której wiła się długa, skręcona jak ślimak miedziana rurka.

Wielokrotnie podłączaliśmy maszynę do prądu, lecz udało nam się jedynie rozżarzyć blat, zupełnie jakby wewnątrz zamontowano jakąś spiralę grzewczą.

— Już wyzdrowiałem — uśmiechnął się Ptak.

— Masz mnie za idiotę, prawda? — również się uśmiechnąłem.

— No dobrze — Kostek spoważniał. — Symulowałem od rana, żeby nie iść do budy. Muszę cię przecież jakoś wydobyć z tej całej biedy, synu.

— Nie musiałeś mnie mamieć...

— Mamieć? Skąd znasz takie ciekawe słowo? Zresztą, mamiełem cię, bo chciałem przetestować swoje zdolności aktorskie. Może w przyszłości zostanę człowiekiem teatru, kto wie?... Ale nie przejmuj się, babcię też nabrałem, a przecież w czasie w<ljny była szpiegiem.

— Aku u — prychnąłem, widząc oczyma wyobraźni starszą panią, z laską w jednej dłoni i z rewolwerem w drugiej, wyskakującą z pędzącego pociągu. — Szpiegiem, phi!

— Przeanalizowałem problem i doszedłem do wniosku, że musimy członków Klanu sprowokować zdradziecko oraz zmanipulować — ciągnął Kostek, ignorując uwagę na temat babci Tosi. — Tak, zmanipulować, a nawet zaszarżować...

Podszedłem do okienka. Na ławce pojawił się pan Roman w odwiecznym fioletowym garniturze i zaczął karmić gołębie okruszkami bułki z białym serem. „Takiemu to dobrze

269

— pomyślałem — nie musi słuchać zawitych wywodów i tego niezrozumiałego bełkotu".

— Czyli co? — popatrzyłem na przyjaciela bezradnie.

— Czyli po spreparowaniu danych śmiało można wcisnąć im kit — wyjaśnił Kostek, szczerząc zęby.

— Aha — sapnąłem. — Czyli co? — Nie łapiesz? — Kostek poprawił koc, po czym stwierdził: — A ja miałem cię za inteligentnego, synu.

Ale dobrze, wyjaśnię ci wszystko jak przedszkolakowi. Oni, to znaczy Klan, chcą, żebyś mnie « zdradził i wykradł mój dziennik.

^Pf r■.■ ^I|¶ — Nie mam zamiaru...

Ijk.; ¶ Ifi c^U — Nie musisz się zaraz unosić, chło-

pie — przerwał mi. — Wiem, że nie masz zamiaru, ale zdradzisz mnie i dasz im to, czego chcą. Tak mówi inspektor Konstanty Ptak, detektyw — Spod koca wyłoniła się brudna ręka samozwańcze-go detektywa, a w niej niebieska dyskietka. — Oddajesz im swój dziennik ot tak? — zaniepokoiłem się. Jeżeli Kostek oszalał, to koniec świata jest już bliski.

— Nie „ot tak”, tylko po spreparowaniu. Przecież wyjaśniam ci to od dziesięciu minut, ośle — zdenerwował się mój kumpel. Machnął ręką i dyskietka poszybowała w powietrze. Ledwie ją złapałem. — Jest tam zapis moich rocznych obserwacji szkolnej odmiany Aspergillus.

— Asparagus? A co to ma do rzeczy?! Kwaciarnię otwierasz? — Muszę przyznać, że nie nadążałem za tokiem jego rozumowania.

— Nie znasz łaciny i w tym cały problem. Aspergillus to grzyb, rodzaj pleśni. Mówiąc ściśle, kropidlak. Przepisałem pół podręcznika dla studentów botaniki, żeby to jakoś inteligentnie

wyglądało. — Kostek przyjął postawę dumnego męczennika.

Nie znoszę udawanych męczenników, ale Kostek był moim przyjacielem, musiałem mu więc wybaczyć.

— Wątfię, żeby Klan dał się nabrać na jakieś bzdety o grzyb \ Podejrzewają przecież, że ich inwideo... jak to się mówi'. Że ich inwentaryzujesz przez cały czas.

— Inwigiluję, jeśli już — Ptak pokiwał głową. — Wiem o tym i napomknąłem w dzienniku coś na ten temat. Rzuciłem kilka luźnych uwag.

— Na przykład?

— Na przykład to, że podlizują się dyrektorowi. Albo że dają Wąsikowi łapówki, by ich wpuszczał do szkoły, kiedy chcą. W sumie nic sensacyjnego.

— Oho, łapówki to nic sensacyjnego?! — ekscytowałem się, wietrząc aferę.

— Psie łapówki — sprostował Kostek. — A dokładnie: kości dla psa. Plomba jest honorowym opiekunem Soni

271

i codziennie przynosi jej ze stołówki kości i resztki z obiadu. Dzięki temu Wąsik oszczędza, a pewnie nie zdajesz sobie sprawy, ile taki pies potrafi zeżreć.

— Dlaczego ty wiesz o tym wszystkim, a ja nie? — zdenerwowałem się. — I w ogóle, dlaczego się tym wszystkim interesujesz, prowadzisz dziennik i in.. .wigilujesz?

— Taki zawód, synu, cóż począć... — Znów poprawił koc. Brakowało mu tylko fajki w zębach i mógłby udawać Sher-locka Holmesa na emeryturze.

Wyjrzałem na zewnątrz. Do pana Romana dosiadł się pan Mietek z gazetą. Za to gołębi ani śladu — pewnie się już najadły.

— Oni tego nie łykną — oświadczyłem z przekonaniem.

— Czego nie łykną?

— Tych spleśniałych grzybów. To jakieś farmazony

— łykną — uspokoił mnie Ptak, spoglądając na wiszący na ścianie, osnuty pajęczyną zegar.

Wskazywał jedenastą trzydzieści. — Masz przy sobie telefon?

— Mam, a co?

— A nic — Kostek zabębnił palcami o poręcz fotela. — Choć właściwie...

Przerwał mu świergot dzwonek mojej komórki. Popatrzyłem na Ptaka, ale ten akurat oglądał paznokcie. Telefon zadzwonił ponownie, a na wyświetlaczu pojawił się rząd cyferek nieznanego mi numeru.

— Słucham? — zagailem grzecznie.

— I co, namyśliłeś się, Cyna? — Głos należał do Plomby, ale wolałem się upewnić, bo brzmiał podejrzanie przyjaźnie.

272

— Klocek?

— No, a kogo się spodziewałeś, Jasiu? Jak zdrowko? Zawrzałem gniewem. Najpierw robi mi taki numer, a teraz

się przymila, kanalia!

— Ty chamski... — zacząłem, lecz Kostek poderwał się z fotela i zasłonił mi usta dłonią. Koc zaplątał mu się wokół nóg — dziw, że się nie przewrócił.

— Przestań — syknął. — Przecież słyszysz, że chce się dogadać.

— Pomstuj, Jasiu, pomstuj — mruczał Plomba niczym spasiony kocur. — Masz prawo się gniewać, ale pamiętaj, że cię ostrzegałem.

— O co ci chodzi? Jeszcze się nie nasyciłeś, sadysto? — spytałem tjpchę spokojniej.

— Pyt, Mm, czy się namyśliłeś — powtórzył cierpliwie. — Bo jeżeli ty masz coś dla Klanu, to Klan może mieć coś dla ciebie.

— Powiedzmy, że mam — odrzekłem, obracając w palcach dyskietkę. — I powiedzmy, że ci TO dam — dodałem, widząc wyrazy zachęty na twarzy Kostka. — Co dalej?

— Powiedzmy, że przyjdiesz zaraz do szkoły i powiedzmy, że zameldujesz się u Walezego... — Plomba dostosował się do mojego tonu.

— Właśnie mnie zawiesił. Nie mów, że o tym nie słyszałeś, bo pewnie cała szkoła już wie — parsknąłem.

— No to cię odwiesi i przeprosi na dokładkę.

— Jak to możliwe? — zdumiony tak rozdziawiłem usta, że o mało nie połknąłem telefonu.

— Na tym świecie wszystko jest możliwe, Jasieńku. — Ta słodycz

273

zaczynała mnie mierzić. — To za pół godzinki pod gabinetem dyra, OK? Na razie!

— OK, tylko przestań „Jasieńkować”, bo cię zatłukę — warknąłem, ale on już chyba tego nie usłyszał, bo w słuchawce rozległy się dźwięki pozdrowień z kosmosu, zwanych przez niektórych szumem.

Stałem przez chwilę niczym otumaniony zielenią łąki jeleń, trawiąc powoli przebieg tej rozmowy.

— I jak ci się podobało? — spytał Ptak, kładąc dłoń na moim ramieniu. Odwróciłem się do niego.

— Wiesz, Kostek, coś w tej układance nie pasuje — powiedziałem smętnie.

— Co, jeśli wolno zapytać?

— Ty, bracie. Ty tu nie pasujesz!

Nie zdążył nic powiedzieć, bo wyszedłem z Jamy, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Moje serce łomotało z niepokoju.

Plomba czekał na mnie, siedząc na koszu na śmieci. „Przydałoby się w szkole więcej ławek na korytarzach” — przemknęła mi przez głowę luźna myśl.

— Masz? — usłyszałem.

— Mam. — Podałem mu dyskietkę. Wsunął ją do kieszeni, nawet na nią nie patrząc.

— W porządku. Możemy odkręcać, co się namotało.

— Nie sprawdzisz, czy to właściwa dyskietka? — zdziwiłem się.

— Wierzę ci, a poza tym w jaki sposób mam ją sprawdzić? Obejrzeć pod światło czy może ugryźć?

— kpił. Przestał być

274

przesadnie miły, co przyjąłem z ulgą. Grzeczność do Klocka jakoś nie pasowała.

Jacek puścił mnie przodem — pewnie po to, bym własnym ciałem osłonił go przed atakiem pani Rozalki. Myliłem się jednak.

— Dyrektor zajęty — burknęła sekretarka na nasz widok. — Nie przyjmuje.

— Dzień dobry, pani Rozalko — ukłonił się Plomba.

— Wszystkiego najlepszego, szczęścia, zdrowia i pociechy z dzieci! — ukłonił się jeszcze raz.

— Nie mam dzieci — sprostowała chłodno sekretarka. — Nie m?m aawet męża, więc wynocha...

— Tę, 'ii piękna kobieta na pewno wkrótce będzie miała. Na bank, to tylko kwestia czasu — przerwał jej Plomba i wyjął spod kurtki lekko przywiedłą różę. Pewnie buchnął ją z klombu przed kinem. Widziałem tam takie. — Gdybym nie był nieletni, sam bym się z panią natychmiast ożenił! — oświadczył, po czym wręczył kwiatek i cmoknął kobietę w dłoń.

„Jak on to robi — westchnąłem w duchu — że bez wysiłku gada takie rzeczy? Ja bym przez pół dnia czegoś takiego nie wymyślił, a ten, proszę — uprzejmie, na poczekaniu...”

— Naprawdę? — rozczuliła się sekretarka, robiąc maślane oczy. — Ale skąd te życzenia? Przecież nie mam imienin.

— Imienin nie, to prawda. Jednak Dzień Nauczyciela... To znaczy — sprostował natychmiast — Dzień Komisji Edukacji Narodowej już wkrótce i za pani ciężką pracę moc życzeń się od nas, wdzięcznych uczniów, się należy! — Ukłonił się po

275

raz trzeci w ciągu ostatnich kilku minut. Facet był niesamowity!

— Święto dopiero w piątek, niemniej jednak dziękuję.

— Kolega też się przyłącza. — Kłoczek szturchnął mnie, więc ukłoniłem się sztywno.

— To bardzo miło z waszej strony — sekretarka wyglądała na wzruszoną. — A czego chcecie od pana dyrektora? Muszę wiedzieć, zanim zaanonsuję.

— Pilna sprawa. Dyscyplinarna — zafrasował się Plomba. — Tylko że powinien tu być jeszcze taki jeden...

Skrzypnęły drzwi.

— Dzień dobry — przywitał się zadyszany Winiuch, wciskając się między nas. — Przepraszam za spóźnienie, ale zgubiłem pięćdziesiąt groszy i tak mi zeszło...

— No, to jesteśmy w komplecie — ucieszył się przewodniczący szkolnego samorządu. — Proszę nas zaanonsować, pani Rozalko.

Już nie raz obiecywałem sobie, że nie będę się dziwił niczemu, co mi się przydarza, ale na widok Winiucha po prostu osłupiałem. Grałem w jakąś grę, lecz nie dość, że nie wiedziałem w jaką, to na dodatek miałem w ręku kiepskie karty. Same blotki.

276

Rozdział 26.

Wynajęta ofiara

Do gabinetu dyrektora jako pierwszy wkroczył Plomba. Dyrektor Henryk Balezy spoczywał na czarnej skórzanej kanapie, przeglądając stertę zadrukowanych papierów. Obok, na lakien. " *jym stoliku w kolorze mahoni, przy telefonie stała włączoi a stylizowana lampka nocna i szklanka po kawie. Na wytartym dywanie leżała gruba książka zatytułowana Problemy zarządzania oświatą. Nazwiska autora nie dostrzegłem.

Roleta w oknie była spuszczone do połowy; rozproszone światło nadawało wnętrzu przytulny nastrój, lecz jednocześnie zmuszało do zapalenia bocznego oświetlenia. Kiedyś, gdy przechodziłem zapalenie spojówek, robiłem podobnie.

— Szanowny panie dyrektorze — zaczął Plomba. — Zapewne pan się zdziwi, ale przyszliśmy do pana...

— Przecież widzę, że przyszliście. Sekretarka mnie upредиła — stwierdził Balezy, nie przerywając czytania. — Co tu robi Rodzynek, pytam ja was? Przecież został zawieszony. Dobrze pamiętam, że go niedawno zawieszałem — dyrektor zmarszczył czoło.

— My właśnie w tej sprawie — szurnął nogami Klocek. Na dywanie pojawiły się dwie ciemne smugi, więc Plomba stanął tak, by nie było ich widać.

277

— To znaczy?

— To znaczy po to, żeby odwieść ucznia Racyniaka. Znalazł się bowiem winowajca — mówiąc to, przewodniczący wskazał palcem Winiucha.

Muszę przyznać, że zdębiałem.

— Co ty, Blomba, wygadujesz? — dyrektor odłożył kartkę i zamrugał nieprzytomnie.

— Sprawcą całego zamieszania jest uczeń Marcin Wi-niuch. Uczeń Jan Racyniak o niczym nie wiedział, proszę pana dyrektora.

Balezy wstał i z zainteresowaniem obejrzał Winiucha od stóp do głów. Delikwent swobodnie przygładził potargane rude włosy, a na jego piegowatej twarzy rozkwitł szelmowski uśmiech.

— Winiuch? Skądś znam to nazwisko... — dyrektor zamyślił się na chwilę. — Dlaczego nazywasz się Winiuch, ko-chasiu? Nie uważasz, że to trochę niepoważnie?

— Cóż poradzić, panie dyrektorze, u nas w domu same Winiuchy — odparł niestropiony Marcin.

— Skoro tak... — Balezy usiadł na kanapie, podniósł słuchawkę i wcisnął zielony guziczek. — Pani Zuzanko... aha, no to przepraszam. Tak więc pani Rozalko, przyniesie mi pani akta ucznia Winiaka z pierwszej... z którejś tam pierwszej. Tak, tak, Marian Winiak.

— Marcin Winiuch — sprostował Plomba, uchylając na moment drzwi do sekretariatu.

— A wracając do tych szkalówień — zwrócił się do nas Balezy — to...

278

— Do czego?! — zdziwiliśmy się chóralnie.

— Do szkalujących pomówień. To taki skrót myślowy — wyjaśnił dyrektor, czerwieniejąc coraz bardziej. Prawdopodobnie kontakty z uczniami podnosiły mu ciśnienie. — Mówiłeś, Blomba, że Rodzynek jest niewinny. Możesz to uściślić?

Klocek ściągnął usta w ryjek, wywołując u mnie pewne sugestywne skojarzenie, po czym rozsiadł się swobodnie na dyrektorskim biurku. Liczyłem na natychmiastową reprimendę — lub chociażby przeszywające spojrzenie — ale przeliczyłam się, niestety. Nie pierwszy raz zresztą.

— I było to tak — zaczął w gawędziarskim stylu. — Ten oto uczeń Winiak, eee... Winiuch chyłkiem i podstępem zdobył nagrany przez młode dziennikarki „Vox populi” wywiad z uczniem Racyniakiem, popularnie zwanym Cyną. Uczeń Winiuch prawdopodobnie zauroczył — choć sądząc po jego wyglądzie, musiał chyba użyć czarów — w każdym razie zauroczył którąś z naiwnych dziewcząt i wykradł z jej dyktafonu kasetę, którą niniejszym przedkładam. — Tu Plomba zademonstrował kasetę słuchającemu go z zainteresowaniem dyrektorowi.

Omyliłem się, on nie jest bajzrem. On jest najbardziej cwany, kutym na cztery łapy i wygadany kombinatorem, jakiego świat oglądał. I to on, a nie ja, zostanie prezydentem. Z zamyślenia wyrwało mnie wejście pani Rozalki, która przyniosła białą tekturową teczkę.

— Marcin Winiuch, panie dyrektorze. Pierwsza „c”.

— Dziękuję pani. Jeszcze jedną kawę proszę. Z cukrem, bez mleka — zadysponował dyrektor.

279

Sekretarka skinęła głową, zabrała brudną szklanekę, zaś wychodząc rzuciła wymowne spojrzenie przewodniczącemu. „Co to się wyprawia, matko jedyna” — jęknąłem w duchu.

— Co jest na tej kasecie? — dociekał Balezny

— Wywiad. Uczeń Racyniak chwali w nim fenomenalną pracę pana dyrektora i jest miły oraz sympatyczny wobec wszystkiego i wszystkich, za wyjątkiem tego oto Winiucha Marcina, gdyż ten oto obwiniony Winiuch publicznie naśmiewał się z jego przyjaźni z kolegą Ptakiem — nawijał Plomba jak adwokat.

280

— No i? — Czerwień z dyrektorskiej szyi powędrowała na policzki. Balezny poluznił prążkowany krawat i sapnął ciężko. Należało się streszczać.

— No i Winiuch Marcin postanowił się odegrać na Ra-cyniaku Janie, preparując kasetę, jak również manipulując masowym odbiorcą, czyli społecznością szkolną, tudzież dyrekcją i gronem.

— Ostatnie zdanie Klocek wyrzucił z siebie jednym tchem. Miałem ochotę udusić go gołymi rękami za takie gadan. . Z zazdrości oczywiście.

— Nie bardzo rozumiem — przyznał się dyrektor, otwierając teczkę Winiucha. Ja też nie pojmowałem, dlaczego Winiuch ma być złożony za mnie w ofierze, i na dodatek wygląda przy tym na zachwyconego.

— A co tu rozumieć, panie dyrektorze? — przewodniczący rozłożył ręce w geście zdziwienia. — Jak to w życiu: Winiuch zawinił, a Cynę zawiesili.

Balezny podniósł palec, każąc mu się uciszyć. Wyjął z kieszeni marynarki okulary do czytania (o czym informowała nieodcięta metka) i założył je na nos.

— Winiuch Marcin... — wymruczał. — Hmm, to nazwisko jest mi skądś znane, tylko skąd? Zerknąłem z niepokojem na Plombę, lecz przewodniczący kiwnął ręką uspokajająco.

— Właśnie o nim rozmawiamy, panie dyrektorze — przypomniał.

— Aha! — rozpromienił się Balezny Pałająca na jego policzkach czerwień przeniosła się z powrotem na szyję. Jeśli sprawnie zakończymy tę koszmarną rozmowę, być może

281

obejdzie się bez wzywania karetki. — Ale on już ma karę w postaci nagany dyrektora i maksymalnie obniżonego sprawowania za „zorganizowanie zbiorowej ucieczki z lekcji sześćdziesięciorga osób” — odczytał z akt wyraźnie rozczarowany — Mogę go ewentualnie relegować ze szkoły na zbi...

— przerwał i zmienił ton — .. .noo, gdzieś daleko.

— Nie może pan! — Winiuch zatarł radośnie dłonie. — Nie było zagrożenia życia, zdrowia ani mienia, a poza tym spoczywa na mnie obowiązek szkolny i rejonizacja. Czytałem statut szkoły, więc wiem, co mówię.

— To co mogę? — Balezny posmutniał.

— Nic.

Dopiero teraz rozgryzłem taktykę Klanu. Podstawą ich działania jest informacja, tupet i beczelność, a Winiuch nie jest wcale ofiarą, tylko czymś w rodzaju sztucznego robaka na haczyku. Wygląda smakowicie, lecz nie da się go zjeść.

— To karygodne, w tej szkole aż się roi od dewiantów!

— rozżościł się dyrektor. Czerwone plamy wypełzły mu aż na czoło.

Przymknąłem oczy i wyobraziłem sobie, jak wynoszą go stąd, okrytego po brodę białym prześcieradłem, z dyndającą u nosa metką od okularów.

Wzdrygnąłem się.

— Schizofrenicy, buntownicy i, za przeproszeniem, jacyś prawnicy! — grzmiał Balezny

— A także gazeciarze i raperzy — uzupełniłem, odzywając się po raz pierwszy, odkąd tu wszedłem.

282

— O, właśnie! — zgodził się Balezny — Masz rację... jak ty się nazywasz, kochasiu?

— Według pana dyrektora Rodzynek.

— Rodzynek też jest niepoważnym nazwiskiem. Przemyśl to — doradził. — Idźcie już, odwieszam was wszystkich, zmęczyłem się.

Myślałem, że jeszcze coś powie, ale dyrektor zdjął buty, położył się na kanapie i zamknął oczy.

Staliśmy jeszcze przez chwilę, spoglądając po sobie niepewnie.

— Chyba śpi — oenił w końcu Winiuch, odsuwając się od otwierających się właśnie drzwi.

— Dyrektorowi to się zdarza, kiedy jest przepracowany.

— Pani Rozalka wniosła tacę ze szklanką parującej kawy.

— Nie myśleliście chyba, że kierowanie szkołą to jakieś fiu bǫdziu?

— Nie myśleliśmy, proszę szanownej pani — Plomba obdarzył sekretarkę ujmującym uśmiechem.

— A co to za plamy? Błoto?!

Podążyliśmy spojrzeniami za jej wzrokiem. Ślady buciorów Klocka przeschły już nieco, ale nadal wyraźnie odcinały się od beżów i brązów dyrektorskiego dywanu.

— Już tu były, kiedy przyszliśmy — bąknął winowajca, ciągnąc mnie za rękaw. — Do widzenia pani!

Szurnęliśmy nogami, zostawiając kolejne brudne smugi, i czmychnęliśmy czym prędzej na korytarz.

Po wydarzeniach dzisiejszego dnia czułem się tak, jakbym został przejechany przez walec drogowy
Postanowiłem, że

283

w czasie wakacji powędruję w Bieszczady i nigdy już nie wrócę.

Tuż przed furtką Plomba zatrzymał się niespodziewanie.

— Czas się rozliczyć. — Wyrzebał z portfela nowiutki banknot dziesięciozłotowy i wręczył go Winiuchowi. — Weź, zapracowałeś na to.

— Umawialiśmy się na piętnaście, sknerusie — zaprotestował mój były sąsiad z Kaczych Dołów.

— Za piętnaście powinieneś być grzeczniej szy. Wykończyłeś dyra psychicznie tym pyskowaniem, więc jedną piątkę oddam na PCK.

— Sam oddam, skoro tak — nie dawał za wygraną Winiuch.

— Spadaj, smarku! — Spokój Klocka mnie przerażał. W życiu na niego nie zagłosuję. — Jeszcze tu jesteś?

— Już mnie nie ma! — zawołał Winiuch, chuchając na banknot. — Polecam się na przyszłość! — rzucił jeszcze i wybiegł na ulicę.

— Kooperant za dychę — skrzywił się przewodniczący — Zadowolony? — To było skierowane do mnie.

— Nie mam z czego się cieszyć — odpowiedziałem, kopiąc leżącą na ziemi puszkę po pepsi.

Ochlapałem sobie przy tym nogawkę, lecz zachowałem kamienny spokój.

— Zdobyłeś drugą twarz, Jasiu, a to nie byle co!

— I co mi po tym? — Krople napoju wchłonęły się w materiał, zostawiając brunatne plamki.

Mama nie będzie szczęśliwa, gdy zobaczy w koszu na pranie spodnie, które dziś rano wyprasowała.

— Dowiesz się już jutro.

284

— Tak? A co będzie jutro?

— Wtorek, gdybyś nie wiedział — roześmiał się Plomba. — No dobrze, powiem ci: weźmiemy cię na podmiarki. Moja klasa ma na jutro zapowiedziany sprawdzian z fizyki i trzeba podrasować/oceny Cieszysz się? — klepnął mnie po plecach, aż zaduc o.

— T.. ak so... obie — wychrypiałem. Mówi się, że w dzień nie widać gwiazd, ale to nieprawda.

— Powiem ci jeszcze coś... — Klocek próbował przyjacielsko objąć mnie ramieniem, lecz gwałtownie się odsunąłem. — Jak się sprawdzisz, dostaniesz ostatnie zadanie. Trzecią twarz — dokończył niewzruszony moją postawą.

— Jakie to zadanie? — zapytałem.

— Tego jeszcze nie wiem. Wszystko w swoim czasie. Chyba mówił szczerze. A to by znaczyło, że albo niczego

nie zdołał wymyślić, albo to nie on jest szefem Klanu.

Zadzwieczał dzwonek, przerywając naszą rozmowę. Ze szkoły zaczęli wybiegać najpierw pojedynczy uczniowie, a potem, w przeciągu kilku sekund, wysypała się na dziedziniec ponad setka osób.

— Wracam na lekcje — oznajmił Plomba. — Bądź, Jasiu, w pogotowiu!

Pomachał mi ręką i wmieszał się w gęstniejący tłumek młodzieży, próbującej śmiechem i wygłupami odreagować szkolny stres.

Pewnie i ja powinienem wrócić do szkoły, straciłem jednak cały zapal.

285

Prześladowała mnie myśl, że przewodniczący jest wobec mnie bardziej szczerzy niż Kostek, i to było druzgocące.

Szedłem, powłócząc nogami, ogarnięty dojmującym smutkiem. Miasto wydawało mi się beznadziejnie brzydkie, szare i nieprzyjazne.

Przechodnie o rozmazanych obliczach potrącali mnie w pośpiechu, lecz przyjmowałem to nad wyraz obojętnie. „Ciekawe, czy czternastolatkowi przysługuje opieka psychoterapeuty” — zastanawiałem się.

— Hej, zaczekaj! — usłyszałem nagle.

Obejrzałem się zaskoczony i wszystkie smutki odeszły w niebyt. Chodnikiem biegła moja ukochana Ania, a poły jej płaszcza rozwiewały się na kształt anielskich skrzydeł. I dałbym głowę, że opromieniała ją niebiańska jasność. Choć mogło to być złudzenie wywołane patrzeniem pod słońce. Rozłożyłem ręce, by ją pochwycić w ramiona i unieść wysoko (lub chociaż na tyle, na ile pozwoli wrzynający się w ramiona plecak), lecz Ania minęła mnie, rzucając zdawkowe:

— Cześć, Cyna!

Zmartwiałem, kiedy zobaczyłem, że mój anioł podbiega do zaparkowanego przed kinem ciemnogramatowego audi, wsiada do środka i odjeżdża. Nie zdążyłem nawet pozbierać myśli.

— Aniu — jęknąłem w końcu, lecz jedyne, co jeszcze widziałem, to rzednąca powoli chmura błękitnych spalin.

■

286

Rozdział 27.

Przesłuchanie

Przed domem sąsiada parkował policyjny radiowóz. Dwóch umundurowanych funkcjonariuszy opierało się o płot pana Karola, jakby czekając, aż ujadający po drugiej stronie Dyzio padnie z przemęczenia i będą mogli bez narażania służbowych nogawek oraz prywatnych łydek wkroczyć na jego terytorium.

Trzeci, ubrany po cywilnemu policjant stał naprzeciwko naszego domu i rozmawiał z panią Renią Bąk spod piętnastki, skrobiąc coś w czarnym notesie. W bezpiecznej odległości krzątało się kilka osób, zajętych markowaniem prac porządkowych. Szczególnym wzięciem cieszyła się symulacja grabienia liści — czynności na naszej ulicy dosyć nietypowej, jeżeli wziąć pod uwagę fakt, że wzdłuż Rejtana nie rośnie żadne drzewo liściaste.

Zawahałem się i to mnie zgubiło, bo zamiast przyglądać się sytuacji z wybałuszonymi oczami, powinienem był odwrócić się na pięcie i pośpiesznie oddalić. Zdążyłem zresztą wykonać maleńki

krocze w tył, gdy pani Bąk wskazała na mnie palcem:

— Jest najstarszy Racyniaków, Janek, panie władzo! O, ten! — Zabrzmiało to tak, jakby było nas w domu nie wiadomo ilu.

287

Tajniak przerwał pisanie i popatrzył na mnie.

— 'Chodzi do gimnazjum. Nauki, znaczy się, pobiera. U tej Marii Pawlakowej czy jak jej tam. Straszny Leser. Pan zobaczy, jakie u nich niepomalowane ogrodzenie. Drzewka też nieprzycięte, a rodzice zapracowani, czasu nie mają — traj-kotała sąsiadka. W chustce na głowie i w ubranym na sweter fartuchu wyglądała jak wiejska babina. Nie wiem, skąd o nas tyle wiedziała — przecież poza „Dzień dobry” nigdy nawet słowa z nią nie zamieniłem, staruszkowie zresztą też. Może Glut, ale wątpię, on za bardzo się boi czarownic.

— Dziękuję już pani. Będziemy w kontakcie — Policjant przerwał tę paplaninę i powachlował się notesem. Pani Renia pozostała jednak na posterunku (czyli na chodniku), nadstawiając ucha. Pchnąłem furtkę, ale mężczyzna skinął na mnie. Zrozumiałem, że oto nadszedł mój koniec.

— Jan Racyniak? — zapytał, zerkając do notatek. Potwierdziłem.

— Syn?

— N00... syn. — Dotknąłem jeszcze twarzy dla pewności, po czym założyłem ręce do tyłu, żeby łatwiej mu było zakuć mnie w kajdanki. Nie będę się przecież z nim szarpał. Mam swoją godność!

— Czyj syn, pytam. Imię ojca — policjant starał się być cierpliwy. W ogóle nie zwrócił uwagi na mój gest dobrej woli.

— A, o to chodzi. Tomasz... Syn Tomasza. Tomasz to mój ojciec, nie ja — plotłem coraz bardziej zdenerwowany. Podejrzewam, że pobrałem, bo zrobiło mi się tak zimno,

288

jakby ki 'przestała we mnie krążyć. — Mama też mówi Tomasz do t jca, do mojego ojca...

— To twoje gimnazjum jest jakieś specjalne? — spytał policjant, drapiąc się długopisem w czoło.

— Nie rozumiem — wymamrotałem.

— Takie dla opóźnionych w rozwoju... — wyjaśnił policjant delikatnie.

— Jest całkiem normalne, proszę pana — oburzyłem się, patrząc z satysfakcją na niebieskie zygzaki na jego czole.

— Dziwne, bo bełkoczesz... — urwał. — Ale nieważne, mam kilka pytań.

Rozprostowałem ręce, bo zaczęły mi sztywnieć. Zresztą widocznie najpierw przesłuchują, a dopiero potem aresztują. To się chyba nazywa „procedura”.

— Karol Łobodak — mówi ci coś to nazwisko?

— Które? — Zamyśliłem się i nie dosłyszałem pytania.

— Łobodak! — krzyknął policjant, podsuwając mi notes przed oczy

Z tak bliska nic nie widziałem, więc poinformowałem o tym policjanta.

— Po co ja pytam? — Mężczyzna trzasnął notesem o kolano. — Przecież musiałeś słyszeć, to wasz sąsiad! — Z notesu wyslizgnęło się parę zapisanych kartek, wpadając w rozlewającą się przy krawężniku wąską kałużę. Policjant zebrał je wszystkie i mokre wsadził do kieszeni, zaciskając zęby

— Szefie, pomóc coś? — zainteresował się jeden z mundurowych, wciąż bezskutecznie oczekujących na apopleksję Dyzia.

— Poradzę sobie — rzucił jego zwierzchnik i łypnął na mnie z niepokojem, po czym sięgnął za pazuchę i wyciągnął złożoną we czworo kartkę papieru, którą starannie rozłożył.

— Znasz tę kobietę?

Na zamazanej odbitce widniało zdjęcie krótko ostrzyżonej blondynki około pięćdziesiątki, a nad nim angielski napis: WANTED BY SCOTLAND YARD. Podpis mężczyzna zasłonił.

— To chyba... — przyjrzałem się uważnie — ..chyba pani Maryla Łobo-dak, żona pana Karola. Nie jestem pewien, jakaś marna ta odbitka.

Policjant zanotował zeznanie.

— Widziałeś ją tu gdzieś niedawno? Pokręciłem przecząco głową.

— Też się zastanawiałem, gdzie zniknęła. Czy ona... — odetchnąłem głęboko — ..nie żyje?

— Żyje, żyje, i to ponad stan. Jest oskarżona o oszustwa bankowe w Polsce, w Niemczech i w Wielkiej Brytanii. Poszukujemy jej od miesiąca. Nie powinienem ci tego mówić, ale twój sąsiad, Karol Łobodak, też jest od dzisiaj poszukiwany, tyle że z innego paragrafu, więc nie rób cyrku z przesłuchania. To bardzo niebezpieczny typek.

— E tam, zaraz niebezpieczny — wtrąciła Bąkowa. — Taki porządny człowiek, panie władzo. „Dzień dobry, Reniu”, „Co tam słyhać, Reniu”, pytał, i ogródek zawsze podlany, nie to, co u tych Racyniaków A jakim samochodem jeździ eleganckim! Mercedes się nazywa...

290

— Ale ja już pani, zdaje się, dziękowałem, pani... — spojrzął do notesu — ..pani Bąk. Proszę nie utrudniać śledztwa, dobrze?

— Nic z tego nie będzie, szefie — zakomunikował mundurowy. — Trzeba by przekreślić do Leona, niech przyjedzie z weterynarzem. To bydlę jest niezniszczalne.

Dyzio rzeczywiście sprawiał wrażenie automatu, gdy tak w równych odstępach czasu przysiadł, wydawał z siebie ostre szczeknięcie i podskakiwał na jakieś pół metra. Nie dziwiło mnie to jednak, bo miał za sobą wyczerpujące nocne treningi-

— Uśpić go, panie władzo — doradziła życzliwie sąsiadka. Według mnie za takie rady powinno się karać.

— Proszę nie wchodzić w kompetencje — ostrzegł kobietę policjant. Po jego inteligentnej twarzy przemknął jakiś cień.

- Nie będziemy nikogo usypiać, psa należy jedynie uspokoić. — Widywałeś tu ostatnio jakieś obce, podejrzane zachowujące się osoby? — wrócił do przesłuchiwanie mnie. — Może słyszałeś coś niepokojącego, na przykład w nocy?

Mogłem wprawdzie wspomnieć o Dudzie i Kalafiorze, ale przypomniałem sobie ostrzeżenie pana Karola: „...czas wyszykować groby. Czasami ludzie umierają, Jasiu. Zwłaszcza

291

ci wścibscy...”, na wszelki wypadek zatrzymałem więc informacje dla siebie. Niespieszno mi wcale na cmentarz.

— W nocy nikogo nie widuję, bo śpię tak głęboko, że mogliby strzelać z armaty, ale w dzień — owszem, często widuję podejrzanych osobników, proszę pana. Konkretnie dwóch — powiedziałem, nie mogąc się oprzeć narastającej we mnie irytacji.

— Tak? — długopis zadrżał w dłoni przesłuchującego.

— Jeden taki... przeterminowany z wyglądu, dosyć rozczochrany i siwy... — wyliczałem, a mężczyzna notował skrupulatnie. — Z batem.

— Dlaczego z batem? — Długopis znieruchomiał.

— Ponieważ bez bata koń by go nie słuchał, proszę pana. Tak myślę.

— Zaraz... — policjant zmrużył oczy — Koń, powiadasz? Czyli ten opisywany podejrzany jeździ konno... Pewnie dżokej?

— Niee, jaki tam dżokej! — Wzruszyłem ramionami. — Taki dziadyga? Zwykłym wozem jeździ. Drewnianym, z koniem z przodu.

— Głupoty opowiadasz. — Wsunął długopis do kieszeni kurtki. — Co w tym podejznanego?

— Podejznanie jest to, że codziennie bladym świtem drze się: „Mleeko!”, a na Rejtana nikt od niego tego mleka nie kupuje, bo facet ma zarośnięte brudem łapska i obaj nieźle cuchną. On i koń — błaznowałem.

— Ja kupuję, panie władzo, dla Aurelki, mojej wnuczki po młodszej córce Beacie. Mąż jej telewizory naprawia, robotny chłopak! — Bąkowa wyjrzała zza ramienia policjanta. — To

292

mleko zdrowe, prosto od krowy Pan go nie słucha, bo to niezły łobuz. Ogrodzenia po dziś dzień nie pomalował, a farbę kupioną ma!

— Pani natychmiast odejdzie, bo będzie usiłowanie napaści na funkcjonariusza i kolegium — mężczyzna wskazał Bąkowej chodnik po przeciwległej stronie ulicy.

— Jest jeszcze ten drugi — przypomniałem. — Przemieszcza się na rowerze i o wszystko wypytuje. A listy nieraz otwarte do skrzynki wrzuca. Porządny listonosz tak nie postępuje, proszę

pana. Szpieg jakiś i tyle.

— Aha, czyli że się nie dogadamy — stwierdził policjant.

— Kręcisz, jakbyś miał coś na sumieniu. Może rzeczywiście masz?

Przeraziłem się, że przechołowałem, lecz odpowiedziałem przytomnie:

— Nic nie mam. Zresztą, proszę zapytać sąsiadkę, ona wie najlepiej, co kto gdzie ma.

— No, no, nie denerwuj się, chłopcze, i skończ z tym dowcipkowaniem. Na razie jesteś wolny, choć niewykluczone, że będę miał do ciebie jeszcze kilka pytań — zakończył policjant szorstko. I poniekąd rozumiałem tę zmianę.

Dyzio uspokoił się, gdy tylko policjanci wsiedli do radiowozu. Na odjezdnym ten, który mnie przesłuchiwał, opuścił szybę i przywołał mnie skinieniem głowy

— Dziwię się, że nikt tutaj nie chce nam pomóc, ale cóż, takie czasy. Społeczność osiedlowa od siedmiu boleści

— skrzywił się ze smutkiem. — Gdybyś zauważył coś,-co

• 293

pomogłoby nam ująć poszukiwanego, zadzwoń — podał mi wizytówkę. Nazywa się Jerzy Korowalek i jest młodszym inspektorem wydziału kryminalnego Miejskiej Komendy Policji w Zielonej Górze. Z tymi zatokami nad wysokim czołem wcale nie wygląda na młodszego.

— Dobrze — mruknąłem. — Chociaż ja... — zawahałem się. — Ja...

— Boisz się kogoś, prawda? — Policjant powstrzymał gestem wrzucającego bieg kierowcę.

— Nie — bąknąłem. — Lubi pan psy? — zapytałem, czując nagły przypływ odwagi. — Ten Dyzio ma niewygodną budę, zauważył pan?

Policjant wychylił się z samochodu, próbując oszacować wzrokiem wielkość budy.

— Nie sądzę... Buda jak buda, nawet według mnie za duża. Znowu zawracasz mi głowę głupotami?

— Skoro tak pan uważa — powiedziałem zawiedziony — Do widzenia.

— Do widzenia. — Odniosłem wrażenie, że policjant uśmiechnął się nieznacznie. — A pani niech już nie podsłuchuje, pani Bąk, to nieładnie! — pogroził palcem stojącej za mną sąsiadce. Nie mam pojęcia, jakim sposobem znalazła się za moimi plecami. Teleportowała się?!

Radiowóz odjechał, więc grabiący niewidzialne liście sąsiedzi rozeszli się do domów. Poszedłem w ich ślady

Nie zdążyłem jednak nawet zdjąć butów, kiedy zaświergo-tał mój telefon. Popatrzyłem na wyświetlacz.

294

— Co jest, Gnida? — zapytałem niechętnie.

— Słyszę, że humor ci dopisuje, Cyna — zarechotał mój rozmówca. — W domu wszyscy zdrowi?

— Nie bredź, tylko mów, czego chcesz.

— Gratuluję awansu, przyjacielu — powiedział uprzejmie, choć przyjaciółmi nigdy nie byliśmy — A tak mówiąc poważnie, to mam ci przekazać, że plany się zmieniły i to, co wiesz, odbędzie się dzisiaj.

— Bez sensu — skomentowałem. — Plomba mówił, że piszą z fizyki jutro, więc co mamy podmieniać?

Gabryś w ciszy przeżuwał moje słowa. W końcu odezwał się ostrożnie:

— Faktycznie, osobliwe, chociaż niewykluczone, że już zdobyli pytania i przygotowali gotowce...

— Przecież to się kupy nie trzyma — zachnąłem się. — Podłożymy dzisiaj sprawdziany, a facio w ogóle się nie po-kapuje, że je ma w szufladzie, i robi swoje, tak? Jutro z kolei pójdziemy drugi raz i podwędzimy te niedobre, żeby zostały tylko te dobre, zgadza się? Debil, który nad tym dumiał, powinien zamienić się na mózgi z szympansem — wyszłoby mu to na dobre. Zakładam, że ten artysta nazywa się Jacek Plomba i waży dwie tony...

— Plomba został właśnie odsunięty! — przerwał mi Gnida niecierpliwie. — Przez to...

— Co?! Chyba się przestyszałem?

— A co ja powiedziałem? — mój rozmówca wpadł w popłoch.

— Odsunięty — wycedziłem.

— O, na pewno się tak nie wyraziłem. Ty mówiłeś, że Plomba waży dwie tony, a ja odparłem, być może niegrama-tycznie, że właśnie został odchudźnięty — tłumaczył się pospiesznie. — Miałem na myśli to, że się ostatnio odchudził, ale nie o nim teraz rozmawiamy Bądź o siódmej pod szkołą, dobrze?

— Daj spokój, Gnida, straciłem serce do sprawy, więc nic z tego nie będzie.

— Zapytałem, czy się zgadzasz, tylko dla formalności, a nie po to, żebyś miał możliwość wyboru, Cyna. Nie radzę ci się wycofywać, bo stracisz o wiele więcej niż serce — ostrzegł.

— Zapomniałeś, jaką potęgą jest Klan Zaufanych? Wierz mi, zawieszanie w prawach ucznia to jedynie niewielka próbka naszych możliwości. O siódmej pod szkołą albo pożałujesz, że żyjesz, cukiereczku. Na razie.

Rozłączył się i to uratowało mój telefon przed roztrzaskaniem o ścianę. Wpadłem we wściekłość.

— O wy źmije! — zazgrzytałem zębami. — Czekajcie no... Nie zdążyłem wymyślić żadnej wyrafinowanej pogrózki,

bo moja komórka znów ożyła. Z rozpędu odebrałem.

— Tu Jacek — szepnął Plomba roztrzęsionym głosem.

— Nie uwierzysz, ale zrobiła się...

— Pal gumy, frajerze! — rzuciłem, wciskając wyłącznik aparatu. Kolejny zafajdany „przyjaciel” się znalazł! A pies z nim tańczył...

Rozdział 28.

Kto chce mi dokopać?

Po obiedzie opowiedziałem rodzicom o wizycie policjantów.

— Karol jest poszukiwany? — mama zatrzepotała rzesami. Rano wypróbowała nowy przedłużający tusz i teraz pod jej oczami zebrało się mnóstwo czarnych drobinek. — Niemożliwe!

— W dzisiejszych czasach wszystko jest możliwe, Madziu — skwitował ojciec. — Uczciwą pracą nikt się nowego mercedesa nie dorobi. Poza tym Karol od dziesięciu lat jest bezrobotny, a żyje lepiej od nas. Mówiłem ci, że to pachnie kryminałem — dodał z nieukrywaną satysfakcją. Nieraz słyszałem, jak mama narzekała, że w towarzystwie pani Maryli czuje się „nieszczęśliwie i ubogo”. Teraz ojciec dostał okazję na rewanż.

Wyszedłem z kuchni i zjrzałem do salonu. Glut już zdążył ulokować się przed telewizorem, więc nici z planów obejrzenia muzycznych nowości. Usiadłem ciężko na kanapie obok brata.

— Bolek i Lolek bawią się w Indian — powiedział podekscytowany Krzys. — Pomalowali się na czerwono.

— Widzę.

— A wiesz, co znaczy Bolek? Wzruszyłem ramionami.

— Bolesław! Tatuś mi powiedział — pochwalił się mały

— Wielkie mi co — prychnąłem. — Też o tym wiem.

— A Lolek?

Tym mnie zaskoczył.

— Lolek? Pewnie... Lolesław?

— Aleś ty głupi! — ucieszył się Glut. — Nie wiesz, a ja wiem!

— No to powiedz.

— Karol! — Glut wygiął śmiesznie usta i pokiwał głową.

— Całkiem jak pan sąsiad, co go ścigają bandyci.

— Nie bandyci, tylko policjanci — poprawiłem. — Chwila...! — poderwałem się z kanapy. —

Karol to Lolek? A niech mnie, Bolek i Lolek! Dziecinada, zwyczajna dziecinada! Że też sam na to nie wpadłem!

— Przestań krzyczeć, bo powiem tacie, że zwariowałeś

— zaniepokoił się przedszkolak.

— Jesteś słodki — cmoknąłem go w policzek. Miał tam zaschnięte resztki barszczu i czegoś

jeszcze. — Karol to Bolek, genialne!

— Karol to Lolek, pomyliło ci się — braciszek popatrzył na mnie z wyższością.

— Nic mi się nie pomyliło — uśmiechnąłem się. — Powiedz mi lepiej, która godzina, smoku?

— A sam się nie znasz na zegarze?

— Znam się, ale chcę sprawdzić, czy ty się znasz. — Od miesiąca ćwiczyliśmy go w odczytywaniu czasu.

298

Krzyś odgarnął grzywkę z czoła, żeby lepiej widzieć, i wlepił oczy w tarczę swojego urodzinowego zegarka z Kaczorem Donaldem.

— Za osiemnaście po piątej... — Zabrzmiało to niepewnie. Sprawdziłem na moim zegarku.

— Osiemnaście po piątej, bez „za”. Prawie ci się udało. — W przypiływie braterskiej miłości zwichrzyłem mu włosy.

W pokoju panował bałagan, lecz migiem się z nim uporałem i otworzyłem okno, by pozbyć się przykrego zapachu niewiadomego pochodzenia, a potem przez blisko godzinę uzupełniałem zapisy w moim podręcznym archiwum. Przy okazji odkryłem smutną prawdę: mój czerwony zeszyt się kończył. Oby nie był to zły omen.

Ostatnie pięć minut przed wyjściem poświęciłem na szukanie pod łóżkiem latarki. Nie było to łatwe zadanie, zważywszy, że wcześniej wepchnąłem tam koc, brudne ciuchy po wuefie, trampki z wetkniętymi w nie skarpetami, ze dwadzieścia przeczytanych czasopism komputerowych i talerz po frytkach z ubiegłego tygodnia.

Odnaleziona latarka trochę przerywała, ale — z drugiej strony — trochę też świeciła. Pewnie to dziwactwo, lecz zawsze staram się we wszystkim znaleźć coś pozytywnego.

— Wychodzę — oznajmiłem, starając się nadać głosowi poważne brzmienie.

— Wykluczone, nie będziesz nigdzie łąził po nocy — odpowiedziała mama.

299

Najwyraźniej nadal ma mnie za dziecko. Nawet nie oderwała wzroku od ekranu telewizora. Obok mamy w pozycji horyzontalnej drzemał ojciec, przykryty gazetą.

— Dopiero wpół do siódmej, mam. Mam... mam próbę chóru przed Dniem Nauczyciela.

Palikowa kazała nam być, bo chce się wykazać do awansu — zełgałem.

— To kłamstwo, wiecznie mnie oszukujesz, Edwardzie — Justyna, bohaterka serialu Klęski samotności, z wyrzutem spojrzała na mnie z ekranu. Poczuję się jak ostatnia łajza.

— O której wrócisz? — mama włożyła do ust czekoladkę. Musiała mieć podzielną uwagę, ponieważ rozmawiając ze mną, w dalszym ciągu pilnie śledziła akcję filmu.

— Niedługo, pewnie za godzinę — uspokoiłem ją, ubierając kurtkę.

— W porządku, ale pamiętaj: na próbę i z powrotem. Jeśli nie będzie cię do dziewiątej, dzwonię na policję.

„Biedna mama” — pomyślałem wzruszony Gdyby wiedziała, w co się wpakowałem, przykułaby mnie łańcuchem do kaloryfera.

Wieczór był piękny, ciepły i rozgwieżdżony Neony sklepów rzucały kolorowe plamy światła na chodniki, po których spacerowali nieliczni przechodnie, kontemplujący wieczorną ciszę. Za chwilę pewnie ktoś włączy latarnie i nie będzie już tak romantycznie.

Moje myśli krążyły wokół Ani. Jak mogła mnie tak zbyć? „Cześć, Cyna”, dobre sobie... I do kogo należy samochód, do którego wsiadła w takim pośpiechu?

300

Właśnie zbliżałem się do kina „Wenecja”, kiedy zacząłem odczuwać niepokój. A gdyby tak wstąpić do Kostka i pogadać? Nie, to głupi pomysł. Ptak zachowywał się dość podejrzanie. Być może kombinował coś z Klanem. Ślepy by się zorientował, że Kostek wchodzi w jakieś tajne układy z Plombą, więc darujmy sobie te pozory przyjaźni. Zostałem samotnym wilkiem.

— Stój! — Z cienia za kioskiem z gazetami wynurzył się ostrzyżony do samej skóry chłopak w czarnym albo granatowym dresie (trudno to ocenić przy takim świetle). Spróbowałem go wyminąć.

— Stój, mówię! — W jego dłoni błysnął podłużny przedmiot. Nóż?

— Nie mam pieniędzy... — jęknąłem, czując obezwładniającą niemoc.

— Pieniądzy? Odbiło ci, Cyna? — Chłopak podszedł bliżej.

Rozpoznałem go i westchnąłem.

— Grządka, niech cię diabli! Przestraszyłeś mnie, czubku jeden. — Nadal byłem spięty, lecz pierwszy szok już minął.

Franek Grządka był jednym z mniej rzucających się w oczy koleś z drugiej „e”. Pewnie gdyby nagle przestał pojawiać się w szkole, nikt by tego nawet nie zauważył.

— Po co się tu czaisz i wymachujesz nożem? — zapytałem. — Napadasz na staruszki?

— Jakim nożem, człowieku — obruszył się. — To klucz do szkoły. Przecież idziesz na podmiankę. Chyba nie zamierzałeś otworzyć drzwi palcem?

301

— No nie... — Pytanie Franka było nie tylko logiczne, ale i skłaniające do zastanowienia. — Ale dlaczego to ja mam otwierać? Przecież chyba nie będę sam. Jakiś cymbał musi dowodzić akcją, czy ja wiem... Dyrygować i w ogóle.

— Bierz klucz — Grządka wcisnął mi w dłoń kawałek zimnego metalu. Unikał przy tym mojego spojrzenia, co było irytujące.

— To znaczy, że jednak będę sam?! — wybuchnąłem. Przechodząca obok skulona kobieta drgnęła, a potem oddaliła się w pośpiechu. Stukot obcasów dodatkowo mnie rozdrażnił. — Nigdzie nie idę, nie ma mowy! Wsadź sobie ten klucz... wiesz gdzie! I przekaz Klockowi, że może kazać się wypchać! Z drogi! — Popchnąłem Franka i ruszyłem przed siebie.

Po kilku krokach zatrzymałem się, gdyż ze złości pomyliły mi się kierunki. No i nadal trzymałem w ręce klucz — musiałem go zawrócić.

— Jeszcze tu stoisz? — mijając Grządkę, znowu go potrąciłem, jednak tym razem nie ustąpił.

— Przestań histeryzować! Na pewno przyjdzie paru chłopaków — sapnął, trzymając mnie za ramiona. — Otworzysz tylko szkołę, zaczekasz przed pracownią i ktoś się pojawi. Przecież nie zostawimy cię, Cyna, na lodzie. No co ty, sugerujesz istnienie jakiegoś spisku przeciwko tobie? Brzmiało to przekonująco.

— W porządku, niczego nie sugeruję — powiedziałem uspokojony. — Ty nie idziesz?

— Ja nie mogę, starzy wymyślili sobie wyjście do kina i zostawiają dom na mojej głowie — usprawiedliwił się.

302

— Skoro tak... To na razie, Grządka. — Włożyłem klucz do kieszeni. Metaliczny odgłos uświadomił mi, że przez cały czas łażę, nosząc kradziony pierścionek. Bardzo inteligentnie! — Aha, i kup sobie miętową gumę — rzuciłem złośliwie, odchodząc szybkim krokiem. — Jedzie ci z gęby, bracie!

Zdaje się, że to usłyszał, bo koło mojego ucha świsnął przelatujący kamyk.

Furtka była uchylona, więc przemknąłem przez szkolny dziedziniec i przywarłem do ściany tuż przy drzwiach. Cisza. Wsadziłem klucz do zamka z nadzieją, że może nie będzie pasował.

Pasował, niestety.

Wciągnąłem powietrze nosem i nacisnąłem klamkę. Drzwi szkoły stały przede mną otworem, ale bez kluczy do pozostałych pomieszczeń mogłem najwyżej pozwiedzać szkolne toalety

Byłem ciekaw, po co ta cała akcja — ze strategicznego punktu widzenia nie miała przecież sensu.

Chyba że chcą po prostu sprawdzić, czy się nadaję na Zaufanego.

Włączyłem latarkę, kierując snop światła na schody.

Sygnal telefonu informujący o przysłanej wiadomości tekstowej tak mnie zaskoczył, że potknąłem się na stopniu i ześliznąłem się, tłukąc kolanami o posadzkę. Obolały, wyciągnąłem telefon.

- ODBIERZ ROZMOWĘ, TO NIE SĄ ŻARTY!!! JACEK — przeczytałem półgłosem. Jaką rozmowę?

Wyjaśniło się już w chwilę potem.

303

— Co się dzieje? — szepnąłem, przykładając telefon do ucha.

— Gdzie jesteś, Cyna?

— W szkole, tępaku! Nie udawaj, że nie wiesz!

— O kurczę! — sapnął Plomba. — Spadaj stamtąd, to pułapka!
— Żarty sobie stroisz? Jaka pułapka?
— Słuchaj, chłopaki z „e” chcą ci dokopać! Ta dzisiejsza wyprawa nie ma nic wspólnego z Klanem. Wynos się, nim będzie za późno!
— Ale Gnida mówił...
— Gnida? Gnida to kolaborant! Nie wiedziałeś, że chodzi z Paulina?
— Tą od was? Rzeczywiście, ale myślałem, że on tylko...
— Podburzył klasę, kapujesz? Twój kumpel z ławki podburzył MOICH ludzi! Odsunęli mnie od wszystkiego... — gorączkował się Plomba. — Chciałem ci o tym powiedzieć, ostrzec cię, Cyna! Musisz się ewakuować, bo wrzucili Wąsikowi do skrzynki anonim z informacją, że będzie włamanie do szkoły. Podrobili klucz i...
— Jeżeli kantujesz — przerwałem mu — to koniec umowy. Wycofuję się na amen.
W słuchawce zatrzeszczało.
— Nie kantuję, uciekaj! — ponaglił przewodniczący — Jutro pogadamy. Zdaje się, że ktoś mnie obserwuje... — W słuchawce zatrzeszczało i telefon umilkł.
Ruszyłem ku drzwiom, lecz na dworze błysnęło nagle światło reflektorów, omiatających przez okna wnętrze

304

budynku. W popłochu rzuciłem się na podłogę, łowiąc miotane basem przekleństwa. Okrzykiem mężczyzny towarzyszył skowyt podnieconej Soni.
Oczyrna wyobraźni zobaczyłem siebie, leżącego na korytarzu z rozszarpanym kłami gardłem, i wpadłem w panikę.
— Proszę, tylko nie to... ja już nigdy... — mamrotałem, pełznąc w stronę schodów -wiodących do sali gimnastycznej.
Mogłem uciekać w którąkolwiek stronę, ale czując się jak nędzny robak, kierowałem się instynktem robaka. A ten ciągnął mnie do piwnic.

305

Rozdział 29.

Skarby Bębniawy

Znalazłem się w dobrze znanym, przesiąkniętym zapachem potu i pasty do podłóg korytarzu. Z oddali dobiegały odgłosy poszukiwań, zniekształcone przez błakające się między ścianami spłoszone echo. Gdyby nie latarka, osiwiiałbym ze strachu w tych ciemnościach.
Szarpnąłem drzwiami od szatni, lecz nic to nie dało — bez łomu nawet nie mam co marzyć o ich sforsowaniu. Próba dostania się do kantorka sprzętaczek zakończyła się kolejnym niepowodzeniem. No i finisz, już nie mam gdzie uciekać.
Owładnięty niepohamowaną furją, kopnąłem we framugę i wówczas zdarzyło się coś, co jeszcze długo będę pamiętać. Znad górnej listwy framugi wypadł zaśniedziały patentowy kluczyk, który odbił się od mojego buta i potoczył się po podłodze, dźwięcząc beztrudnie w mroku korytarza.
— Niemożliwe! — pisałem.
Omiotłem snopem słabnącego światła przestrzeń wokół nóg, pomstując w duchu na swą bezmyślność. Sto razy przymierzałem się już do kupienia nowych baterii i sto razy o tym zapominałem.

W końcu dostrzegłem klucz — leżał pod ścianą, jakieś dziesięć kroków ode mnie. Rzuciłem się na zgubę, ale kiedy

306

musnąłem kluczyk opuszkami palców, latarka zgasła, a ja grzmotnąłem głową-o ścianę. Ogarnęła mnie ciemność i poczułem przejmujący ból.

— ..awdzimy na dole ..ole! — ostrzegło echo. Oprzytomniałem. Wróg zbliżał się, więc przestałem rozczulać się nad rosnącym guzem i wyszeptałem błagalnie:

— Zapal się! Nie rób mi tego, moja śliczna...

Jednak zaniedbywana od miesięcy latarka była nieprzejednana. Nie pomagało skuteczne zazwyczaj potrząsanie ani pukanie paznokciem w szybkę.

— Zlituj się — jęknąłem. — Przecież mnie tu zlinczują.

— Jest tam kto?! — Tym razem echo nie odezwało się, a to oznaczało, że szukający włamywacza są naprawdę blisko.

— Oby cię tasiemiec zeżarł, wredna małpo! — Stuknąłem pięścią w blaszaną obudowę. Latarka mrugnęła i zaczęła świecić migotliwym blaskiem. Dostrzegłem kluczyk tuż obok mojej dłoni — wystarczyło dokładniej poszukać. Na przyklejonym do klucza kawałku plastra widniał wyblakły napis: ZAPAS.

— O, mój ty cudzie — ucieszyłem się (jeśli to, co właśnie czułem, można nazwać radością).

— Jest tam kto?! — U wylotu korytarza zobaczyłem kołyszącą się smugę światła z reflektora. Wskoczyłem do ciasnego pomieszczenia, przytrzymałem staczającą się z półki butelkę lizolu, włożyłem klucz i przekręciłem go w zamku — a wszystko to w ciągu mniej więcej sekundy, drżącymi rękami i niemal po ciemku. Niedawno

307

w tym samym kantorku przeżywałem podobne chwile, czyi prawdą jest twierdzenie, że historia lubi się powtarzać.

— Jak bonie dydy, panie dyrektorze, to durny kawa Sprawdziliśmy całą szkołę — i co? I nic — tłumaczył Wasi — Niepotrzebnie pana fatygowałem.

— Skoro i tak pan zadzwoniłeś, trzeba było wziąć psa, sukę czy czym tam ono jest. Pies ma lepszy nos do krymina łów niż człowiek — burknął Walezy z wściekłością w głosie.

— Psa nie wolno wprowadzać do szkoły, dlatego Sonia została na dworze — sapnął woźny, mocując się z drzwiami do męskiej szatni. — Zamknięte, panie dyrektorze, czyli wszystko w porządku.

— Nie wolno psa? A kto mi zabroni, co?

— Pan dyrektor sam wydał zakaz... — Gderanie Wąsika słychać było coraz wyraźniej, co oznaczało, że woźny zbliżał się do mojego schronienia. Zgasilem szybko latarkę.

— Jaki pan dyrektor? — zdziwił się dyrektor. — Możesz mu pan, panie Bródko, powiedzieć, żeby sobie nagwizdał.

— Ale to pan dyrektor jest tym dyrektorem. A ja jestem Wąsikiem, nie Bródką — woźny szarpnął za klamkę. — Tu też zamknięte.

— Ja jestem dyrektorem Bródką? Nie przypominam sobie...

Głosy zaczęły z wolna cichnąć.

— Pan zakazał wprowadzania do szkoły psów jeszcze za czasów Waldka, poprzedniego woźnego. No, za tego, co to te awaryjne klucze wszędzie poutykał. Żeby w razie pożaru można było szybko wszystkie drzwi pootwierać.

308

— Klucze kluczami, panie Wąsik, jednak szkoła nie była zamknięta. Czy pan jej nie zamknął, czy ktoś inny...

Odeszli, a ja ponownie włączyłem latarkę. Teraz, gadzina, działała bez zarzutu. Już miałem wychodzić z kryjówki, kiedy moją uwagę przykuł fragment widocznej między półkami metalowej szuflady, odstającej od ściany. To przypadek, że ją zauważyłem, bo przysłaśniało ją kartonowe pudło z proszkiem do prania, które widocznie przesunąłem, gdy ustawiałem butelkę z lizolem.

Szuflada przypominała wyczystkę kominiarską, ale — według mnie — znajdowała się zbyt wysoko. Przerabiałem temat wyczystek, kiedy w domu instalowaliśmy kominek i ojciec nakazał domownikom „zabawiać fachowców rozmową”

— jakby nie mógł tego nazwać po prostu pilnowaniem. Popękany i świeżo wykruszony tynk wokół blaszanej

ramy dowodził, że szufladę niedawno otwierano, ale w szkole mamy przecież ogrzewanie gazowe! Odciągnąłem na bok ważące ze trzy kilogramy pudło „Radinoxu z płatkami” (ekstra czystość + ekstra zapach = ekstra cena).

Szuflada stawiała przez chwilę opór, lecz dała się w końcu wyciągnąć, przynosząc niemiłe rozczarowanie. Była pusta.

Spróbowałem więc wsunąć szufladę na miejsce i nagle oblał mnie war emocji. Wewnątrz otworu coś obsunęło się z szelestem, jakby ukrywało się tam żywe stworzenie. Mysz?

— A jeśli nie mysz, to może... wąż? — zaniepokoiłem się. — Przesada — natychmiast odpowiedziałem sam sobie.

— Przecież nic nie może żyć w ścianie. Chyba...

309

Wstrzymałem oddech, włożyłem rękę w otwór, poruszając szybko palcami — żeby w razie czego wypłoszyć ewentualnego mieszkańca — i mocno zacisnąłem powieki.

— O kurde balans! — jęknąłem.

Wśród rozkutych cegieł tkwił foliowy worek z chrzęszczącą pod naciskiem zawartością.

^.

Pół kilo złota — jeżeli nie więcej! Zważyłem łup w dłoni, oczarowany widokiem błyszczących monet, pierścieni i czort wie czego jeszcze. Do tego zwitek studolarówek. .. Stałem się zamożnym czło- 11^ . ^^s^ -wiekiem — jak odkrywca starożytnego grobowca.

Nie spodobało mi się skojarzenie z grobowcem, wcisnąłem więc worek z powrotem między szorstkie cegły. Podsluchane rozmowy, niedopowiedzenia i dwuznaczne zachowania ułożyły się teraz w logiczny ciąg. Wiedziałem, do kogo należy skarb.

Pan Miłosz Bębniawa był przestępcą!

Skrupulatnie zatarłem ślady ingerencji w złodziejski sekret nauczyciela, postanawiając do niczego się nie mieszać.

310

Brak jakichkolwiek odgłosów z zewnątrz ośmielił mnie w końcu do opuszczenia kryjówki. Jeśli nic więcej już się nie wydarzy, wrócę do domu na czas, od jutra zaś rozpocznę nowe życie. Pozbędę się pierścionka, zapomnę o Klanie i o skarbach pana B., przede wszystkim jednak nie będę szukał zemsty na burakach z „e”. Uznajemy remis — i kwita.

Popatrzyłem przez szybę w drzwiach na oświetlony latarniami szkolny dziedziniec. Pusto.

Zapiąłem kurtkę, żałując, że nie mam kominiarki — fajnie bym wyglądał. Wybiegłem ze szkoły

Kiedy dobiegałem do zamkniętej furtki, zauważyła mnie Sonia. Nawet nie zaszczekała. Wydała z siebie tylko jakiś nieokreślony charkot, który początkowo wziąłem za kaszel jakiegoś przechodnia.

Nieświadomy niebezpieczeństwa, wspiąłem się na ogrodzenie, przełożyłem nad furtką lewą nogę i... utknąłem wsparty na rękach, czując pod pośladkami obiecujący dotyk zaostzonych prętów.

Wtedy dostrzegłem psa.

Sonia biegła niczym kudłaty pocisk — z podkulonym ogonem, napędzana wzrastającą agresją, a jej cel stanowił jeden jedyny obiekt we wszechświecie: JA.

Ręce drżały mi ze zmęczenia, sprężyłem się jednak do skoku, podrzucając ciało w górę.

Przy odgłosie rozrywanych dzinsów wylądowałem na chodniku. Rozpędzony pies grzmotnął w milczeniu o furtkę, aż podskoczyła na zawiasach, a grube pręty nieznacznie się wygięły.

311

Uciekałem, podciągając podarte spodnie. „Najgorszy włamywacz świata, co przeciąg w gaciach ma” — wymyśliłem w biegu. Spróbuję w przyszłości zająć się pisaniem tekstów piosenek. Refren pierwszego przeboju już mam...

Cudem ocalałem, i w związku z tym postanowiłem jeszcze tego wieczoru rozpocząć nowe życie.

Nie wpadłem jednak sam na ten pomysł — raczej zmusiły mnie okoliczności. A dokładnie Dyzio i jego smutne oczy.

Było dwadzieścia po ósmej. Dochodziłem właśnie do domu, układając w myślach historię wyjaśniającą zniszczenie spodni, kiedy usłyszałem skomlenie, dobiegające zza ogrodzenia.

— No, co tam, psinko? — W porównaniu z Sonią ten machający ogonem kundelek o czarnej podpalanej sierści wydał mi się uosobieniem łagodności.

Dyzio spojrzał na mnie, przechylając głowę, i zaskowyczał rozdzierająco.

— Coś cię gryzie, staruszk? — Zbliżyłem się do ogrodzenia, na co pies zareagował entuzjazmem.

— Hej, malutki, przywitasz się? — wyciągnąłem dłoń.

Pies przysiadł tuż przy ogrodzeniu, próbując precyzyjnie łapę przez oko metalowej siatki. Obliznął się

przy tym nerwowo.

— Rozumiem, jesteś głodny Nie nakarmili pieska? Niedobry pan przestępca zostawił cię samego, tak? — zwracałem się do niego jak do małego dziecka. Pewnie dlatego, że był taki biedny i opuszczony... — Zaraz wrócę, zaczekaj

312

— obiecałem. — Zaraz... Powinienem powiedzieć: „Waruj!”. Waruj! Kapujesz? No, to waruj. Nie byłem pewien, czy wrócę, a jeśli nawet — to czy zaraz, nie chciałem mu jednak odbierać nadziei. Nacisnąłem klamkę.

— Nawet nie myśl, że jutro znowu będziesz sobie łąziko-wał. Zadzwońię do szkoły i wypiszę cię z tego chóru — przywitał mnie ojciec. Chyba nie był zbyt życzliwie nastawiony do otaczającej go rzeczywistości.

— Sami mnie wypisali, nie musisz nigdzie dzwonić — pośpieszyłem z odpowiedzią, obracając się czujnie. „Zwracaj się przez cały czas twarzą do rozmówcy”. — Palikowa po przesłuchaniu mnie stwierdziła, że takie dźwięki wydobywać się mogą raczej z końskiego zadka niż z ludzkiego gardła — improwizowałem.

— No, coś podobnego, tym bardziej do niej zadzwonię!

— oburzył się mój rodzic.

Zdaje się, że tym razem przesadziłem.

— Zartowała, tato — tłumaczyłem szybko. Straciłem czujność!

Mama, do tej pory spokojnie oglądająca film, zainteresowała się naszą wymianą zdań i wyszła z salonu.

— Ja chyba śnię! — krzyknęła na mój widok. — I to są twoje nowe dzinsy?!

Zaspany Glut otworzył drzwi, wystawiając przez szparę rozczochraną głowę.

— Klóćcie się?

313

— Nikt się nie klóci, Krzysieńku — uspokoiła go mama.

— Chociaż istnieje szansa, że zostaniesz jedynakiem.

— To super — ziewnął przedszkolak i zamknął drzwi. Mam nadzieję, że nie zrozumiał słowa „jedynak”.

— Dzinsy dalej są nowe, a dziura to nie z mojej winy — obruszyłem się, postanawiając udawać dotkniętego.

— Zawsze tak mówicie, cokolwiek by się nie działo! — zaczęła mama.

Ojciec dyskretnie dał nogę, bo rozmowa zmierzała ku trudnemu tematowi męskiego podejścia do rzeczywistości.

— No, dalej, wykręcaj się sianem!

„Sama mnie do tego zmusiła” — usprawiedliwiłem się w duchu.

— Pomagałem staruszce wsiąść do taksówki... — zacząłem. Mama parsknęła śmiechem. Być może głupio to wymyśliłem, ale nie miałem natchnienia.

— Taka jest prawda — skłamałem. — Staruszka się pochyliła i wtedy...

— ...wyskoczyła jej z ust sztuczna szczeka i capnęła cię za spodnie? — ubiegła mnie mama, złośliwie się uśmiechając. To chyba nazywa się szyderstwem; potem sprawdzę.

— Nie — ciągnąłem. — Miała w koszyku kłębek wełny z drutami do dziergania i jednym z tych drutów... A zresztą, dlaczego tracę czas na tłumaczenia? — obraziłem się. — Dyżia trzeba nakarmić, od rana nic nie jadł, biedaczysko. Pić pewnie też mu się chce — zmieniłem temat. — Zostało coś z kolacji?

— Masz rację, tak, biedaczysko. Policjanci sprowadzili weterynarza, a ten dał mu jakieś środki uspokajające — mama

314

pokiwała głową ze współczuciem. — Sprawdź, co tam jest w lodówce. I pospiesz się, bo już późno. Radość psa nie miała końca. Na przemian jadł, chleptał wodę i tańczył wokół mnie, usiłując wysmarowanym paszte tern jęzorem lizać moje dłonie.

W końcu rzuciłem kość daleko między drzewa i wykorzystałem okazję, żeby spenetrować skrytkę

pod budą.

Tak, jak się spodziewałem, ktoś ją opróżnił. Ciekawe kto? Policja? A może Bolek? Rozejrzałem się z niepokojem.

315

Rozdział 30.

Spotkanie najmniej pożądane

Noc była wyjątkowo cicha, ale nie mogłem zasnąć. Przypuszczam, że jestem uzależniony od hałasu. Czy to jest normalne? Męczony tym niespotykanym hałasem, wierciłem się mniej więcej do drugiej po północy, próbując po kolei liczenia: baranów (nie działa), śladów po zatłuczonych na suficie komarach (nie działa), ludzi, z którymi mam na pieńku (nie polecam, działa wręcz odwrotnie); wreszcie zabrałem się za odtwarzanie z pamięci układu okresowego pierwiastków — działa rewelacyjnie, zasnąłem mniej więcej przy antymonie.

Rano pokrzepiłem się podwójną porcją witamin i magnezu, bo odniosłem wrażenie, że jestem znacznie osłabiony — może nawet umierający? Gdyby nie wrodzona skromność i niechęć do budzenia litości, szedłbym do szkoły, powłóczęc nogami.

U wylotu Rejtana czekał na mnie nachmurzony Kostek. Minąłem go bez słowa.

— We łbie ci się, synu, poprzewracało? — dogonił mnie zaskoczony.

— A, to ty. Już nie mieszkasz przy Konstytucji? — Wsadziłem ręce do kieszeni. — A może czekasz na Klocka

316

albo innego najlepszego kumpla? Nie chciałbym przeszkadzać.

— Jednak ci się poprzewracało — stwierdził Kostek. — Szkoda, bo to ty jesteś moim najlepszym kumplem. Tak mi się przynajmniej wydawało.

— Mi też się coś wydawało — zwolniłem kroku. — Wydawało mi się mianowicie, że gramy w jednej drużynie przeciwko Klanowi. Ale ty nie możesz grać przeciwko Klanowi, bo sam jesteś Zaufanym, czyż nie?

— Daj spokój, Jasiu — pokręcił głową wyraźnie zdumiony Kostek. — Jestem tak daleki od współpracy z Klanem, że nawet nie masz pojęcia. Pozory mylą, przyjacielu. Powinieneś o tym wiedzieć... Uważaj!

Przytrzymał mnie za rękaw, zatrzymując w miejscu, kiedy pół metra przede mną śmignął rozpedzony czerwony samochód z wyjącem rozpaczliwie donośnym klaksonem. Dopiero teraz zauważyłem, że wszedłem na jezdnię.

— Uff! Dzięki, Kostek — odetchnąłem głęboko. — Chcę ci wierzyć, stary, ale musisz wreszcie powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi — dokończyłem słabym głosem. Właśnie do mnie dotarło, że przed chwilą Ptak uratował mi życie.

— Wiem... — Przebiegliśmy na drugą stronę ulicy, więc przerwał na chwilę. — Wiem, że muszę ci powiedzieć... Dzień dobry! — przywitał śpieszącego do pracy pana Krzywkę. Ukłoniłem się również.

Podbiegliśmy kawałek, żeby uniknąć kłopotliwego towarzystwa nauczyciela. Lepiej nie myśleć, co by było, gdyby ktoś zauważył, że poza szkołą rozmawiamy z belfrem.

317

Obejrzelśmy się dopiero na wysokości kina „Wenecja”. W porządku — wymachujący teczką chemik pozostał daleko w tyle.

— Klan to banda kanciarzy — zaczął Ptak. To już jednak wiedziałem. — Jest ktoś, kto inwigiluje ich od wewnątrz, ale... hmm. Ostatnio zaczęli mu się baczniej przyglądać, stąd pomysł, żeby tam wkłęcić jeszcze ciebie. Przewrotnie wykorzystaliśmy twoją złą u nich opinię i konflikt z drugą „e”, żeby cię przyjęli. Oczywiście po to, by cię zniszczyć. Miałeś odwrócić ich uwagę od naszego agenta...

— Naszego? Jakiego „naszego”? — wpadłem mu w słowo. — I co znaczy: „odwrócić uwagę”? Zrobiłeś ze mnie przynętę?

— O tym za chwilę, Jasiu — powiedział uspokajająco. — Ważniejsze jest to, co się działo od czasu twojej ucieczki z Jamy. Już wiem, że Walezy cię odwiesił, martwi mnie jednak...

— Wcale nie uciekłem — zmarszczyłem brwi. Też wymyślił! — Zachowywałeś się jakoś tak... czy ja wiem, obco? W każdym razie podejrzenie.

Kostek nachmurzył się jeszcze bardziej. Coś go trapiło.

— Mów dalej — westchnął ciężko.

— Do sąsiada, wiesz, tego pana Karola Łobodaka, przyjechała policja...

Opowiedziałem mu o wszystkim. Słuchał w skupieniu i ożywił się dopiero na widok wizytówki młodszego inspektora.

— Jerzy Korowalek? Nie przypuszczałem, że... Zresztą, powiem ci o tym w swoim czasie.

— Znasz tego gościa? — Ptak znowu mnie zadziwił.

318

— Tak trochę, a właściwie... Szlag by to trafił! — zjeżył się niespodziewanie na widok drapiącego się po szczęce, stojącego przed „Kefirkiem” Gabrysia Gniteckiego.

Gnida sprawiał wrażenie znudzonego czekaniem na kogoś. Rzeczywiście czekał — na mnie.

— Pogadamy później — spłoszył się Kostek. — Ten koleś jest szkodliwy Uwważaj na każde słowo — szepnął, gdy dochodziliśmy do baru.

— Ho, ho, ptaszynki znowu razem. Jaki przyjemny widok! — przywitał nas rozpromieniony

Gnida. — Zatrzyma się człowiek, żeby zawiązać sznurowadło, i proszę, starzy znajomi. Idziecie do szkoły? — zaśmiał się bezczelnie.

— Gnida, ty wszawy gnojku — chwyciłem go za klapy rozpiętej kurtki. — Wrobiłeś mnie...

— Daj spokój — syknął Ptak. — Nie warto.

— Ależ proszę, wyżyj się, Cyna — prowokował ciągle uśmiechnięty Gabryś. — Tylko żebyś później nie płakał, jeśli stanie się coś paskudnego.

Puściłem łobuza, a on przyglądał wymięty materiał i powiedział spokojnie:

— Mam sprawę do naszego przyjaciela, Ptaku. Bądź tak miły i pozwól nam porozmawiać bez świadków.

— To znaczy?

— Oddał się po prostu — uściślił Gnida.

— Tak się składa, że nie mam chęci na pogaduchy ze sprzedawczykiem — przerwałem mu, krzywiąc się niemilo. — Spłyń więc, dopóki nad sobą panujesz! — Och, jakże mnie korciło, żeby go palnąć. — Chodźmy, Kostek!

319

Ptak jednak zrobił rzecz niesłychaną. Zamiast odejść, zostawiając Gabrysia wraz z jego pychą na pastwę losu (czyli zbliżającego się pana Krzywki), spuścił po sobie uszy i powiedział:

— Racja, pogadajcie.

— No coś ty? — wytrzeszczyłem oczy. — Pozwalasz temu zdrajcy sobą rządzić?

Mój przyjaciel podrzucił spadającą z ramienia torbę, obrzucił mnie pełnym troski spojrzeniem i odszedł. Chciałem za nim pobiec, lecz Gnida zniweczył moje zamiary, mówiąc:

— Nie radzę. Każdy twój ruch jest obserwowany. Zrobisz za nim krok i stanie się katastrofa. —

Machnął przy tym ręką w nieokreślonym kierunku. Byłem pewien, że blefuje. — Lubię cię, Cyna, więc zaufaj mi wreszcie.

— Sprzedałeś mnie — warknąłem, odprowadzając wzrokiem znikającego w tłumie Kostka.

— Pamiętasz, jak cię ostrzegałem?

— Sprzedałeś mnie, Gnida, wystawiłeś mnie moim wrogom! — podsunałem pięść pod jego nos. Nawet nie drgnął.

— Musiałem. Zależy mi na Paulinie, a oni gotowi byli nas rozdzielić. Poza tym jak zwykle udało ci się wykaraskać, więc chyba spoko?

Co prawda wczoraj rozpocząłem nowe życie — spokojne i poczciwe — więc nie wiem, co mnie właściwie podkusiło, żeby zapytać:

— Chcesz czegoś konkretnego, zanim cię uduszę?

— Nie ja, Cyna, to Klan czegoś od ciebie chce. Chce trzeciej twarzy.

320

- Do szkoły, chłopaki. Co wy tu jeszcze robicie? Za siedem ósma! — zawołał przechodzący obok

pan Krzywka.

— Już idziemy, proszę pana! — zapewnił Gnida. — Jedna krótka chwila i pędzimy!

— Mam nadzieję. — Odchodząc, chemik pogroził nam palcem.

Zaczęliśmy iść szybciej. Gnida obszedł mnie dookoła, dając komuś znak uniesionym kciukiem, po czym położył rękę na moim ramieniu. Odwróciłem się, żeby sprawdzić, z kim się w ten sposób porozumiewa. W tej samej chwili ktoś dał susa do sklepu spożywczego, potrącając przy tym obladowaną zakupami kobietę, nie zdążyłem jednak zauważyć, kto to. Czyżby Gabryś nie zmyślał z tym śledzeniem?

— Słuchaj, pacanie, jeszcze raz mnie dotkniesz, a stłukę cię przy ludziach! — Zdjąłem z ramienia jego dłoń i z całej siły wbiłem w nią paznokcie. Gabryś nie był odporny na ból, bo aż przysiadł.

— Co w tobie za diabeł siedzi, Cyna? — o mało się nie popłakał. Wytarł szybko nos rękawem i uśmiechnął wymuszenie. Musiał trzymać fason, ponieważ wchodziliśmy właśnie na dziedziniec w asyście gromady nastolatków, przygnębionych perspektywą kolejnego dnia w szkole.

Przy okazji przyjrzałem się uszkodzeniom na furtce, ale tym niech się martwi Wąsik — to jego pies narozrabiał.

— Nic we mnie nie siedzi. A ty, zamiast się oswajać, powiedz, co masz powiedzieć i skończmy wreszcie tę komedię — wyrzuciłem z siebie, zatrzymując się w holu.

— Na drugiej przerwie stawisz się w kiblu. Zapamiętasz?

321

— Zapamiętam, bo kibel to najwłaściwsze miejsce dla Klanu, Gnida. Myśleliście już o przeniesieniu tam siedziby? Szkoła mogłaby wam pewnie tanio wynająć to pomieszczenie, napiszcie podanie. A może w kiblu za mało śmierdzi?

— Mówisz wiele niepotrzebnych rzeczy Szef nie będzie zadowolony! — przeraził się Gabryś, rozglądając się z niepokojem na wszystkie strony.

— A któż jest tym ważnym szefem? Nie Klocek przypadkiem?

— Druga przerwa, toaleta męska, OK? — Gabryś zignorował moje pytanie. — I zero kontaktu z Konstantym Ptakiem. Podkreślam: ZERO, bo gorzko pożałujesz!

Pierwszy tego dnia dzwonek pozbawił mnie przyjemności rzucenia ciętej uwagi. Należało się streszczać, czekała lekcja biologii.

Zamieniłem się z Zuzalkiem na miejsca i usiadłem obok Ani. Miałem zamiar wypytać ją o wczorajsze przypadkowe spotkanie, a może nawet spróbować odnowić przyjaźń?

Ania ucieszyła się na mój widok, ale wolałem się wstrzymać z rozmową, ponieważ spostrzegłem, że pani Wioletka jest dzisiaj w wyjątkowo ponurym nastroju.

Ledwie nauczycielka przebrnęła przez sprawdzenie obecności — co w przypadku naszej klasy wcale nie jest błahostką — a już zarządziła powtórkę z kręgosłupa i klatki piersiowej. Na ocenę. Do odstrzału zostali wyznaczeni Beata Bodek i Karol „Podlec” Podleski. Mieli na zmianę odpowiadać na pytania i pokazywać odpowiednią kość na Chuderlaku.

322

Zaczęło się od Beaty.

— Mhm — mruknęła nauczycielka, ujmując w palce nasadę nosa, jakby czuła nadciągającą migrenę. — Pani Bodek wymieni nam elementy budowy klatki piersiowej, natomiast pan Podleski będzie je pokazywał na szkielecie.

— Mam wymienić kości? — upewniła się Beata. Jej staranny makijaż w fioletowej tonacji podkreślał kolor markowej bluzeczki.

— Wymienić kości. — Biologica utkwiała spojrzenie w pyszniącym się na bluzce uczennicy logo firmy Gucci.

— Dokładnie tak.

— Otóż więc wymieniam — Beata nabrała powietrza.

— Elementy budowy klatki piersiowej człowieka są następu~jące...

— Do rzeczy, Gu... chciałam powiedzieć: Bodek. Nie przedłużajmy.

— Otóż więc... — policzki odpytywanej zaczęły sinieć, choć niewykluczone, że było to wrażenie spowodowane grą świateł. — Zeberka...

— Słucham? — pani Wioletka uniosła brwi.

— Żebra pozorne...

Czule obejmujący Chuderlaka Podlec rozłożył bezradnie ręce.

— Żebra rzekome, dziewczyno! — poprawiła odpytywaną nauczycielka. — Podleski je pokaże.

Karol pogładził się po włosach plastikową dłonią Chuderlaka, a potem stuknął palcem w pierwszą z brzegu kość. Śledząca jego poczynania klasa zaszemrała tłumionym śmiechem-

323

— Po minusie. Oboje — poinformowała biologica, stawiając w notesie dwa znaczki. — Proszę kontynuować.

— To będzie ta... kładeczka? — zaryzykowała Beata.

— Nie kładeczka, tylko co, Podleski...?

Podlec dłużej akurat w nosie kciukiem Chuderlaka, popisując się przed siedzącymi bliżej kolegami. Zaskoczony pytaniem, znieruchomiał z palcem szkieletu wbitym w nozdrze, a potem wybąkał nieśmiało:

— Prom?

Wydaje mi się, że właśnie załatwił sobie nowe przydomkowanie na parę najbliższych miesięcy.

324

Fala chichotów przetoczyła się przez salę. Zapowiadała się przednia zabawa, jednak nauczycielka, pomimo krótkiego stażu pracy z młodzieżą, nie dała się sprowokować.

— Mostek, zwyczajnie mostek. Proszę pokazać.

— Na sobie? Nie ma mowy! — Podleski ujął się pod boki, przyjmując niewzruszoną postawę.

W notesie pojawiły się kolejne minusy.

— Teraz kręgosłup. Zamieńcie się miejscami. Pan dłużej w nosie podejdzie do mnie, pani w fioletach — do szkieletu. Co to jest kość krzyżowa? — Nauczycielka dźgnęła długopisem w plecy Karola, który właśnie zajęty był przedrzeźnianiem jej.

— Kość krzyżowa to jest... — wymamrotał zaskoczony uczeń — ..to jest taka przedpotopowa kość, znaleziona pod Grunwaldem po bitwie z Krzyżakami. Kiedy zorganizowali wykopaliska, to wykopali pełno kości krzyżowych i różnych zwykłych czaszek. Podobno znaleźli jakieś dwa nagie miecze...

— Dosyć! — pani Wioletka zacisnęła pięści, aż jej kostki zbieleły. — Chcecie się pośmiać? Bardzo proszę: Podleski

— niedostateczny, i Bodek — niedostateczny Na miejsca!

— Niedostateczny? — obruszyła się Beata. — A ja za co? To nie fałsz i bez sensu, proszę pani!

Podleski się wydurniał, a ja dostałam pałę?

— O tym, co jest fair i co jest bez sensu, ja tutaj decyduję

— kipiąca z gniewu nauczycielka wstała z krzesła. — Jeszcze słowo i napiszecie kartkówkę z całego układu kostnego, nawet z materiału, którego jeszcze nie omawialiśmy! — Po

325

klasie prześliznęło się jej twarde spojrzenie. Struchleliśmy.

Beata pojęła groźbę sytuacji i uciekła do ławki; Podlec poszedł w jej ślady. Ta runda należała do nauczycielki. Ciekawe, na jak długo wystarczy jej siła?

Do końca lekcji intensywnie powtarzaliśmy rodzaje połączeń kości i budowę stawu, więc nie miałem czasu na szczerą rozmowę z Anią. Zdołałem jedynie opowiedzieć jej o biednym, opuszczonym Dyziu, licząc na jej słabość do zwierząt. Udało się: zadeklarowała, że po lekcjach pójdzie ze mną zobaczyć psa. Jeżeli przypadną sobie do gustu, Ania zaopiekuje się nim do czasu wyjaśnienia sprawy pana Łobodaka. Kontakt został nawiązany, a to już coś! Moje serce śpiewało z miłości.

Na przerwie pobiegłem szukać Kostka. Nikt mi nie będzie dyktował, z kim mogę się kontaktować — a już zwłaszcza spotykający się w toalecie konspiratorzy od siedmiu boleści.

326

Rozdział 31.

Ostatnia maska Klanu

Kiedy zauważyłem Kostka, wchodził właśnie do pracowni angielskiego.

— Chcą się spotkać! — sapnąłem, odciągając go na bok. Jakaś dziewczyna spojrzała na nas pytająco.

— Nie z tobą, Emilka, więc nie podsłuchuj! — Kostek machnął niecierpliwie ręką, dając jej do zrozumienia, żeby sobie poszła. Dziewczyna postukała się w czoło i weszła do klasy.

— Wyznaczyli spotkanie w kiblu po tej lekcji — powiedziałem. — Mam złe przeczucia.

— Powinieneś pójść, inaczej nie dadzą ci spokoju — doradził przyjaciel.

— Jakoś łatwo się godzisz na ich fanaberie. Nie mogę się w tym połapać!

— Połapiesz się, gdy wszystko ci wytłumaczę. Ale nie teraz, tu naprawdę nie jest bezpiecznie — zniżył głos do szeptu.

— Kostek, mam cykora — przyznałem się. — Ostrzegali mnie przed kontaktem z tobą i odniosłem wrażenie, że wcale nie żartują.

— Nie pękaj, będę cię miał na oku. Myślę, że przejrzałem ich zamiary...

327

— Ekhm! — chrząknął ktoś znacząco. — Nieładnie, Cyna!

Tuż za moimi plecami stał chorowity Guzek, jeden z ludzi Klanu. Serce podskoczyło mi do gardła.

— Niedobrze, bracie — zakaszłał Guzek. — Bardzo niedobrze, wręcz fatalnie!

— Do mnie mówisz? — upewniłem się.

— Jasne, że do ciebie, Cyna — sine usta rozciągnęły się w uśmiechu, odsłaniając krzywe zęby — Widzę, że wybrałaś. Twoja wola... Nie zapomnij o spotkaniu. Cześć!

Odstaąpił o krok i wyjął z kieszeni telefon.

— To ja. Tak, jak przewidywaliśmy — Słuchając słów rozmówcy, popatrzył na zegarek. —

Zdążymy, szefie, mamy jeszcze sporo czasu.

Wyłączył telefon i wmieszał się w hałaśliwą cizbę, zostawiając nas w całkowitym osłupieniu.

Lekcja niemieckiego było istnym koszmarem. W głowie huczało mi od tłoczących się myśli —

oczywiście niewesołych. Ze zdenerwowania pozapominałem wyuczonych wcześniej słówek, no i, naturalnie, zostałem wyrwany do tłumaczenia długiego tekstu o obiedzie w restauracji. W życiu nie zjem posiłku w restauracji, przysięgam! Poległem sromotnie, otrzymując pierwszą w mojej szkolnej karierze jedynkę z języka obcego. To mnie przywróciło do rzeczywistości.

Postanowiłem pójść i oświadczyć, że kończę z Klanem ostatecznie, definitywnie i bez żadnego „chyba żeby”. Mogę nawet złożyć przysięgę albo podpisać zobowiązanie

328

do milczenia na temat Klanu, podkładania sprawdzianów i w ogóle znajomości z kimkolwiek. Trochę mi ulżyło.

Pięć minut przed dzwonkiem na przerwę byłem już gotowy do potyczki.

Toaleta dla chłopców mieściła się na wysokości sali gimnastycznej, tyle że w przeciwnym skrzydle budynku. Nieznany satyryk za pomocą czarnego markera przerobił napis MĘSKA na MIEJSKA i dopisał: CZYTELNIKA. W innych okolicznościach roześmiałbym się z uznaniem, na razie jednak nie było mi do śmiechu.

— Punktualny jak nigdy — pochwalił mnie Gabryś. Byli już wszyscy za wyjątkiem Plomby:

Gnida, kaszlący

Guzek, wiecznie ponury Manik, małowówny Leszczyński oraz nieborak, którego niedawno przytknąłem w ucho. Opierali się o wyłożoną białymi kafelkami ścianę, gapiąc się na mnie spode łbów. Pootwierane na oścież drzwi do kabin miały mnie chyba przekonać, że poza członkami Klanu Zaufanych nie ma tu nikogo.

— Umówiliśmy się przecież — odparłem swobodnie. Postanowiłem grać nieprzejmującego się niczym luzaka.

Gnitecki chwycił się za głowę.

— NIE TAK się umawialiśmy, Jasiu paplasiu. Prosiłem cię, błagałem prawie, żebyś nie łąził za Ptakiem, bo będzie źle. I jest źle...

— Cześć, chłopaki — usłyszeliśmy nagle. W drzwiach pojawił się zabiedzony Korniszkiewicz z wyrazem skupienia na dziecinnej buźce.

329

v

— Korniszon? — Manik zastąpił mu drogę. — Ty tu czego?

— Jak to czego? Siku mi się chce, a to jest toaleta. Pierwszak przemknął Manikowi pod ramieniem.

— Dzisiaj nie ma sikania. Odwołali — Leszczyński zwany Leszczem chwycił przybyłego za kołnierz.

— Kto odwołał? — Korniszkiewicz przestąpił z nogi na nogę, tęsknie spoglądając na najbliższy pisuar.

— Dyrektor odwołał, ówoku blady — kaszlnął Guzek.

— W ramach odzwyczajania uczniów od ulegania potrzebom fizjologicznym. Istnieje taki program ogóлноeuropejski „DON'T SIK” i nasza szkoła się przyłączyła, nie słyszałeś?

— Może coś tam słyszałem... — zwątpił Korniszon. — Ale pęcherz zaraz mi pęknie, ja muszę!

— Spróbuj w babskiej — doradziłem. — Tutaj raczej ci się nie uda — skinąłem mu głową, dając znak, żeby nawiewał, dla własnego dobra.

— Chyba że zapłacisz — oświadczył chytrze Gnida.

— Ile? — chłopak wygrzebał z kieszeni jakieś groszaki. Sądząc po zielonkawym odcieniu oblicza, cierpiał niewyobrażalne męki.

— Dajesz piątaka i sikasz.

— Pięć groszy? — zapytał Korniszkiewicz z nadzieją.

— Pięć złotych, kpiarzu! — Gnida strzelił palcami. — To jak?

— Chyba lepiej pójdę na dwór — stwierdził pierwszak. W jego oczach widać było rodzący się obłęd. — Do widzenia!

— zawołał i uciekł, pokracznie krzyżując nogi. Szczęśliwiec!

331

— Wracając do ciebie, Jasiu — podjął Gabryś — wkurzyłeś szefa. Niesamowicie go wkurzyłeś. Udasz się więc...

— Nigdzie się nie udam! — przerwałem mu. — Właśnie z wami skończyłem. Jeśli chcecie, mogę podpisać pakt o nieagresji, czy jak tam to zechcecie nazwać. Kapujesz, Gnida, o czym mówię? Zapominamy o sobie.

Gnitecki popatrzył na kumpli.

— Pakt, powiadasz? Słyszeliście? Cyna z nami pakuje! — parsknął śmiechem. Kolesie zawtórowali mu chórkami baranich głosów

— Co w tym śmiesznego? — oburzyłem się.

— Nie wygłupiaj się, Cyna, z nami nie można negocjować. Udasz się... — spojrział na zegarek — ...pod miejskie muzeum. Tam o dziesiątej piętnaście otrzymasz dalsze instrukcje. Przestań się gapić, tylko zasuway. Zostały ci trzydzieści dwie minuty, a przecież nie możesz się spóźnić! No, dalej, donosicielu...

Jego lekceważący ton obudził drzemiącego we mnie chuligana z Kaczycch Dołów. Strzeliłem z pięści w tę rozgadana facjatę, aż frajer nakrył się nogami, padając na podłogę. Pozostali Zaufani natychmiast rzucili się na mnie i przygnietli mnie do chłodnej ściany. Grad ciosów posypał się niczym jesienne jabłka po pierwszym przymrozku.

— Wystarczy — jęknął Gnida, przykładając zwitek papieru toaletowego do rozbitej wargi. Nie posłuchali.

— Powiedziałem: wystarczy! — krzyknął.

Puścili mnie. Osunąłem się bezwładnie po ścianie i zamarłem na wilgotnej posadzce.

332

— Guzek, aparat — zarządził samozwańczy przywódca. Życzyłem mu, żeby szef Klanu dowiedział się kiedyś, z jaką przyjemnością Gnida rozkazuje chłopakom.

Chorowity chłystek poczłapał do jednej z kabin. Sięgnął po ukrytą za sedesem reklamówkę z

nadrukiem marketu „Corrida”, wyciągnął z niej cyfrowy aparat fotograficzny i podał go Gniteckiemu.

— Rzuć no okiem, Jasieńku. Poznajesz tę niewinną twarzyczkę? — Gnida włączył aparat, podsuwając mi przed oczy migoczący kolorami ekran.

Spojrzałem i w jednej chwili cały mój świat legł w gruzach. Zamazane zdjęcie przedstawiało pokryte granatową tapicerką tylne siedzenie samochodu; czyjaś dłoń zaklejała foliową taśmą usta szamocącego się dziecka. Mojego brata...

Rozległ się dzwonek, lecz jego odgłos zlał się z dźwięczącą mi w uszach kakofonią. Pragnąłem się jak najszybciej obudzić.

— Za dziesięć dziesiąta, skowroneczku — poinformował Gnida beznamyślnie. — Jeżeli się nie pośpieszysz, małemu może stać się krzywda, a tego byśmy nie chcieli, prawda?

Przez głowę przemknęła mi pewna myśl, a wraz z nią pojawił się cień nadziei, że pokazane mi zdjęcie to fotomontaż.

— Przecież Krzys był w przedszkolu! Nie mogli wam tak po prostu wydać dzieciaka! — zawołałem.

— Jak widzisz, już nie jest w przedszkolu — zauważył Guzek. — Zadzwoniliśmy z informacją, że szanowny tatuś miał poważny wypadek i sąsiadka odbierze małego. Łatwizna.

333

— Ale dlaczego on? — dławili mnie łzy. — Dlaczego?

— Dlatego, Cyna, że jesteś kozak. W tej szkole nie ma miejsca dla kozaków, więc postanowiliśmy cię utemperować. Za osiem dziesiąta...

Poderwałem się z podłogi, nie zważając na rozpaczliwy protest obolałego ciała. Gnida zdarł ze mnie kurtkę, wyłuskał z kieszeni komórkę; odpiął baterię i oddał mi telefon ze słowami:

— To po to, żeby cię nie kusilo do kogoś dzwonić! Powiniennem ci ją zabrać, ale jeszcze byś sobie pomyślał, że jesteśmy złodziejami — wyseplenił. Opuchnięta warga utrudniała mu mówienie.

Skoncentrowany na walce z czasem, przestałem odczuwać ból. Biegłem przez miasto, potykając się i dysząc jak kiepsko naoliwiona maszyna, a zbulwersowani widokiem zataczającego się nastolatka przechodnie usuwali mi się z drogi, śląc za mną niewybredne komentarze.

Piętnaście po dziesiątej minąłem rogatki Trombolina.

Park von Bittza — chluba pieczołowicie zrekonstruowanego kompleksu pałacowego — zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Wspaniałe rozłożyste platany o malowniczo łuszczącej się płatami korze oraz wypielęgnowane trawniki budziły mgliste wspomnienia wycieczek z odległych czasów szkolnej bez troski.

Przed budynkiem muzeum nie było nikogo. Przypomniałem sobie, że w dni powszednie zbiory pałacowe udostępniano zwiedzającym dopiero od trzynastej.

334

Zakręciło mi się w głowie. Rzęząc, opadłem na ustawioną niedaleko wejścia malowniczo wygiętą ławeczkę. Dziesiąta dwadzieścia jeden, czyli spóźniłem się o całe sześć minut...

I co dalej? Doczekałem się odpowiedzi na moje niewypowiedziane pytanie, gdy spojrzałem pod nogi. Wyżłobiona w drobnym żwirze strzałka wskazywała szeleszczący suchymi strąkami rosochaty grochodrzew, rosnący po drugiej stronie alei. Wstałem, choć nogi miałem jak z waty.

Do szorstkiego pnia drzewa przymocowano ułamanym z tarniny cierniem wyrwaną z notesu karteczkę. „Przegrałeś, ofermo! Idź ścieżką w lewo, spotkamy się przy kaplicy” — przeczytałem.

Znałem to drobne i niestaranne pismo, nie potrafiłem sobie jednak przypomnieć skąd.

Piaszczysta ścieżka wkrótce się skończyła. Przelazłem przez płataninę bzów, szukając dalszej drogi. Kilkadziesiąt metrów od pałacu stała niewielka, zniszczona przez jakichś wandalów kapliczka o dziurawym dachu, strasząca pustym oczodołem po rozbitym witrażu.

Na stercie kruszących się cegieł siedziała ubrana w brązowe dzinsy i lekką wiatrówkę dziewczyna.

— Jak zwykle za późno, Cyna — odezwała się, podnosząc głowę. To była... Gosia Rosomak!

Zdumienie odebrało mi głos.

— Zaskoczony? — Gosia wstała, odgarniając włosy z twarzy. — Klasowa idiotka szefem Klanu — kapitalne, co nie? I do tego jeszcze kidnaperka!

335

— Gdzie jest Glut? — zapytałem, nie dowierając zmysłom.

— Kto taki?

— Glut, mój młodszy brat! Gdzie on jest, ty źmijo?!

— Tam — odparła, pokazując palcem obute w traperki stopy — Pod ziemią.

Zabrakło mi tchu.

— Za... zabiłaś go?

— Nie. Dopiero się do tego przymierzam, kochanie — powiedziała słodko, obdarzając mnie jadowitym uśmiechem. Zdaje się, że miała niezły ubaw. — Jesteś sam?

— A jak myślisz?! Pewnie, że sam — wy dyszałem ciężko.

— Wierzę ci, zawsze byłeś lekkomyślny. Chodź za mną, pokażę ci brata — wyciągnęła dłoń.

— Idź, przecież ci nie ucieknę — prychnąłem wzgardliwie. Cofnęła rękę.

Weszliśmy do cuchnącej stęchlizną okrągłej komnatki. Malowidła na odrapanych ścianach przedstawiały wyobrazenie rajskiego ogrodu z postaciami Adama i Ewy uciekającymi przed płonącym mieczem rozgniewanego archanioła.

— Przesuń to — nakazała Gosia, dotykając zniszczonego ołtarza.

Zaparłem się nogami o pokrytą drobinami potłuczonego szkła marmurową posadzkę. Po chwili zgrzytnęło i ołtarz pojechał do przodu, odsłaniając wiodące w dół wąskie schodki. Buchnęło zastałym, suchym powietrzem.

— Złaź! — rozkazała szefowa Klanu.

336

Nim pochłonęły mnie gęstniejące ciemności, splunąłem, celując w buty dziewczyny Odskoczyła z obrzydzeniem.

— Zegnaj, Cyna, pożałowania godny cwaniaczku! — usłyszałem z góry

Złowieszczy zgrzyt przesuwanego po szynach ołtarza brzmiał jak jęk agonii świata, który znałem.

137

Rozdział 32.

Twarz mordercy

Schodziłem ostrożnie w dół, przesuwając ręką po ceglanej ścianie.

Dreężyło mnie pytanie, dlaczego Gosia się ujawniła? Jeżeli wyjdę z lochu, jej los będzie przesądzony A jeśli... nie wyjdę? Kto mnie tu odnajdzie? Przecież nikt nie wie, gdzie jestem!

Jednak Rosomak nie zwariowała, zdradzając swoją tajemnicę. Doskonale wiedziała, co robi.

Nagle pod palcami wyczułem zgrubienie. Czyżby to był... Tak, dotykałem grubego dwużyłowego kabla. Prąd! Ruszyłem szybciej, wodząc dłonią po gładkiej powierzchni pokrytego igelitem

przewodu. Gdy namacałem odstający od ściany włącznik, skończyły się schody i poczułem, że przede mną rozciąga się pusta przestrzeń. Przekręciłem płaski przełącznik, odruchowo mrużąc oczy

Mdłe światło oblepionej brudem żarówki wydobyło z mroku moje więzienie. Krypta była niska — jakieś metr osiemdziesiąt, może dwa metry tuż pod beczkowanym sklepieniem. Na środku

pomieszczenia stał szeroki, ozdobiony stylizowanymi kolumnkami katafalk, na którym spoczywała kamienna trumna z roztrzaskanym wiekiem. Między zaścielającymi posadzkę

okruchami granitu wałał się porzewiały

338

łom — zapewne nim posłużyli się wandalę, którzy splądrowali grobowiec.

Alexander Otto von Bittz 1777-1832 — informował ledwie czytelny podpis u podstawy katafalku.

„A więc to tutaj pochowano hrabiego” — pomyślałem i pokiwałem głową. Jego prochy przeniesiono zapewne na cmentarz, bo trumna była pusta.

Rozejrzałem się jeszcze raz i dopiero wtedy dotarło do mnie, co Gosia miała na myśli, mówiąc:

„Zegnaj”.

Świadomość, że nie ma tu już żadnego innego lochu, korytarza czy choćby drzwi, była paraliżująca.

„Biedny przerażony Glut płacze gdzieś — nie wiadomo w którym zakamarku Trombolina — a ja w niczym nie mogę mu pomóc! Zginę tu, zakrzyczawszy się na śmierć, w męce głodu i pragnienia.

Ale kto wie, może rodzicom łatwiej będzie wychować jedynaka?... Zawsze to jakaś pociecha”.

Przełknąłem gorzką łzę poświęcenia.

— No i widzisz, Glucie zasmarkany, w co wdepnęliśmy? — załkałem.

— Oochmmam... — jęknęło sennie pod spowitą cieniem ścianą. Zdaje się, że wcześniej widziałem tam kłębowisko ze-tłających szmat. Zajrzałem tam i nagle... Wzruszenie i niedowierzanie zaparło mi dech.

— Krzysiu, jak mogłem cię przeoczyć? — szeptałem gorączkowo, rozgarniając rozsypujące się pod dotykiem pla-miaste mundury Na kołnierzach widać było jeszcze naszywki z symbolami podwójnej błyskawicy.

Mój braciszek spał — zapewne porywacze wstrzyknęli mu jakieś odurzające świństwo.

339

— Mały, obudź się — potrząsnąłem nim delikatnie.

— Hmm? — zamruczał nieprzytomnie.

— Obudź się, musimy stąd wyjść! — Podniosłem go, żeby szybciej doszedł do siebie.

— Janek? Co ty tu... robisz? Gdzie mama?

340

— Mamy nie ma — poprawiłem mu grzywkę opadającą na oczy — I zdaje się, że trochę tutaj... ugrzeźliśmy

— O rety! A wiesz, że zakleili mi buzię taką taśmą, w samochodzie? Zobacz, jeszcze się klei — dotknął ust. — Pójdziemy do domu?

Pomogłem mu wstać.

— Spróbujemy się stąd wydostać, Krzysiu. Podniosłem łom, oceniając jego przydatność. Bardziej praktyczna byłaby laska dynamitu, ale jak się nie ma, co się lubi...

— Bobek za mną pewnie mocno tęskni. Nie dostał dzisiaj jeść, bo zaspaliśmy — zafrasował się nagle Krzyś.

— Kto to jest Bobek? — spytałem, popychając malca w kierunku wyjścia.

— Patyczkowniczek, tańczący robak. Zapomniałeś? Sam mi go dałeś na urodziny... Tam jest za ciemno, Jasiu, ja nie chcę iść po ciemku — marudził, wskazując na schody

— Chyba nie mamy wyboru... — Wyobraziłem sobie, jak tłukę w spód ołtarza pozdieranymi do krwi rękami. Jeżeli ołtarz nie jest wewnątrz pusty, rozbicie go zajmie przynajmniej tydzień. Pod warunkiem, że wcześniej nie umrę z wycieńczenia. — Chcesz tu siedzieć?

Mój brat pokręcił energicznie głową.

— A jakbyśmy poszukali tej pani? Ona wcale nie poszła na schody — powiedział z nadzieją.

— Pomerdało ci się, braciszku. Gośka sprowadziła mnie tu właśnie tymi schodami, a poza tym jaka z niej pani? Chodźmy do jednej klasy. No, dalej, zasuwamy na górę.

341

Glut jednak uparł się:

— Ja wcale nie mówię o twojej Goście! Nie lubię jej, bo mnie ukłuła zastrzykiem — pomacał się po ramieniu. — Mówię o tej pani z muru. Wołała coś, kiedy spałem.

„Bydlaki, zaaplikowali mu jakiś narkotyk i dzieciak miał zwidy” — pomyślałem.

— Jasne, pewnie wołała: „Lody, lody na patyku kup dziewczynko i chłopczyku!”, zgadłem? No, chodźże wreszcie — chwyciłem go za rękę, ciągnąc za sobą.

— Nieprawda, ta pani wołała ciebie!

— Mnie? — zaniepokoiłem się. Czy aby mój brat nie doznał jakichś uszkodzeń mózgu?

— Ciebie! „Jan, oddaj!”, tak zawołała i weszła do muru, o tam — pokazał palcem ścianę na wprost nas. — A może mi się śniło? — ziewnął, przecierając oczy.

Nogi się pode mną ugięły Nie mogliśmy śnić przecież tego samego snu, i to w odstępnie kilku dni!

— Na pewno wołała: „Jan, oddaj”?

— Tak, i jeszcze miała taką czarną firankę na buzi, że nic nie było widać. Ale ja widziałem jej oczy, wiesz? I machała ręką jak nietoperz skrzydłami... Tu nie ma nietoperzy?

— Pokaż, gdzie dokładnie ta pani wklękła... wniknęła... chciałem powiedzieć: weszła — ze zdenerwowania język zaczynał mi się plątać.

— Tutaj! — Przedszkolak podszedł do ściany — Chyba tutaj... — powtórzył mniej pewnie.

Mur wyglądał na solidny. Dotknąłem szarej zaprawy, po czym potarłem ją energicznie. Posypał się delikatny pył, ują-

342

łem więc łom i napiąłem mięśnie, wbijając spłaszczoną końcówkę między cegły. Nic.

Uderzyłem ponownie. Łom zagłębił się na centymetr — może półtora centymetra — i utknął w ścianie. Spróbowałem użyć go jako dźwigni. Chrupnęło.

Odlamek cegły przesliznął się po moich włosach, a pył z zaprawy zaproszył mi oczy i usta.

— Za... khe... zaraza je... khe ...dna, tfu! — skomentowałem, plując dookoła.

— Może ja postukam? — zadeklarował Glut.

— W porządku, już niedługo — pocieszyłem nas obu i przymierzyłem się do następnego ciosu. — I raaaz!

Potem miało być „Dyyywa i trzy!”, lecz huk osypujących się cegieł zagłuszył towarzyszące zwykle kruszeniu murów odliczanie.

Z opadających powoli kłębow wapiennego pyłu wyłaniała się ukryta krypta. Powinniśmy się cofnąć, ale stojąc u progu ponad stuletniej tajemnicy, nie dbaliśmy o wygląd.

— Tam jest ciemniej niż na schodach, mądralo — stwierdziłem, ocierając twarz. — Strach wchodzić.

— Wyglądasz jak obsypany mąką — zaśmiał się Glut. — Kiedyś Bolek i Lolek zakradli się do starego wiatraka i znaleźli zawiązane worki, i oni się też obsypali!

— Nie myśl, że wyglądasz lepiej ode mnie — parsknąłem śmiechem.

Kurz opadł; mimo tego blask żarówki oświetlał jedynie skrawek odkrytego właśnie pomieszczenia.

343

— Szkoda, że nie mamy latarki. Albo przynajmniej świeczki... — popatrzyłem na brata bezradnie.

— Bolek i Lolek pewnie by mieli, nie?

— Mam zapalniczkę, może być? — Krzyś wygrzebał z kieszeni plastikową jednorazówkę.

— Zacząłeś palić?! — krzyknąłem zaskoczony.

— E tam, mam na razie za mało lat. Zahandlowałem z takim grubym Maćkiem za Tarczę Smoka — oświadczył, zadowolony z wrażenia, jakie wywołał.

— Też mam ten komiks — przypomniałem sobie, próbując skrzesać płomień. — Słabo... Ejże, dmuchnąłeś mi Tarczę Smoka V. Ty Glucie podstępny! — spojrzałem na niego z żądzą mordu wypisaną na twarzy.

— To chyba dobrze, przecież zapalniczka nam się przyda

— bronił się Krzyś.

— Poczekaj, policzymy się w domu! — Urwałem rękaw munduru, próbując skrócić z niego pochodnię na łomie. Ze-tłały materiał rozpadł się jednak, zanim skończyłem. — No trudno, wchodzimy z tym, co mamy — ścisnąłem mocniej zapalniczkę.

Pomieszczenie było niewielkie, ale wysokie, i miało

— w odróżnieniu od krypty hrabiego Aleksandra — płaskie sklepienie. Tutaj również centralne miejsce zajmował katafalk, lecz mniejszy i bardzo skromny. Pośrodku spoczywała kamienna trumna.

— Popatrz, jest nienaruszona! — ucieszyłem się nie wiadomo dlaczego.

344

— A co jest w trumnie?

— Głupie pytanie. Wiadomo, że kościotrup... — Wyszczrzyłem zęby i zrobiłem zeza. Na wychowanym na japońskich kreskówkach chłopcu nie zrobiło to jednak wrażenia.

— Czyj kotrościup? Mumii?

— Zobaczymy.

Nachyliłem się nad trumną, przyświecając sobie zapalniczką. Płomień sparzył mi kciuka, syknąłem więc, posażłem piekące miejsce, po czym powtórzyłem akcję — tym razem ostrożniej.

Hierschlaft im Gott ungtlickliche Frau ein. IhrHerz istgebrochen. Theresa Mana von Bittz 1797-1820* — przeliterowałem napisane ozdobną czcionką epitafium.

Przeniknął mnie dreszcz. Nie wszystko z napisu rozumiałem, lecz jednego byłem pewien: odkryłem

podobno nieistniejący grób Teresy Trombolini!

— Pomóż odciągnąć wieko — nakazałem bratu. — Muszę jej coś oddać.

— Może lepiej nie, bo jak wyskoczy zombi i wyssie z nas krew, to co będzie? — Widocznie dopiero teraz się przestraszył.

— Nic nie wyskoczy, tchórze. Nie takie trumny się otwierało...

— Otwierałeś trumny? — Chyba mu zaimponowałem. Drobne kłamstwo, a jaki efekt!

*Hier schlaft im Gott unglückliche Frau ein. Ihr Herz istgebrochen. Theresa Maria von Bittz 1797-1820 (niem.) — „Tu spoczywa w Bogu nieszczęsna kobieta. Pękło jej serce. Teresa Maria von Bittz 1797-1820". Tłumaczenie: Katarzyna Gargasiewicz.

345

— Wielokrotnie — łągałem dalej. — Potrzymaj zapalniczkę, sam sobie nie poświecę — zaproponowałem po chwili namysłu. — Biegusiem!

Sądząc po wielkości płomienia, w zapalniczce kończył się gaz, pośpiech był więc jak najbardziej wskazany.

Popchnięte wieko trumny drgnęło i przesunęło się odrobinę. Zagryzłem wargi, walcząc jeszcze przez chwilę z wątpliwościami. Decyzja o naruszaniu spokoju zmarłym nie należy do najłatwiejszych. Nie miałem jednak nic do stracenia.

Naparłem mocniej. Wieko odjechało ze zgrzytem, odsłaniając spowitą czarnym tiulem postać ze splecionymi na piersiach dłońmi i gęstym welonem na twarzy

— Nie patrz — powiedziałem spierzchniętymi wargami. Glut posłusznie zamknął oczy. Wyciągnąłem pierścionek z kieszeni.

— Oddaję — szepnąłem pokornie i położyłem prezent od Giuseppe w zagłębieniu dłoni zmumifikowanej kobiety

Gaz w zapalniczce skończył się w najmniej pożądanym momencie. Odskokczyłem od katafalku, obejmując dygocącego ze strachu braciszka.

— Dziękuję... Jan... — westchnęła ciemność.

Nagle ściany krypty pokryły się błękitnymi ognikami, które popęzły od posadzki aż na sklepienie, by w górze zapłonąć żarzącą się kulą.

Odrętwiały, patrzyłem z fascynacją, jak światło opada na trumnę, oblewając zwłoki Teresy Trombolini. Szarpnięte niepojętą mocą wieko nasunęło się z powrotem na sarkofag,

346

a katafalk rozblysnął stłumionym błękitem. Zaraz potem spod pokrywy wypłynął cieniutki promyczek światła, który prześliznął się po ścianie, po czym wniknął w jedną z cegieł tuż nad posadzką. Zanim promyk zgasł, dostrzegłem, że owa cegła odstaje ze ściany na kilka centymetrów. Ocknąłem się i stuknąłem w nią czubkiem buta.

Wtedy ściana zgrzytnęła i przesunęła się w tył, ukazując bardzo wąskie strome stopnie, podobne do tych spod ołtarza. Jednocześnie gdzieś nad naszymi głowami rozległ się przyprawiający o gęsią skórę chrzęst.

— Zdaje się, że ktoś się nam odwdzieczył, maleńki... Idziemy! — zakomenderowałem, popychając przed sobą Gluta.

Wchodziliśmy po stopniach, ocierając się ramionami o cegły, aż wreszcie krzyknęliśmy z zachwytu, kiedy zalał nas łagodny słoneczny blask. Przez otwór, utworzony przez rozsunięte połowy sklepienia, zobaczyłem jesienne niebo...

Siedziałem, przytulając Krzysia, na odkrytym marmurowym nagrobku. Byliśmy na cmentarzu rodzinnym von Bitt-zów, dwa kroki od zdewastowanej kapliczki.

Znałem to miejsce. Przewodnik oprowadzający po muzeum twierdził, że w 1946 roku otwarto grób Teresy i znaleziono w nim jedynie zardzewiały sztylet z początku dziewiętnastego wieku. Uznano wówczas, że hrabia wywiózł zwłoki przedwcześnie zmarłej małżonki najprawdopodobniej do Paryża i tam pochował je pod innym nazwiskiem.

— Jesteśmy wolni — ucałowałem drżącego jeszcze malca. — Koniec koszmaru, braciszku, idziemy do domu.

347

— Chce mi się pić — mruknął w odpowiedzi.

Było dwadzieścia po pierwszej, czyli pewnie nadal nikt nie wie o porwaniu. Trzeba się pośpieszyć i załatwić tę sprawę do końca.

— Zaraz się napijemy, umyjemy i odpoczniemy Głowa do góry...

— 'Raczej ręce do góry!

Zza kapliczki wyszedł mężczyzna w beżowym płaszczu i z zasłoniętą szalikiem twarzą. Mierzył do nas z pistoletu. Za plecami mężczyzny pojawiła się uśmiechnięta Gosia Rosomak.

— To ona mnie zastrzykowała! — przerażony Krzyś chwycił moją dłoń.

— Czarodziej z ciebie, Cyna, drugi David Copperfield!

— klasnęła dziewczyna z uznaniem, posyłając Glutowi całusa. — Jak to możliwe, że się stamtąd wydostałeś?

— Odczep się, nikomu o niczym nie powiem, przysięgam!

— zapewniałem, uderzając się w pierś.

— Na pewno nie powiesz — skwitowała. — Dobrze, że przyjechaliśmy sprawdzić, tato. Jak zwykle miałam nosa.

— Po co z nim rozmawiasz? — zniecierpliwiał się mężczyzna. — I tak za dużo wie.

— To bez różnicy, tato, przecież obaj są już martwi. Za chwilę znów wylądują pod ołtarzem.

Zemdliło mnie.

— Martwi? Przecież...

— Mówiłem ci, Janku, że trzeba po sobie posprzątać! — Gangster zdjął z twarzy szalik.

348

— P-pan Karol? — wyjąkałem z niedowierzaniem. — Tato Gośki?

— Nikt inny, sąsiedzie. Zamiast wścibiać nos w nieswoje sprawy, mogłeś zająć się czymś pożytecznym. Na przykład pomalować ogrodzenie. Ale wolałeś wskazać gliniarzom skrytkę pod psią budą. I teraz ja nie mam pieniędzy, a ty nie żyjesz! — Odbezpieczył broń.

349

— Proszę pana, ja nigdy... — stanąłem tak, by zasłonić Krzysia. Przed oczami latały mi ciemne plamy — Ja napraw-dę...

Wtedy usłyszałem stłumione warknięcie. Z zarośli wybiegł Dyzio, rzucając się na powitanie swojego pana. Skąd wziął się ten kundel...?

— Dobranoc! — Karol wyprostował ramię i nacisnął spust.

Poczułem rozdzierający ból i odpłynąłem w mrok.

350

Rozdział 33.

DERKI

Kołysanie stawało się coraz słabsze — widocznie okręt wpłynął na spokojniejsze wody

— ...się budzi... widziałem — łagodny głos ojca dobiegał do mnie falami, jakby mówiąc, tato zasłaniał i odsłaniał usta.

Uniosłem powieki.

— Synku...

Ujrzałem pochylone nade mną rozmyte twarze. Spróbowałem się skupić na jednej z nich. Na bladoróżowej galaretowatej plamie niespiesznie zarysował się kształt nosa, oczu i postrzępionej grzywki.

Kołysanie ustało.

— Mama? — wybełkotałem ustami pełnymi śliny. Kajutę rozjaśniało dziwne światło o pastelowych barwach.

— Tak, kochanie? — Z kolorowej mgły wyłoniła się kobieca dłoń i pogłaskała mnie po policzku.

— Widzisz, lomku, przytomnieje...

— Nareszcie! — Druga z różowych plam zamieniła się w zatroskane oblicze ojca.

— Dokąd płyniemy? — zapytałem, usiłując usiąść. (Jkręt przechylił się na lewą burzę. Zrobiło mi się niedobrze.

351

— Nie płyniemy, jesteśmy w szpitalu — ojciec przyłożył dłoń do mojego czoła.

Rzeczywiście, to pomieszczenie nie przypominało kajuty, i to nie tylko umieszczonego przy łóżku stojaka na kroplówkę.

Słowo „szpital” obudziło moją pamięć. Kapliczka, grób Teresy, pistolet, strzał i ból... Mój brat... Brat!

Usiadłem. Gdzieś obok pepka zapłonął ogień.

— Co z małym?! — krzyknąłem, chwytając się za lewy bok. — Gdzie jest Krzyś?

Rodzice spojrzeli na siebie z niepokojem.

— Krzyś niedawno... — zaczęła mama.

— Była tylko taka niesmaczna cola — w uchylonych drzwiach stanął wykrzywiony sześciolatek, prowadzony za rękę przez wysoką pielęgniarkę. Za chłopcem ciągnął się po podłodze przydługi jasnozielony fartuch. — Wrzuciłem całe dwa złote, a on mi nie oddał resz... Janek! — Krzyś podskoczył, chlapiąc wokoło brązowym napojem, odstawił kubek i rzucił się w moje objęcia. — Wiedziałem, że nie umrzesz, wiedziałem!

— Miałem umrzeć? — zapytałem, broniąc się przed mokrymi pocałunkami przedszkolaka.

Pielęgniarka pomachała do mnie i wyszła.

— Zostałeś... odrobinę... draśnięty z lewej strony. Siedem szwów. W sumie nic groźnego — uspokoił mnie ojciec.

Siedem szwów to nic groźnego?!

— Gorzej, że na skutek szoku zapadłeś w... jak to powiedzieć...? Zapadłeś w śpiączkę i... — mama otarła łzę.

352

— I mam teraz pięćdziesiąt lat? — przeraziłem się. — To który to rok?

— Nie masz pięćdziesięciu lat i rok jest ciągle ten sam — rodzice roześmiali się. — Tyle że minął tydzień...

— Tydzień?

— Prawie. Dzisiaj jest poniedziałek, Janeczku.

— Ominął mnie sprawdzian z matmy, dyżur na chemii, Dzień Nauczyciela... — zacząłem wyliczać. — Fenomenalnie! — ucieszyłem się.

— Już można? — Do pokoju zajrzał Kostek ubrany w szpitalny fartuch. Za plecami próbował nieudolnie schować jakiś wiecheć. *

— Ptak! Przyszedłeś mi się oświadczyć?

— Zgłupiałeś? — zarumienił się mój przyjaciel. — Przyproważyłem kogoś. Czy Państwo mogliby... Bo my tak jakby... — popatrzył na ojca.

— Oczywiście — odpowiedział tato tonem dowódcy.

— Oczywiście, taka była umowa. Chodźmy pozwiedzać szpital — zarządził, ściągając z łóżka tulącego się do mnie Gluta.

— Znowu? Dopiero wróciłem — narzekał mały, uczepiony ramion rodziców.

— Too, tego... Ekhmm, kwiatki — oznajmił Kostek, kiedy moja rodzina wyszła.

— Fajne — pochwaliłem i uścisnąłem jego wyszorowane do czysta paluchy. Pewnie gdyby do mnie nie strzelano, umyłyby ręce dopiero przed własnym ślubem. — Znajdź sobie jakiś flakon.

— Jak się czujesz? — zagadał, siadając na krawędzi łóżka.

— Tak ogólnie?

— Jak postrzelony — mruknąłem. — Właśnie, właśnie, mam do ciebie parę pytań, bo ze starszankami nie zdążyłem jeszcze pogadać. Kto mnie odnalazł, kiedy...

— Sekundę, bohaterze — Kostek zeskoczył z łóżka i otworzył drzwi. — Mówiłem, że ci kogoś przyproważyłem, Cyna. Możecie wchodzić — zawołał.

354

Pierwsza weszła zarumieniona Ania Piętaś, a za nią Natal-ka Omiłko i... Jacek Plomba.

— Siadajcie — bąknąłem, zapraszając ich niezdecydowanym gestem. — Co słyhać?

— Jesteś niesamowity! — Ania nachyliła się nade mną, cmoknęła mnie w czoło i przysunęła do

łóżka rozkładane krzeselko. — Szybko zdrowiej, stęskniłam... stęskniliśmy się za tobą... — musnęła moją dłoń z nieoczekiwaną czułością. Natychmiast zapomniałem o bólu.

— Plomba, co ty tu robisz? — zaniepokoiłem się, poprawiając poduszkę pod plecami. — A ty, Natała?

Zapadło niezręczne milczenie. W końcu odezwał się Kostek:

— Jesteśmy DERKI, ja i Jacek. Powinienem ci o tym wcześniej powiedzieć, ale uznaliśmy, że pochopne działanie może wszystko zniweczyć.

— Naćpałeś się czegoś, Ptaku? Jakie derki? Produkujecie z Klockiem jakieś kocy? Co tu się w ogóle wyrabia? — Ze zdenerwowania znów zakłuło mnie w boku.

— To taki skrót — poczerwieniał Kostek. — Detektywistyczna Ekipa Radykalnie

Konsekwentnych Intelktualistów z czteroletnim stażem. Jeszcze z czasów podstawówki. Od ubiegłego roku rozgryzaliśmy Klan Zaufanych, pomyślałem więc o zwerbowaniu ciebie. Też mógłbyś zostać człowiekiem DERKI, tylko że nie wiedziałem, czy się do takiej pracy nadajesz. Wiesz, konspiracja i różne takie...

Sflaczałem jak przekłuty balon. Mój najlepszy kumpel nie wiedział, czy się nadaję... Szczyt rozpaczy!

355

— Ładnie mnie kiwaliście, nie powiem. Chyba muszę się głęboko zastanowić, czy się do was przyłączyć, koledzy — sapnąłem. — Opowiedzcie mi lepiej, co i jak, bo mam w głowie zupełną kaszanę.

— Chodzi ci o Klan? — upewnił się Ptak.

— O Klan również, ale przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, jakim cudem jeszcze żyję.

— Śledziłem cię aż do muzeum...

— Nie poszedłeś na lekcje?

— Nie. Przez całą przerwę czatowałem przed kibelem i kiedy wybiegłeś, ruszyłem za tobą. Dziwne, że mnie nie zauważyłeś.

— Widzisz, udoskonaliłeś umiejętność kamuflażu. Weszło ci to w krew, pewnie niedługo zostaniesz kameleonem — błaznowałem. Dziewczęta zachichotały.

— Gnałem za tobą aż pod muzeum, ale szybki jesteś, nie ma co. Tam przeczytałeś jakąś kartkę i poszedłeś do kapliczki, czekałem więc cierpliwie. Ale kiedy zamiast ciebie pojawiła się Gosia Rosomak, kompletnie zgłupiałem.

— Możesz mi wierzyć, ja również na jej widok osłabłem. Wiecie, ona jest córką pana Karola, mojego sąsiada!

— I nie tylko, ale o tym za chwilę. Przeszukałem okolicę, a potem wróciłem do szkoły, żeby się skonsultować z Jackiem, ale on był u dyrektora, ustalali coś w sprawie nauczycielskiej imprezy. Wtedy na korytarzu zaczęła mnie Ania, zaniepokojona twoim zniknięciem z lekcji... — Nie przerywając Kostkowi, popatrzyłem na moją ukochaną. Mrugnęła do mnie porozumiewawczo. — ..opowiedziała, jak przejmowałaś się losem psa.

356

Pomyślałem więc, że kundel mógłby spróbować cię odnaleźć. No i poszliśmy pod wasz dom. Dałem Dyziowi twój plecak do ob wachania, a Ania obłaskawiła go jakimś smakołykiem.

— Bardzo grzeczny piesek — zauważyła dziewczyna. — Posłuszny i mądry. Od razu zaprowadził nas do ołtarza.

— Słucham? Wysłaś za mąż za Kostka?! Dlaczego ten Bolek po prostu mnie nie zabił... — jęknąłem teatralnie, aby rozładować napięcie.

W sali natychmiast pojawiła się pielęgniarka z zastrzykiem — pewnie wywabiałem ją z dyżurki tym okrzykiem.

— Koniec odwiedzin, pacjent jest zmęczony — oświadczyła.

— Jeszcze pięć minut, kochana pani Moniczko — poprosił Plomba. Już zdążył poznać personel szpitala, łąj dak!

— Pięć minut, co do sekundy — pielęgniarka postukała paznokciem w tarczę zegarka i wyszła.

— Kiedy pies położył się w kapliczce i skomlał żałośnie — podjął Kostek przerwana opowieść —

uznaliśmy, że mu odbiło. Wtedy zadzwoniłem do młodszego inspektora Ko-rowałka — teraz już pewnie starszego inspektora — i powiedziałem mu, co wiem, a on kazał nam się wycofać. Posłuchaliśmy go, ale nie do końca...

— Kostek wymyślił, żeby ukryć się w krzakach za kapliczką. Całe plecy mam podrapane — pożałowała się Ania.

— Przesadzasz — ofuknął ją Kostek. — W każdym razie, niedługo po naszej rozmowie z inspektorem pojawił się twój sąsiad w towarzystwie Gośki. Mercedesa zostawili na podjeździe muzeum. Kiedy zobaczyłem Łobodaka

357

celującego do ciebie z pistoletu, miałem pełno w gaciach. Na szczęście Dyzio wyskoczył z zarośli i ugryzł go w rękę, bo mogło być kiepsko. Policja nadjechała chwilę przed waszym cudownym powrotem z zaświatów.

Odżyły wspomnienia, przyprowadzając mnie o dreszcze.

— Jak tam w szkole? — zainteresowałem się, aby zmienić temat.

— Rewolucja! Człowieku, nawet nie wiesz, co się narobiło — Plomba przejął pałeczkę. — Gośka w Policyjnej Izbie Dziecka, Klan rozbita w drzazgi. Walezy wszystkich relegował na wiochę, do Potemkowic, jest tam jakieś gimnazjum dla trudnej młodzieży. Miłosz Bębniawa nie pojawił się w pracy, a pani Jola uciekła od Wąsika i gdzieś się zamelinowała — nikt nie wie, gdzie. To było po tym, jak się okazało, że ma nieślubną córkę z twoim sąsiadem.

— Jola Wąsikowa jest matką Gosi Rosomak? — od tych wszystkich rewelacji aż zakręciło mi się w głowie.

— Nawet Wąsik o tym nie wiedział. Pobrali się zaledwie przed dwoma laty, a dziecko wychowywała babka. Spryciara Gośka założyła Klan, bo dzięki matce miała dostęp do wszystkich pracowni i przez rok zarobiła kupę szmalu od różnych klas na podmiankach. No, a dzięki wujaszce Miłoszowi znajdowała się pod stałą dyskretną ochroną.

— Jak to „wujaszce Miłoszowi”? — odezwałem się słabym głosem. — Bęben jest bratem Wąsikowej?

— Przyrodnim — uściślił Kostek. — Bęben znał całą tajemnicę, ale trzymał gębę na kłódkę, bo Łobodak odpalał mu co nieco ze swoich łupów.

358

— Z tego wszystkiego Walezy wylądował w szpitalu, leży piętro wyżej. Podobno zawał — podjął Plomba. — Obowiązki dyrektora pełni powołany przez Radę Pedagogiczną Krzywka.

— Aha, oddałem Krzywce naszą „Maszynę do czegoś”, chyba się nie gniewasz? Był niezmiernie zaskoczony i wdzięczny — przypomniał sobie Ptak.

— Wiecie, gdzie Bęben trzymał złoto? — zapytałem, mrużąc oczy

— Tego nie udało nam się rozgryźć — Kostek wzruszył ramionami.

— Zdaje się, że w takim razie coś dla was mam. Ale dopiero kiedy stanę na nogi — zatarłem rękę.

— Nurtuje mnie jeszcze jedna niewyjaśniona zagadka — wskazałem siedzącą na uboczu Natalkę.

— Powiedźcie mi wreszcie, co ona tu robi?

— Moja dziewczyna? — Plomba uniósł brwi. — Chciała ze mną przyjść, to ją zabrałem. A co, aż tak się nie lubicie?

No i powiedźcie, ludzie, czy ten świat jest normalny? Na-talka dziewczyną Klocka!

Kiedy wszyscy zbierali się do wyjścia, poprosiłem Anię o chwilę rozmowy. Usiadła przy mnie.

— Co o tym myślisz? — zapytałem, muskając jej śliczne długie palce.

— O czym?

— O takiej nazwie: Cyna DERKI. Nie brzmi za bardzo... kulinarnie?

— Raczej zabawnie — uśmiechnęła się tym swoim rozczulającym uśmiechem. — Chciałeś, żebym została. Dlaczego?

359

— Bo po prostu chcę, żebyś została. Już na stałe. Damy radę?

— Kiedyś daliśmy — rzekła i cmoknęła mnie w policzek.

— Może znów nam się uda?... Zdrowiej! Za trzy dni wychodzisz, ale będę cię odwiedzała

codziennie — podniosła się.

— Twoi rodzice czekają.

— Jeszcze słówko — przypomniało mi się. — Szedłem ulicą, a ty przebiegłaś obojętnie, jakbyś mnie w ogóle nie zauważyła. Wsiadłaś do takiego granatowego audi, pamiętasz?

— Pewnie, że pamiętam, głuptasie — uszczypliła mnie w ucho. — Dziadek zadzwonił do szkoły, żebym przyszła pod kino, bo mieliśmy pojechać na zakupy. Kupił nowy samochód, tylko że kiepski z niego kierowca i gubi się w mieście, więc obiecałam go pilotować. Chciałam z tobą wtedy pogadać, ale już czekał. A nie lubię, kiedy potem przez pół dnia dopytuje się, co i jak. Muszę już iść, Janku, do jutra, pa!

— Pa, pa! — pomachałem jej, rozmarzony, moszcząc się wygodnie w pościeli. — Zazdrosny o dziadka, śmiechu warte...

Nieprzyjazny i pełen chaosu świat okazał się nagle zadziwiająco miły i zrozumiały, a ja zostałem bohaterem. Genialnie, prawda?

360

Epilog

Trombolin, wtorek, 18 października bieżącego roku, godzina 10.09

— Panie Stefku! — Do komórki woźnego zajrzała korpulentna blondynka w kwiecistym fartuchu.

— Można przeszkodzić?

— Jem zupę — Wąsik stuknęła łyżką o talerz, nie podnosząc wzroku znad gazety — Nie widzi Danusia, że przerwa śniadaniowa?

— Przyniosłam świeżej wędlinki i bułeczek. Co tam panu po takim żurku z torebki! Mężczyzna musi solidnie zjeść — sprzątaczką odsunęła rozrzucone narzędzia i położyła na stole papierową torbę. — Porządna kobita by się panu przydała...

— Mam żonę — woźny odłożył „Wieści Trombolina”.

— Co prawda teraz jej nie ma, ale na pewno wróci. Pani Danusia przysiadła na krześle.

— Wróci albo i me wróci, a prędzej to drugie. Ludzie gadają, że zabrała panu z domu wszystkie kosztowności.

— Prezent ślubny zostawiła — Wąsik podciągnął rękaw, demonstrując markowy złoty zegarek. — Musi wrócić.

— Ja bym tam na to nie liczyła. Pan Stefek je, póki bułeczki ciepłe — przymiliła się. — O czym to piszą?

— Że nasze chłopaki namierzyły groźnego bandytę, i o tym postrzelonym Racyniaku z drugiej „c”.

Danusia

361

poczyta, jeśli chce — podał kobiecie gazetę. — O tu, pod zdjęciem szkoły.

- „SENSACYJNA UCIECZKA Z KONWOJU” - przeczytała sprzątaczką. — „Niedawno ujęci przestępcy Korneliusz Bakłażan, pseudonim Kalafior, i Daniel Dudziak, pseudonim Duda, po obezwładnieniu pilnujących ich strażników uciekli z więziennej ciężarówki...”

— Po co Danusia czyta o jakichś kalafiorach? — woźny wyrwał jej gazetę. — Mówiłem, że pod zdjęciem, to pod zdjęciem!

KONIEC

Spis treści

Prolog.....	7
Zwyczajna recydywa.....	9
Śmierdząca sprawa.....	20
Co wstąpiło w pana Krzywkę?.....	31
Dziwni goście z „Kefirka”.....	42
Trudna droga do domu.....	53
Najserdeczniejsze życzenia.....	63
Klan Zaufanych.....	73
Procedura cztery czternaście.....	86

„Martwą podniosłem powiekę”.....	98
Kandydat na łobuza.....	109
Trzy twarze przestępcy.....	119
Ptaku, ratuj!.....	131
Szafka z niespodzianką.....	143
Podjadek i policjanci.....	154
Na wywiady nie ma rady.....	164
Akcja „Jot”.....	174
Zakochany Giuseppe Cantori.....	185
Inspektor Konstanty Ptak.....	194
Malarz pustkoista.....	205
Dziewczyna przez półtorej godziny.....	215
365	
Ostępy i podstępny.....	225
Noc pełna wrażeń.....	235
Wóz albo przewóz.....	246
Zawieszony.....	257
Prowokacje i manipulacje.....	267
Wynajęta ofiara.....	277
Przesłuchanie.....	287
Kto chce mi dokopać?.....	297
Skarby Bębniawy.....	306
Spotkanie najmniej pożądane.....	316
Ostatnia maska Klanu.....	327
Twarz mordercy.....	338
DERKI.....	351
Epilog.....	361
Mariusz Niemycki „Przypadki Damianka”	
„Cześć! Mam na imię Damianek, ale wszyscy mówią na mnie Demonek, bo podobno wyglądam jak nieudany syn hrabiego Drakuli. Jest to oczywiście przesada i kiedyś Krysce, mojej przemądrzałej bliźniaczce, obetnęję jęzor za takie głupie gadanie. Wampiry nie mają kumpli, a ja mam ich na pęczki. A dokładnie dwóch — Mateusza i Bogusia. Mam jeszcze Parmezana, który wygląda i zachowuje się jak pies, więc chyba to pies.”	
Polecamy także inne tytuły z serii „Przypadki Damianka”:	
Nędzny żywot bagiennego wampira	
Gadające sznurowadło	
Podjeźrzany facet z czerwonym nochem	
Hanna Kowalska-Pamięta „Pamiętnik jedynaczki”	
Trzynastoletnia Paulina boleśnie odczuwa swoją samotność, związaną z brakiem rodzeństwa. Zauważa też z przerażeniem, że jedna z nauczycielek z niewiadomych powodów czuje do niej z trudem skrywaną niechęć. Wszelkie próby rozwikłania sekretu matematyczki wciąż spełzają na niczym. Do tego mama zdaje się ukrywać przed Paulina jakiś sekret...	
Wszystko wskazuje na to, że pakowanie się w tarapaty powoli staje się specjalnością bohaterki. Wtedy w jej życiu pojawiają się tajemnicze osoby. Ich losy zaczynają się niespodziewanie ze sobą splatać...	